









N=980  
205  
STAROSTA ZYGWULSKI

Adam Krechowiecki

Starosta Zygwulski

Powieść historyczna

WYDANIE DRUGIE.

TOM I

KRAKÓW

NAKLAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI

1894

<http://rcin.org.pl>

<b>Biblioteczka dla młodzieży.</b> Wydana staraniem Wł. L. An- czyca. Tom po 50 ct., oprawne w karton po . . . . .	— 65
VII. <i>Schmid ks. kan.</i> Róża z Tanenburga. Powieść.	
VIII. <i>Robinson dla młodszej dziatwy, czyli najcie- kawsze przygody Robinsona Kruzoe.</i>	
IX. <i>Hofman.</i> Zagrzebani w śniegu. Powiastka.	
X. <i>Mayne Reide.</i> Biały koń. Opowiadanie z puszczy amerykańskich.	
XI. <i>Ebeling J.</i> Sztuka czy rzemiosło.	
<b>Chelmicki Z. ks.</b> W Brazylii. Notatki z podróży, z ilustra- cyami. Dwa tomy . . . . .	4 80
<b>Dawid Wł.</b> Nauka o rzeczach. Rys jej historycznego rozwoju, podstawy psychologiczne, metoda oraz wzory lekyei. Warszawa, 1892 . . . . .	3 60
<b>Demeny Jerzy.</b> Zasady wychowania fizycznego w Szwecyi. Tłóm. A. Gawrońskiej. Warszawa . . . . .	— 52
<b>Didon O.</b> Jezus Chrystus. Za upoważnieniem autora z 20-go wydania franc. przełożył Biskup H. P. Kossowski . . . . .	6 50
Oprawne . . . . .	8 —
<b>Falkenhorst C.</b> Z dziejów odkrycia Ameryki. Przełożył K. Jurkiewicz. Z 16-ma rycinami . . . . .	2 60
w oprawie . . . . .	3 35
Treść: I. Towarzysze Kolumba. — II. Pod chora- gwmiami Korteza. — III. W złotodajnej Peruwii.	
<b>Flammarion.</b> Niebo. (Wszzechświat) z licznymi rysunkami. Przekład z franc. Dr. M. Stefanowskiej . . . . .	1 30
<b>Gausseron B. H.</b> Gdzie szczęście? przełożył I. K. Potocki . . . . .	1 30
— Życie we dwoje . . . . .	1 30
<b>Gawalewicz M.</b> Cma. Wydanie 2gie ilustr. . . . .	1 60
— Drugie pokolenie. Wyd. 2gie . . . . .	2 10
— Mgła. Powieść . . . . .	1 60
— Mechesy. Powieść . . . . .	2 60
— Stare długi. Komedya w dwóch aktach (w druku).	
— Z mego albumu. Zbiór szkiców i obrazków. Zuzanna. Mimi. Świerk na pustkowiu. Zgaszone gwiazdy. Moja mamka. Literat . . . . .	1 60
— Zona. Galerya szkiców z natury. Nowe powiększone wydanie z rysunkami P. Stachiewicza . . . . .	2 30
<b>Gurney, Méyers i Podmore.</b> Dziwy życia. Z przedmową Ri- cheta. Przekład I. K. Potockiego . . . . .	2 60
<b>Haubner dr.</b> Weterynaryja gospodarska czyli nauka leczenia zwierząt domowych. Przekład z 10-go wydania oryg. p. Laurysiewicza i Strzeleckiego. Wydanie 3cie . . . . .	3 90
w oprawie . . . . .	4 90
<b>J. Antoni dr.</b> Sylwetki historyczne. Serya VIII . . . . .	3 20
Treść: Pamiętnik delegatów kamienieckich. — Po in- kursyi kozackiej. — Bakota jako stolica Ponizia. — Pań- stwo Wołodyjowscy. — Powstanie nazwisk rodowych u ludu małoruskiego.	



STAROSTA ZYGWULSKI







ADAM KRECHOWIECKI

# STAROSTA ZYGWULSKI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

WYDANIE DRUGIE.

TOM I

Instytut  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-260 Warszawa

Tel. 25-68-63, 26-52-31 w. 43

KRAKÓW

NAKLAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI

1894



---

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. J. Gadowskiego.

1802

<http://rcin.org.pl>

## L.

W kościele Panny Maryi w Lublinie na wotywę zadzwoniono, a xiądz pleban Krescenty Moliński u ołtarza stojąc, pierwsze modlitwy odmawiać już począł, gdy w drzwiach wchodowych ukazała się wysoka postać starca, nikomu z obecnych nieznaną. Starzec ów miał na sobie odzież ubogą: z pod szerokiej bekieszy zarzuconej na ramiona, ile że pora to była jesienna — a w tym roku 1605 niezwykle dżdżysta i chłodna — wyglądał stary, wyszarzany żupan, przepasany taśmą czarną, rzemieniem podszytą i spiętą na klamrę żelazną. Wszakże pomimo stroju tego, który w niczem zamożności nie znamionował, wchodzący powszechną zwrócił uwagę. Rycerska iście postawa zdawała się mówić, iż długa, ciężka szablica, na rękojeści której starzec wspierał rękę lewą, nie musiała rdzewieć w pochwie. Wąs długi, biały i także broda, nadawały twarzy starca, chudej, zapadłej, okrytej zmarszczkami, wyraz nie-

zwykłej powagi. Włosy miał także długie, aż do ramion sięgające, co się niejako sprzeciwiało ówczesnemu zwyczajowi, który od onej nieszczęsnej za króla Olbrachta bukowińskiej wyprawy — kiedy to niecne Wołochy za długą czuprynę na drzewach uwiązywali — nakazywał przystrzygać lub podgalać włosy. Ale co najbardziej uderzało w nieznanomym, to wielka, głęboka kresa, która od skroni lewej przecinała mu całą twarz prawie. Przy bliższem rozpatrzeniu się zauważano także, że prawa ręka starca była dziwnie skurczona, jakby zgięta w łokciu, a nadto brakowało jej czterech palców, które były szpeźnie ucięte.

Starzec z głową podniesioną, nie spoglądając na nikogo, szedł środkiem kościoła, a przed kratkami ołtarza stanąwszy, pochylił głowę na piersi i tak w kornej postawie, nieruchomy do końca mszy św. pozostał, w medytacyi jakiejś, czy w cichej zatopiony modlitwie.

— Co zacz jest ów sędziwy starzec? — szeptano, a gdy nikt zagadki wyjaśnić nie zdołał, ciekawsi, po skończonem nabożeństwie, zgromadzili się w kruchcie, aby raz jeszcze owego nieznanomego oglądać mogli. Starzec wszakże pozostał w kościele dłużej, a potem jeszcze z x. Krescentym w zakrystyi rozmawiał, który też z wielką attencyą, aż za próg świątyni go wy-

prowadził, submitując się mu a prosząc, by na plebanię był łaskaw.

— Przebaczysz Wielebność Wasza — odrzekł nieznajomy, a te słowa doszły do uszu ciekawych — ale dziś tyle mi zaszczytu przynoszącej inwitacyi odmówić muszę, ile że zaledwie przybywszy, wiele czynić mam, aby się jako tako osiedlić. Przeto na później rezerwuję sobie łaski wasze.

To rzekłszy, pokłonił się nisko xiędzu, pożegnał się i odszedł, a ciekawi hurmem rzucili się ku plebanowi.

— Co zacz ów szlachcic z kresą? — pytano zewsząd.

Pleban uśmiechnął się i rzekł:

— A no, nie wiele wiem, co zacz jest... Zowie się Jan Szornel...

— Szornel! — zawołał niemłody już szlachcic, Mikołaj Stawski, cześnik chełmski, małego wzrostu a ruchliwy wielce, który że najciekawszy był, a zanim na stare lata w Lublinie osiadł, w rozmaitych obracał się stronach, przeto znał wszystkich i wszystko wiedział.

— Szornel! — powtórzył — a jakżeby nie znać? Wszak-ci to Szornele w chełmskiej ziemi dziedziczą, a ród jest żmujdzki, starodawny, herbu Dołęga. Jeden z nich był on rotmistrz sławny w różnych potrzebach, a potem dworzanin i po-

wiernik Stadnickiego Mateusza, który się aryańskich nowinek chwyciwszy, piekłu duszę, herezykom zaś kościoły oddał i ojcem jest onego Stanisława, co go też słusznie „dyablem“ zwa...

— Toć to pewno on sam jest, rotmistrz Szornel! — zawołano.

— Może on, albo nie on — zakonkludował cześnik — ile że ów rotmistrz znacznie winien być starszy, a mnie się widzi, jako już dawno zemrzeć musiał, bo od lat wielu słyhać o nim nie było.

Długo jeszcze w ten sposób rozmawiano, do żadnej konkluzji dojść nie mogąc; a że tak na ulicy pod kościołem stać chłodno było i niewygodnie, cała ta gromadka szlachty znalazła się niebawem w pobliskiej gospodzie „pod Barankiem“, gdzie zasiadłszy, a miód lub wino popijając, jęła gwarzyć tak głośno, że huk szedł jakby na sejmiku jakim.

Ale mijały następnie dni i tygodnie całe, a ciekawość sąsiadów nie została zaspokojoną, ile że imćp. Szornel, zamieszkawszy w małym dworku, opodal starej baszty, na ulicy Jezuicką zwanej, z nikim się nie komunikował, do kościoła nawet chodzić przestał, a parę razy tylko widziano, że na plebanię wieczorem szedł, jakby umyślnie taką wybierając porę, gdy tam nikogo, oprócz samego x. Krescentego, nie było.

Dziwiło to i niecierpliwiło niepomalu braci szlachtę, której tam podówczas mnogo siedziało w Lublinie dla interesów rozlicznych, albo też mieszkało stale przy klasztorach i kościołach na dewocyi. Byli to najczęściej ludzie lat już podeszłych, a bez fortuny znacznej, ale byli też i posesyonaci, którzy tu sprawy w trybunale mieli, lub też podzieliwszy majątności swe pomiędzy dzieci, tu się osiedlali, chwalać Pana Boga a rozpamiętywując dawne, minione czasy. Byli też między nimi ludzie rycerscy, którzy tu po znojach obozowych wypoczynku szukali; wszyscy zaś herbowni i rodów zacnych, dziwowali się mocno a gorszyli tem, że imćp. Szornel, osiadłszy wśród nich, tak stronić się zdawał, jakby od hołoty.

Około kościoła Panny Maryi utworzył się tedy jakby zachcianek szlachecki. Tu najpierw mieszkał pan cześnik chełmski, Mikołaj Stawski, o którym już powyżej była wzmianka. Wybudował on sobie piękny dworek, a na facyacie wyryć kazał herb Stawskich: Tępa Podkowa i litery swoje M\* S\*, które tam jeszcze po dziś dzień widnieją. Dalej nieco, w mniejszym dworku, osiadł imćp. Sobiesław Brzechwa, niegdys żołnierz waleczny i siłacz wielki, który pomimo sześćdziesięciu lat wieku, żelazo gniótł w garści jak ciasto, a w wieczystej był zwadzie z sąsia-



dem cześnikiem, co nie przeszkadzało, że się kochali wzajemnie bardzo i jeden bez drugiego żyć nie mógł. Oprócz nich było Jakubowskich dwóch, Dąbrowskich czterech, Zawadzkich i Zakrzewskich kilku, z sobą niespokrewnionych i herbów rozmaitych. Wszystko to jednak była szlachta zdawna tu osiadła, znająca się dobrze między sobą i trzymająca społem, ilekroć o kogoś im wszystkim obcego chodziło; między sobą bowiem waśnili się i kłócili nieraz. Nie lubili intruzów i skoro się taki pojawił, wnet go oglądano na wsze strony, a biada mu jeśli nie okazał się pewnym szlachcicem; bo go naówczas zgoła odosobniano, i nikt z nim żyć nie chciał, że wreszcie skazany na samotność, uchodzić stąd musiał. Nawet taki, który chociaż szlachcicem był, lecz z dalszych okolic przybywał, a nie miał między bracią szlachtą lubelską konnexyj, musiał czas długi cicho siedzieć, głosu nie podnosząc, sumbitować się kornie dawniej osiadłym, by go do grona swego przypuścić raczyli i wejść w nim w bliższe stosunki.

Z czasem tedy wytworzyła się w tym zakątku Lublina jakoby jakaś konfraternia szlachecka, mająca swoje obyczajowe prawa, któremi się rządziła i od których nie odstępowała. Od pewnego czasu rej tu wodził niejaki imćp. Marcin Kozięka, herbu Zkrzyżluk. Jakkolwiek

ród to ruski starodawny i tytułu kniaź używający, sam wszakże pan Marcin był tu przed laty nieznanym przybyszem. Długi też czas, nie mając żadnych krewnych ani znajomych, musiał hamować swoją burzliwą, niespokojną naturę, a ubierać się w pokorę, zanim mu wreszcie owi Jabubowscy, Zakrzewscy, Zawadzcy i Stawscy miejsce między sobą dali. Odtąd, czy to siła woli i rozumu pana Marcina, czy też może indolencya tej gromadki szlachty, sprawiła, że ów przybysz zajął wśród niej przemożne stanowisko. Ruchliwy a przebiegły bardzo, pan Marcin stał się niejako głównym plenipotentem owego lubelskiego zaścianku. On sprawy sporne w grodzie załatwiał, on przeprowadzał procesa, jego zdanie tak w prywatnych jak i publicznych sprawach nieraz przeważało. I działało mu się z tem weale dobrze: żył dostatnio, jakkolwiek, o ile było wiadomo, majątku nie miał żadnego. Influeneyi tej swojej, przyznać trzeba, nie zawsze używał na pogodzenie zwaśnionych — owszem, częściej się zdarzyło, iż wynajdywał sam powód sporu, zręcznie go zaostrzał i do procesu doprowadzał.

— „Chodźmy do kniazia!“ — mawiano w razie jakiego sporu, a kniaź niby to godził, perswadował, uśmierzał, ale koniec końców z małej częstokroć zwady, wielką sprawę zrobił i do

prawowania się zmusił. Nie było wszakże wypadku, aby którakolwiek strona żaliła się na pana Marcina; nawet w razie przegranej umiał on tak pięknie rzecz przegrywającemu przedstawić, że go jeszcze na szklanicę miodu zaprosił, a dziękował za pomoc i radę. Nikt też nie pytał już pana Marcina, jaka go zawierucha z województwa wołyńskiego, gdzie pono rodzinę można miał, aż do Lublina zaniósł; akceptowano go raz stanowczo, a nietylko akceptowano, ale pozwolono wziąć górę i słuchano pilnie gdy mówił, co mu się wszakże nie często zdarzało. Książ miał w zwyczaju więcej słuchać niż mówić, a milcząc i słuchając, pomrukiwał jeno pod nosem, jakby rzecz słyszana w umyśle ważył; gdy zaś się odezwał, to krótko — jednym, dwoma słowami rozstrzygając kwestyę. Wówczas inni otwierali gęby i śmieli się lub frasowali, stosownie do wyroku kniazia. Kozięka zaś nie śmiał się nigdy, a frasował się też bardzo rzadko, chyba napozór, gdy nad swoim losem i niesprawiedliwością ludzi, którzy się na nim poznać nie umieli, ubolewać począł.

Żebyż to przynajmniej postawę okazałą miał ten główny plenipotent i medyator lubelskiego zaścianku — ale gdzie tam! Niewielkiego wzrostu, chudy, a chociaż zaledwie czterdzieści kilka lat wieku liczył, przygarbiony szpetnie, ubrany

zimą i latem w kubrak szaraczkowy, nędznie wyglądał. I twarz miał szpetną, a pomarszczoną i pofałdowaną tak dziwnie, że nawet broda rosnąć na niej nie chciała, i tylko jakieś rzadkie, krótkie, a ostre kosmyki wśród tych fałdów wyrastały. Oczy miał małe, ale biegające i przenikliwe, nastrzępionemi brwiami na poły zasłonięte; nos nieco do góry patrzący, z nozdrzami ruchliwymi, a zaczerwieniony od owego miódka, którym kniazia sowicie raczono i który on bardzo lubił. Usta wreszcie wąskie i małe, pokryte były rzadkim wąsem, który dwoma płowemi kosmykami na dół spadał. Za to włosy na głowie jeżyły się mu bujnie do góry, gęste i twarde.

I owa to niepoczesna persona rej wodziła w zaścianku lubelskim, jako się wyżej rzekło. Najdłużej wszakże powadze pana Koziaki opierał się imćp. cześnik chełmski Mikołaj Stawski, który w owym przybyszu zawždy jakieś niepewne podejrzywał zamiary.

— Książ, nie książ — mawiał pan cześnik — ale dalipan wartoby go zapytać, skąd i poco tu przybył, skoro tam w wołyńskiem województwie kniaziów Poryckich i innych możnych ma powinowatych. Niech da respons.

— Waść byś żądał jakieś tu indagacye extraordinaryjne zaprowadzać — przerwał mu olbrzymi pan Brzechwa, wieczysty oponent cze-

śnika — a toć wiadomo, że Koziekowie na Rusi ród starodawny, a ludzie rycerscy...

— Jakoś mi ten na rycerza nie patrzy.

— Waść także na rycerza nie patrzysz, boś mały, że cię przeskoczyć można!

— Nie radzę próbować — odparł urażony pan Stawski, prostując się — bo choćby to był drażal taki jak waćpan, to mu odprawę dam!

— Nie boję się ja waćpana! — krzyczał zaczerwieniony już gniewnie p. Brzechwa, machając wielkimi pięściami, — nie takich ja gniołłem w garści i nie takie łamałem podkowy, jak waćpana tępą w herbie!

I byłoby nieraz przyszło z tego powodu do poważnej zwady, gdyby obecni, śmiejąc się z tych zapasów wielkoluda z karlikiem, nie interweniowali i nie godzili zwaśnionych.

Kozieka zaś, nie wiele sobie ważąc opozycję Stawskiego, instalował się na dobre w Lublinie, a osiedliwszy się, z dniem każdym coraz więcej miru i wziętości sobie zjednywał. A chociaż imép. cześnik nie mógł nigdy całkowicie przemódz niechęci swej i zawždy podejrywał kniazia, to na te suspicye jego nikt już uwagi nie zwracał.

Od czasu pojawienia się Szornela, Kozieka nie miał spokoju. Imponował mu a zarazem drażnił niepomiernie ten stary, poważny szlach-

cic, który nie idąc śladem innych przybyszów, nie starał się zgoła zbliżyć do kniazia, ani też o jego poparcie zabiegał, aby uzyskać przyjęcie do owej lubelskiej konfraternii szlacheckiej. Zamieszkawszy w Lublinie do nikogo się nie zbliżał, na kniazia się patrzył spokojnie, ale obojętnie, lekkim skinieniem głowy zaledwie odpowiadając na niskie ukłony Koziaki.

— Hardy pan! — mruczał kniaź gniewnie — ale poczekaj, nauczę ja cię submisyi!

I odtąd pilnie śledzić począł każdy krok Szornela. Zrazu nic wysledzić nie mógł; to jedno tylko zwróciło powszechną uwagę i obudziło niechęć ku przybyszowi, że Szornel zamieszkał w dworku, który był własnością niejakiego pana Wojciecha Żegoty. Ów Żegota przed dwoma laty przybył tu z Krakowa i także dziwnie sobie poczynił, prowadząc zgoła odosobniony żywot, oddany wychowaniu córki jedy-naczki. Mówiono, że pan Żegota był mieszczaninem krakowskim, posiadającym znaczną fortunę, że przed dwoma laty straciwszy ukochaną małżonkę i z żalu po jej zgonie nie mogąc wysiedzieć w Krakowie, umyślnie przeniósł się do Lublina, gdzie go nikt nie znał i samotności wdowiej przerywać nie mógł. Żył też bardzo skromnie i w odosobnieniu wielkiem, lubując się jeno w wiegach, które skupowywał i śleczął nad niemi.



Widywano go często w kościele wraz z córką, która liczyć mogła podówczas siedmnaście lub ośmnaście wiosen, a tak była urodziwą, że ją powszechnie w Lublinie zwano „piękną Reginką“, bo takie imię miała.

Brzechwa, który pomimo siwizny, piękne twarzyczki niezmiernie lubił, usiłował z początku wszelkimi sposoby zbliżyć się do Żegoty i jego córki, ale to się na nic nie zdało. Żegota grzeecznie ale stanowczo dał do zrozumienia, że z nikim znajomości mieć nie pragnie.

Kniaziowi powiodło się jeszcze gorzej. Zastłyszawszy o fortunie Żegoty, chciał on pozyskać sobie koniecznie jego względy, a w tym celu szukał pilnie dobrej sposobności. Sposobność ta nadarzyła się niebawem: Żegota bowiem nabywszy dworek w Lublinie, wplątał się w spór jakiś z dawnym właścicielem, z czego jak mówiono, proces miał wyniknąć. Książ, jako w tych sprawach wielce doświadczony a w prawie biegły, ofiarował natychmiast Żegocie swoje usługi. Ten wszakże nietylko owych usług przyjmując nie chciał, ale zbył Koziejkę tak lekceważąco, że książ przysiągł, iż do grobowej deski tego mu nie zapomni. Nie lubił nawet mówić, jak to było z owym Żegotą, a ilekroć go o to zagadnięto, spluwał jeno z pasyą wielką i mruczał gniewnie:



— Łyk podły!

Stawski utrzymywał, że kniazia spotkał tam despet wielki, że go Żegota za drzwi wyraźnie wyprosił, albo i co gorszego uczynił. Trudno to było sprawdzić, bo Kozięka nie mówił nic, jeno się szpetnie odgrażał, a Żegota, ów spór z kupna dworku wynikły, zgodnie załatwiwszy, do nikogo się nie zbliżał, tylko czasem do x. Krescentego na plebanię zaglądał i z nim xięgi wertował a uczone dysertacye prowadził. Reginka podzielała samotność ojcowską ochotnie, nie zdradzając chęci do właściwych jej wiekowi rozrywek. Nie wychodziła prawie nigdy z domu, prócz do kościoła z ojcem, gdzie się przykładnie i gorliwie modliła, nie zwracając uwagi na płomienne spojrzenia, jakimi ją nietylko zalotny Brzechwa ale i cała młodź lubelska ściagała. Piękną bo też była nad wyraz. Wysoka, smukła, włosy miała jasne, a brwi ciemne i oczy ciemne, szafirowe o niezwykłym blasku i takim przejmującym wyrazie, że imćp. Brzechwa zaklinał się, iż raz jak spojrzała na niego, to mu serce jak wosk zmiękło, a w głowie zaszumiało, że omal na kolana przed nią nie upadł.

— Odkąd mnie ziemia nosi, jeszcze takiej dziewczki nie widział! — wołał w zapale i nie tracił nadziei, że prędzej czy później potrafi przełamać upor Żegoty i zbliżyć się do niej.

Jakoż po pewnym czasie tyle uzyskał, że pan Żegota na pozdrowienie jego odpowiadał uprzejmym ukłonem, a raz nawet Reginka uśmiechnęła się doń wdzięcznie, gdy Brzechwa z wielkim łoskotem na ziemię upadłszy, podał jej chustkę, którą wychodząc z kościoła przypadkiem upuściła z ręki. On też jeden wraz z x. Krescentym stawał zawždy w obronie Żegoty, gdy cała szlachta, z Kozieką na czele, czyniła mu rozmaite zarzuty.

Raz gdy się wszyscy, gwoli jakiegoś odpustu, na plebanii zebrali i mowę o tem rozpoczęto, x. Krescenty opowiadał, jako Żegota, to człek wielkiej nauki i pobożności, który w Krakowie znacznego rozgłosu zażywał, że co przedniejsi panowie o jego przyjaźń zabiegali. Brzechwa potakiwał głośno, podnosząc przytem pod niebiosa urodę i cnoty Reginki.

— Dobre, pocziwe dziecko! — rzekł na to pleban — dzieli wdowią samotność ojca z rozkoszą, nie pragnąc innej zabawy, prócz pielęgnowania sędziwego rodzica, którego jest jedyną pociechą i podporą.

— Niech poślubi pana Brzechwę — mruknał kniaź — będzie też pielęgnowała podagrę męzowską.

Brzechwa zamachnął się groźnie, ale rozbił pięścią jeno powietrze, bo kniaź nie chcąc słu-

chać pochwał nienawistnego sobie Żegoty, uszedł, drzwiami srodze stuknąwszy.

— Niech się pan Brzechwa zawczasu przygotuje na to, że Reginka zamąż iść nie zechce — zauważył uśmiechając się pleban — o ile wiedzieć mogę, pono do Panien Brygidek, po najdłuższem życiu rodzica, wstąpić ma zamiar, a i teraz często tam przebywa u ciotki swej, która jest starszą siostrą w tym zakonie.

Pan Brzechwa nie rzekł na to nic, jeno od-tąd często odwiedzać począł kościół Panien Brygidek, a chociaż tam nigdy Reginki nie spotkał, to wszakże z zakrystyanem tamtejszym w konfidencye wszedłszy, dowodnie zbadał, jako piękna Żegocianka rzeczywiście całymi dniami u ciotki swej zakonnicy przebywa, z nią razem modlitwy, posty i różne ćwiczenia duchowne odprawując. Zaczem pan Brzechwa wielce stał się nabożnym, a klasztor ów szczególniejszemi łaskami otaczać począł. Że zaś bez fortuny nie był, a bliskich krewnych i obowiązków żadnych nie miał, świadczyć mógł, i świadczył tak hojnie, że go niebawem Panny Brygidki w poczet szczególniejszych swych dobrodziejów policzyły, a Reginka, dowiedziawszy się snadź o tem, coraz przyjaźniej na ukłony jego odpowiadać począła. Nawet Żegota tak zrazu nieprzystępny, pozdrawiał go z atencją i o zdrowie pytał.

Brzechwa był tem wielce uradowany i bijąc się z impetem w piersi, szeptał sam do siebie z cicha, aby go kniaź dosłyszeć nie mógł:

— Zczarowała mnie ta dziewczka na starość, dalipan! na nic się to nie zda, wiem dobrze, ale pókim żyw jam jej sługa, do ostatniego tchu!

I szedł modlić się do Panien Brygidek.

Reszta szlachty, z Kozieką na czele, wysmiała się zeń szyderczo, samego zaś Żegotę, za poduszczeniem kniazia, o rozmaite pomawiała niecnoty, gniewając się srodze za hardą postawę i nieprzystępność owego, jak go zwała „podłego mieszczanka“. Gdy przeto Szornel do Lublina przybywszy, zamieszkał w dworku Żegoty i z nim, jak to wnet spenetrowano, w wielkiej był zażyłości, a Reginkę jakby córkę rodzoną miłował, zyskał tem wprawdzie cichego sprzymierzeńca w Brzechwie, ale resztę sąsiadów niepomiernie na siebie oburzył, w kniazium zaś otwartego miał nieprzyjaciela.

— Z nami żyć nie chce, jeno z łykiem się brata! — mówiono z oburzeniem wielkiem.

Tak przeszedł czas niejaki, minęło miesięcy kilka, a kniaź pomimo bacznego śledzenia, nie złego w postępowaniu Szornela dopatrzeć nie zdołał. Raz tylko, późnym już wieczorem, dostrzegł, jako Szornel wychodził z plebanii i zatrzymawszy się z x. Krescentym u furty, ccś

z nim żywo rozmawiał. Kozięka przysięgał, iż przystanąwszy a nadstawiwszy uszu, najwyraźniej słyszał, jako x. pleban głosem stanowczym groził Szornelowi karą bożą, a on na to nie mówił nic, jeno chyląc głowę, powtarzał:

— Nie mogę, ojcze, nie mogę!

Odtąd nie widziano już Szornela ani w kościele, ani na plebanii, a gdy raz spytano o to x. Krescentego i przy nim zaczęto srodze szkłować przybysza, pleban najprzod surowo skarcił ciekawość, nakazał milczenie, a widocznie zafraszowany, rzekł wreszcie:

— Biedny człek... módlcie się zań, a nie sądzicie, byście sami nie byli sądzeni.

Wszakże to wszystko zaostrzało niepomiernie ciekawość sąsiadów i skłaniało kniazia do tem gorliwszego śledzenia. Dowiedziano się wreszcie, że stary szlachcic był rzeczywiście owym rotmistrzem słynnym z odwagi i rycerskich czynów, który ciężko ranny w jednej potrzebie z Tatarami, przez przyjaciela swego i towarzysza w onej wyprawie Mateusza Standnickiego, do zamku jego w Niedźwiedziu sprowadzony, tam długie lata przebywał. To dało assumpt kniaziewi, że go jako herytyka przedstawić chciał, a ogólnej wżgardzie i nienawiści podać.

Raz, gdy szlachta wedle zwyczaju w gospo-

dzie „pod Barankiem“ zgromadzona, przy kubkach miodu gwarzyła, Kozięka począł srodze przeciw przybyszowi wykrzykiwać, a ciężkie mu czynić zarzuty.

— Aryanin jest! — wołał — jako i Stadnicki! Dopomagał mu świątynie boże heretykom na splugawienie oddawać i praktyki dyabelskie z nim wespół odprawował; a i teraz pono dlatego z ludźmi żyć nie chce, ile że z nieprzyjacielem a kusicielem rodzaju ludzkiego w kon-szachty się bawi.

— A przecie do kościoła chodzi! — zaoponowano.

— Raz był i to nie klęczał, jeno stał, a potem go już i żywe oko w świątyni bożej nie widziało. Za to widziałem go sam, jako w nocy po cmentarzu chodzi.

Nie jeden szlachcic przeżegnał się krzyżem świętym.

— Widziałeś kniaziu? — spytano chórem.

— Jako mnie tu żywym widzicie!

— I ja widziałem — ozwał się dotąd milczący imćp. Brzechwa — ale wyznaję, że to właśnie com widział, cale na mnie inną impresję wywarło.

— Opowiedz-że wacpan, jako to było! — zawołało kilka głosów.

— A no, nadzwyczajnego nie było nic —



odparł Brzechwa — jeno dowodzi, iż suspicye kniazia, jakoby rotmistrz Szornel heretykiem był, zgoła nieugruntowane. Wczoraj, gdym oto wracał z gospody tej, miało się już ku północy, a dochodząc do dworku pana Cześnika, podle starej baszty, ujrzałem Szornela, idącego wolnym krokiem ku staremu cmentarzysku. Szedł powoli z głową w dół zwieszoną, a ja ciekawością zdjęty, podążyłem za nim, trzymając się zdala, aby mnie dojrzeć nie mógł. Tak przyszedliśmy ku cmentarzowi, a przyznam się waszmościom, że mi jakieś dreszcze po skórze przebiegły, gdym ujrzał, jako pan Szornel przez furtkę wkroczył na cmentarz i tam pomiędzy grobami snuć się począł.

— I cóż tam czynił? — spytano z zdwojoną ciekawością.

Brzechwa nie zaraz dał odpowiedź. Wstyd mu było się przyznać, że gdy Szornel przekroczył próg cmentarza, on lękiem zdjęty, nie oglądając się za siebie, czmychnął do domu.

— A no — rzekł w końcu — ciemno było, nie mogłem dojrzeć dobrze co czynił, jeno to widziałem, jako kląkł u jakiegoś grobu i słyszałem, że jęczał głucho... może się modlił...

Kozięka zaśmiał się szydersko, że się wszyscy aż wzdrygnęli, przejęci jakąś mimowolną trwogą.



— Czarownik jest, heretyk, powtarzam — rzekł kniaź — na grobach o północy zioła zbiera i praktyki czarodziejskie z nimi odprawuje.

— Srogi zarzut — ozwał się znów Brzechwa — nie śmiałybym takiego rzucać podejrzenia.

— Nie darmo x. Krescenty karą bożą mu groził — ciągnął dalej Kozięka, nie zważając na słabą opozycję Brzechwy. — Pięknegośmy doczekali się tu kompana, któregooby co rychlej stąd wyświecić warto, iżby i na nas pomsta boża nie przyszła.

— Nic pewnego nie wiemy — zauważył na to spokojnie a poważnie imép. cześnik Stawski, który tu w tej gromadce zawždy ważny głos miał. — Są to wszystko jeno podejrzenia a domysły, które zgoła nie ugruntowanemi okazać się mogą, jakkolwiek te wędrówki nocne na cmentarz isticie dziwne.

— Wartoby to spenetrować — zauważył jeden z Jakubowskich, w sile wieku i dzielnego animuszu człek. — Imép. Brzechwa, co podkowy łamie...

Stawski się zaśmiał.

— Dobrze mówi! — zawołał — pan Brzechwa dyabła nie powinien się bać, bo większy

od niego, przeto niech idzie na cmentarz i wyklaruje rzecz całą.

Olbrzymi szlachcic zachnął się gniewnie.

— Mniemam, iż lepszy do tego pan Stawski — odparł. — Dyabeł, choćby tam i był, nie dojrzy małego pana cześnika, a tem mniej Szornel. Tem go też łacniej pan Stawski podpatrzy.

Już się wszczynąła zwykła dyskusya między cześnikiem i Brzechwą, gdy pan Jakubowski rzecz całą zagodził, zaproponowawszy, iżby wszyscy *in gremio*, gdy północ zbliżać się będzie, na cmentarz poszli. Nie jeden wprowadzie a pierwszy pan Brzechwa, który w bitwie dzielnym był junakiem, lecz do nadzwyczajnych rzeczy cale animuszu nie miał — byłby się chętnie od tej wędrówki uchylił, gdy jednak propozycja uczynioną była poważnie, spojierano tedy na siebie przez pewną chwilę, a potem zaakceptowano ją chórem. W gromadzie takiej, czegóż obawiać się miano? Wszakże dla animuszu, że do północy było jeszcze daleko, postanowiono miodu nie żałować, a wkrótce potem słyhać już było gwar zwiększony i śmiechy głośne i zwadę Brzechwy ze Stawskim...

## II.

Do północy mało niewiele już brakowało, gdy gromadka z dziesięciu ludzi złożona, zbliżała się ku staremu cmentarzysku, wśród nocnych ciemności. Wiatr zimny, mroźny, smagał nielitościwie, jęcząc żałośnie. Cisza była dokoła; w mieście i na przedmieściach nigdzie już światła nie było widać; spokojni mieszkańcy Lublina spali dawno. Czasem jeno wiatr szarpnął silniej i stuknął okienicą źle przytwierdzoną, lub znakiem sklepowym wiszącym nad drzwiami domostw; czasem ozwało się nawoływanie stróża nocnego, lub szczeknięcie psa z oddali; zresztą głucho było i pusto.

Po wyludnionych ulicach przesuwiała się owa gromadka cicho, bezmownie, dech zapierając w piersiach. Hałaśliwa w gospodzie, wyszedłszy na owe ciemności nocne, oniemiała nagle. Pan Brzechwa, który z początku wysunął się naprzód, ociągał się jakoś w miarę im dalej postępowano, że go pan Stawski znagłać musiał. Szli tedy coraz wolniej, aż nareszcie na tle ciemnym nieba ujrzeli jeszcze ciemniej rysujące się poszarpane mury starej baszty, podle której mieszkał pan Szornel, a po za którą o jakie kroków sto ciągnął się cmentarz.

Brzechwa przystanął.

— Et! — rzekł z cicha — głupia historia! mnie miód we łbie kręci i spać się chce. Po co mamy włóczyć się po nocy. Niech tam sobie ów Szornel robi co mu się podoba, co nas to obchodzić może?

— I ja tak mówię — potwierdził książę — wdawać się z czarownikiem niebezpieczna rzecz, taka impreza wiele nas kosztować może...

— Wstyďte się, mości panowie! — ozwie się na to pan Stawski, wysuwając się naprzód — rozumiem, że panu Brzechwie nie stało animuszu samemu na cmentarz iść, ale w kompanii się bać, to iście rzecz dziwna. A cóż się nam stać może?

— Nikt się tu z nas nie lęka — odparł Brzechwa — a skoro panu cześnikowi przysła ochota, to wolno mu iść kędy się podoba... ja bym tam nie chciał penetrować niczyich tajników.

— To mojem zdaniem nie szlachecka rzecz — dorzucił książę.

— Nie szlachecka rzecz! — powtórzył z oburzeniem cześnik — ale podejrzenia rzucać, zwać czarownikiem i o konszachty z dyablem pomawiać...

— W imię Ojca i Syna! — przerwał Brzechwa który już w ostatnim szeregu przyzostał —

mów waść coć się podoba, jeno nieprzyjaciela rodzaju ludzkiego nie wzywaj! — I przeżegnał się nabożnie.

— Ale podejrzenia rzucać! — powtórzył cześnik — toć rzecz tem bardziej nie szlachecka i konkluduję, że teraz musimy zbadać rzecz całą i albo panu Szornelowi wrócić cześć, albo...

Nie dokończył. Z dworku, w którym mieszkał pan Szornel, wysunęła się chuda, wysoka postać rotmistrza, otulona w bekieszę.

Wszyscy mimowolnie rzucili się ku baszcie i skryli za mur wystający. Szornel obejrzał się na wszystkie strony i wolnym krokiem ruszył ku staremu cmentarzysku. W piersiach patrzących dech zamarł. Pan Brzechwa przykląkł i zgiął się, aby się za Stawskiego schować mógł.

— Idźmy!... — szepnął cześnik i wszyscy już nie oponując, ruszyli za nim cicho, ostrożnie.

Rotmistrz szedł bardzo powoli, a nie spodziewając się, by go kto śledził, nie oglądał się za siebie. To też cześnik z kompanią swoją mógł o kilkanaście kroków idąc za nim, przyjść niepostrzeżenie aż do furty cmentarnej, którą rotmistrz przekroczył i znikł wkrótce wśród drzew otaczających grobowce.

— A co? — szepnął Kozięka — widzieliście?

Głos kniazia drżał nieco, a głucho milczenie było mu odpowiedzią. Dla wszystkich stawało

się jasnym, że Szornel szpetne jakieś praktyki odprawuje, inaczej bowiem, po cóżby po starem cmentarzysku chodził w noc późną? Jużci nie dla modlitwy, bo na to kościoły są we dnie otwarte, gdzie człowiek nabożny może Panu Bogu cześć, a swej duszy pokrzepienie przynieść. Ale na cmentarzu i to dawnym, opuszczonym, cóżby czynił i po co by tam szedł? Nie po co innego, jeno jak kniaź mówił, aby czarodziejskie inclusa wynajdywać. Nawet pan Brzechwa, który zawżdy dotychczas brał stronę rotmistrza, nie rzekł nic, jeno po cichu dla odpędzenia złego ducha pacierze odmawiał, a wytężonym wzrokiem usiłował przebić ciemności, by dojrzeć, co się tam na owem cmentarzysku działo. Napróżno; widział jeno obnażone gałęzie drzew, jak na tle ciemnem nieba, poruszane wichrem, niby walkę z sobą tocząc, uderzały o siebie z głuchym łoskotem; słyszał wycie tego wichru i przyspieszone tętno własnego serca, które tłukło mu się w piersi, lękiem a zarazem współczuciem zdjęte dla tego starca, który się tułał tam wśród tych grobowych ciemności.

— Być-że to może? — powtarzał, — być-że to może?

I cała ta gromadka stała tak długo, milcząc i patrząc ku cmentarzowi, do którego zbliżyć się nie śmiała. Nareszcie po długiej chwili, Stawski,





chwytając obok stojącego towarzysza za rękę, szepnął:

— Widzisz wacpan?...

U furtki stała znów wysoka postać rotmistrza. Jakby mu żal było opuszczać to miejsce wieczystego spoczynku, zwrócił się twarzą ku cmentarzowi, głowę oparł o mur na poły rozwalony i tak nieruchomy pozostał... Był-że to jęk wichru, który teraz wyraźnie słyszeć się dawał?...

— Tak samo, jak wczoraj — szepnął Brzechwa — tak samo jęczał, słyszałem...

— Extraordynaryjny wypadek! — mruknął Stawski — wszakci to tak, jakby płakał.

W całej gromadce przed chwilą nieprzyjaźnie usposobionej, przemagać poczęło współczucie. Kozięka chciał wprawdzie dowodzić, jako to są zwykłe czarnoksiężników zaklęcia, ale mu przzerwano dość ostro, więc zmilczał.

— Biedny człek! — rzekł wreszcie Stawski, nie godzi się go tu ostawić; starzec jest, może omdleć, bo widocznie jakiś ciężki smutek go gnębi.

— Nie godzi się! — pierwszy raz ze Stawskim zgodził się Brzechwa — chodźmy doń, wacpanowie i odprowadźmy do dom.

Wszelkie podejrzenia i krzywdzące domysły naraz ustały. Jeden tylko kniaź nie zbyt dawał folgę uczuciom, bo machał wciąż pogardliwie



ręką, a gdy postanowiono iść ku Szornelowi, rzekł:

— Ja nie pójdę. A po co? Wszystko to dla mnie jasnym nie jest. Da on sobie radę i bez nas, a jak sam przyszedł, tak i sam powróci. Moje consilium jest iść stąd precz, a zdać o tem x. Krescentemu relacją, niech radzi dalej jako wie.

Słowa kniazia wywarły jak zawždy wrażenie. Ci, którzy posunęli się już naprzód ku Szornelowi, cofnęli się znowu i poczęli zastanawiać się żali nie lepiej pójść do dom, a jutro x. Krescentemu wszystko jak było opowiedzieć.

Ale wahanie się to trwało nie długo. Podczas narady owej, Szornel począł iść z powrotem; szedł jednak dziwnie chwiejnym, niepewnym krokiem, jakby znużony czy osłabły bardzo; a naraz o kamień na drodze zawadziwszy, potknął się, zachwiał i całym ciężarem runął na ziemię.

Jeden okrzyk przerażenia wyrwał się z piersi patrzących. Nie zastanawiano się już dłużej, ale gromadnie spieszo na pomoc. Szornel leżał na ziemi, napróżno usiłując się dźwignąć. Skoro jednak dojrzał posuwającą się ku niemu gromadkę ludzi, jakby lękając się spotkania, ostatka sił dobył i powstał. Chciał się zawrócić i iść, ale byłby upadł, gdyby pan Brzechwa ze Stawskim,

w czas nadbiegłszy i uchwyciwszy go w pól, nie zapobiegli temu.

— Dziękuję waszmościom — ozwał się słabym głosem Szornel — dziękuję waszmościom, zaniemogłem nagle... pozwólcie mi usiąść na ziemi, aby ta niemoc minęła.

— My waszmości, panie rotmistrzu, tu zostać nie mogę — odparł żywo Stawski — wszak sąsiedzi jesteśmy, pozwól wacpan, abym cię do domu odprowadził.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — odrzekł po chwili Szornel — i przyjmuję łaski wasze... ile że czuję, iż sił mi brak... mówić nawet nie mogę.

Stawski tedy z jednej, a Brzechwa z drugiej strony, prowadzili pod ramię rotmistrza, który szedł powoli, wlokąc nogi za sobą, a chwilami przystając, by z głębi piersi chłodnego zaczerpnąć powietrza.

Nikt głosu nie podnosił, jeno Kozięka mruczał coś pod nosem, snadź nie kontent z takiego obrotu sprawy.

Tak w milczeniu minęli basztę starą i stanęli obok dworku, w którym mieszkał Szornel, a Stawski widząc, że rotmistrz ogląda się na wsze strony, jakby w obawie, aby ta cała ciekawych gromada do wnętrza nie weszła, rzekł zwracając się do towarzyszy:

— Proszę waszmościów na mnie nie czekać.

Ja z panem Brzechwą odprowadzę imćp. rotmistrza do izby, a że godzina już późna, wnet do dom pójde i pana Brzechwę do siebie zapraszam, jeśli łaska.

Brzechwa nie nawykły zgadzać się z cześnikiem, burknął coś potakująco, a rotmistrz z wdzięcznością ścisnął ramię Stawskiego, na którym się opierał. Zaczem weszli samotrzeć do wnętrza dworku, pozostawiając resztę kompanii na dworze, mocno niezadowoloną.

Stali tam oni zrazu w milczeniu, spoglądając w ciemne okna dworku, w których niebawem jakieś mignęło światełko, ale widząc, że ani Brzechwa, ani Stawski nie wychodzą, postawszy jeszcze chwilę, ruszyli ku miastu.

Głuche milczenie przerwał Kozieka.

— Głupia rzecz! — zawołał. — Włóczymy się w nocy, po zimnie, że aż kości się trzęsą i po co? aby jakiegoś tam heretyka ratować i do dom z paradą odprowadzać. A na domiar jeszcze drzwi nam przed nosem zamknięto.

— Winien był pan Szornel przynajmniej słowo podzięki rzec — zauważył inny szlachcic.

— Mówić nie mógł, ile że srodze osłabiony jest i chory — tłumaczył drugi.

— Chory! chory! — mruknął kniaź — a po cóż po ementarzysku się włóczy? Żali to chrześcijańska rzecz misterya jakieś na grobach czynić?

— Ciekawa rzecz — ozwał się Jakubowski — jaka będzie jutro relacya Stawskiego i Brzechwy?

— Nie dowiemy się nic — odrzekł kniaź — nie powiedzą nam nic zgoła. Zaklnie ich Szornel i nakaze wieczyste *silentium* o tem, co u niego widzieć będą, bo to już taki obyczaj u wszystkich heretyków.

— Co zaś waść pleciesz ciągle o tych heretykach? — przerwał mu z irytacją Jakubowski — mamy tu przecież wielu dysydentów w Lublinie, którzy tu w domu pana Tęczyńskiego zbór swój mają; wszak to są ludzie spokojni, słuszni, a są między nimi i znaczni mężowie, jako i sam pan wojewoda Tęczyński, starosta nasz lubelski.

— Są heretycy i heretycy — odrzekł kniaź — a ten imćp. Szornel nie jest snadź z tych kalwinów lubelskich, ale z owych, którzy Trójcy św. znać nie chcą i dzieci swych, jako poganie, nie chrzczą, aż póki nie dorosną, przeto też zowią ich Anabaptyści... straszliwa to jest sekta!

— A skądże to waść wiesz o tem?

— Skąd wiem? — odparł kniaź. — Żali to człek mało nawędrował się po świecie? Byłem ja swojego czasu i w Rakowie, kędy jest główna siedziba herezyi i odszczepieństwa. Jest tam zbór wielki i szkoła fundowana przez imćp. Sienińskiego, kasztelana żarnowskiego. Byłem

też w Niedźwiedziu i Dubiecku u pana Mateusza Stadnickiego, który był zaciekłym Aryanem, i w Łańcucie u syna jego Stanisława, a tam miałem okazję przypatrzeć się ich praktykom heretyckim.

— Ale cóż to? — zawołał nagle książę, wskazując przed siebie ręką — czy mi się widzi, czy też istotnie w gospodzie pod Barankiem jeszcze pali się światło?

Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę i ujrzeli rzecz iście o tej porze niezwykłą. Wszystkie okna gospody owej jasno były oświetlone, a sam jej właściciel imćp. Szafrąński, niezwykle zaangażowany, krzątał się z dwoma pacholkami w sieni, od której drzwi na oścież były otwarte.

Pan Kozięka a za nim kompania cała, wielką ciekawością zdjęta, pośpieszyli ku gospodzie, ale tu zrazu nie wiele dowiedzieć się mogli.

Szafrąński, otyły człowieczek, a wielce spokojnego ducha i niecierpiący zwady, z widoczną trwogą w głosie wydawał rozkazy pacholkom i sam krzątał się a kręcił jak mucha w ukropie, biegając tam i sam do kuchni, piwnicy, do stajni, skąd dochodziło rzenie koni i krzyki snadź licznej służby.

— Ktoś przybyć musiał... jakaś znaczna persona — szepnął Kozięka.

— Kto jest w gospodzie? — zapytano Sza-

frańskiego, gdy ten zmordowany przysiadł w sieni, ocierając pot spływający mu po twarzy kroplami — kto przybył?

— Oj! oj! — jęczał Szafrański — dajcie mi wacpanowie spokój! Straszne rzeczy! straszne rzeczy!

Przerażenie gospodarza niepomału zdumiało gromadkę szlachty. Otoczono go kołem i zarzucano pytaniami, ale pan Szafrański głową kręcił, rękami machał, wzdychał ciężko i nie odpowiadał nic, jeno na drzwi gospody, jakby z trwożą spoglądał.

— Panie Baranku! czy jak tam waści? — zagrzemiał nagle głos donośny, męski, silny, z wnętrza izby gospodnej — chodź sam tu!

Szafrański zerwał się i pośpieszył co tchu do izby, a gromadka szlachty pozostała pod drzwiami, spoglądając na siebie w zdumieniu.

— Co to być może? — szeptano — kto zacz jest w izbie?

Kozięka ciekawości stłumić nie mogąc, wyszedł z sieni i wspiąwszy się na palcach ku oknu, do wnętrza izby zaglądnął.

Okna były małe, nie zbyt przejrzyste, a migające światło ogniska na kominie rozłożonego, nie dawało odrazu rozpoznać dobrze, co się wewnątrz działo... Długo patrzył pan Kozięka i wzrok wyteżał, a za jego przykładem i reszta kompa-



ni, zajmąwszy miejsca przy innych oknach, to samo czyniła, zaglądając przez szpary, a zamieniając od czasu do czasu stłumione pytania i wykrzykniki:

— Czy widzisz waść?

— Kto to może być?

— Jakby Brzechwa tak wielki!

— Ależ to olbrzym, nie szlachcic!

Za stołem siedziała rzeczywiście niezwykłych rozmiarów persona. Przybysz ów, obrócony był twarzą ku oknu, tak że po chwili, zaglądająca w nie szlachta mogła rozpoznać jego rysy, dziwnie wielkie. Włosy ciemne, dobrze już przyproszone siwizną, mocno podgolone, odkrywały czoło szerokie, groźnie ściągnięte nad oczami, które wszelako nie miały chmurnego wyrazu. Owszem, przebijała się w nich dobroduszość pewna, dziwnie sprzecząca się z marsem na czole. Cała fizygnomia nieznanego o rysach bardzo wybitnych, miała wyraz wielkiej stanowczości i powagi, łagodzonej pełnym szczerości uśmiechem, który od czasu do czasu pojawiał się na ustach, okolonych wąsem sumiastym, a nieco wydętych i mięsistych. Olbrzymia ta głowa, osadzona na krótkiej, grubej szyi, wspierała się na ramionach odpowiednio szerokich. O wzroście sądzić było można z nóg wyciągniętych, a sięgających daleko po za obręb stołu,

za którym siedział ów przybysz, zajadając z wielkim smakiem jakieś arcydzieło kulinarnego kunsztu, sporządzone na prędcie przez kuchmistrza pana Szafrąńskiego, i zapijając miodem, którego wielki gąsior stał na stole, wypróżniony już na poły. Odziany był ów szlachcic w zwykły strój podróźny, ale dość strojny: miał na sobie kurtkę ciemno zieloną, sukienną, guziczkami małymi gęsto na przodzie i koło rękawów ozdobioną, a barankami podszytą. Szlachcic jadł i pił głośno, mlaszcząc językiem, a od czasu do czasu chrząkając tak silnie, że się szyby trzęsły.

Naraz powstał... A czynił to powoli, rozprostowując stopniowo swą wspaniałą postać, jakby nią pochwalić się chciał przed zaglądającą szlachtą. Wstawał i wstawał i jeszcze końca temu nie było, że aż prawie do powały głową dosięgał.

Głośny szmer podziwu zgromadzonych pod oknami towarzyszył temu wstawaniu olbrzymiego szlachcica.

— Dalipan! — zawołał któryś głośno, zdumienia pohamować nie mogąc — takiego wielkoluda jeszcze jakem żyw nie widział!

Nierozważny ten wykrzyknik i szmer po za oknami, zwrócił uwagę przybysza, który jednym krokiem był już przy oknie, otworzył je szarpnawszy i wyglądnął. Nie dostrzegł jednak nic, bo cała kompania pana Kozieki, na widok zmie-

rzającego ku niej olbrzyma, czmychnęła od okien i w jednym momencie była już w sieni, kryjąc się tam w ciemnościach.

Wielki szlachcic otworzył drzwi i wrzasnął:  
— Mości Baranku!

Szafrański wnet nadbiegł, kłaniając się pokornie.

— Szafrański jestem... *de nomine* Wincenty — rzekł nieśmiało.

— Furda panie! — krzyknął wielkolud — jeno waść patrzaj, by mi tam przez okna nie zaglązano; jakieś nicponie powlepiali nosy w szyby i gadali głośno. O mnie mniejsza, bo ja tam furda panie! strzelam, gdy kto na mnie zagłada i basta! ale pan starosta tego nie ścierpi i gotów zły być!

Mówiąc to wielki szlachcic uśmiechał się pod wąsem, ale szlachta, schowana w najciemniejszym zakątku sieni, nie widząc tego, oniemiała z przerażenia.

— Hm... hm... — mruczał Kozięka — nie-szpetna alternata: on strzela i basta — a pan starosta jeszcze gorzej... ciekawa rzecz, co gorszego jeszcze być może?

Szafrański tymczasem mitygował przybysza.

— Niech wasza miłość będzie spokojny... to może wiatr oknem szarpnął...

— Nie wiatr... nie wiatr... mości Baranku!

— Szafrański jestem...

— Furda panie! nie przerywaj mi wacpan i idź precz! a pilnuj, aby było cicho!

Drzwi izby zamknęły się z trzaskiem, a Szafrąński blady z przełknięcia, zwrócił się ku szlachcie, która wyszedłszy z ukrycia otoczyła go kołem.

— Chodźcie waszmościowie... wyjdźcie stąd! — szepnął gospodarz — żali nie widzicie co się dzieje?

I wyszli wszyscy razem na palcach, bramę zamknęli i dopiero o kilkanaście kroków od gospody przystanąwszy, jeśli pytać Szafrąńskiego, ktoby to był ów przybysz.

— Nieszczęście! kara boża, powiadam waszmościom — rzekł Szafrąński, wzdychając bardzo ciężko — dopuszczenie straszliwe na mnie i na Lublin cały... Wiecie waszmościowie kto przybył?

— Ależ mówże wacpan! — przerwał niecierpliwie kniaź — nie wiemy nic, a waść wzdychasz jeno i mówić nie chcesz. Kto jest ów wielkolud?

— E! — machnął ręką Szafrąński. — Wielkolud to jeszcze nic. To zacny ziemianin i rycerz sławny, on nikomu krzywdy nie uczyni. Jest to imięp. Niezabitowski.

— Znam! znam! — zawołał Kozięka — rotmistrz królewski, dzielny wojownik, który w potrzebach z Tatarami i w tej pskowskiej...

— Rotmistrz — przerwał Szafrąński — ten, co to tak był wielki, że oko od oka było u niego na dwie dłonie, a który Turkom i Tatarom tak był straszny, że jeno ujrzawszy go pierzchałi; zwał się Jakób, a już pono zmarł, bo i wielkoludy umierają. A zaś ten zowie się Sebastyan, choraży, i jest pono bratankiem owego Jakóba. Wielki jest także okrutnie, postawę groźną ma i krzyczy: furda panie! Ale jego ja się nie lekam, bo człek jest słuszny i prawy... za to ten drugi...

— A któż jest ten drugi?

— Kto? kto? — powtórzył z cicha, drżącym głosem p. Szafrąński — i zbliżywszy się prawie do ucha Kozięki, szepnął:

— Nie kto inny — jeno sam starosta Zygwulski... Stadnicki!

— Dyabeł! — zawołało kilka głosów.

— Jezus Marya! — wrzasnął Kozięka i aż ku ziemi przysiadł.

— Mości Baranku! — zagrzmiął w tejże chwili głos potężny od gospody — a gdzież to wędrujesz? Furda panie! posługi żadnej nie ma!

Szafrąński poleciał co tchu, a szlachta została na środku ulicy, spoglądając na siebie w zalęknieniu wielkiem.

III.

Tymczasem w dworku, w którym mieszkał Szornel, panował także ruch niezwykły. Rotmistrz, skoro go Brzechwa ze Stawskim doprowadzili do izby, padł osłabiony na łożo i długo pozostawał jakby bez czucia. Cześnik i Brzechwa w przestraszeniu sami nie wiedzieli co począć i naradzali się z sobą z cicha, a wreszcie postanowili zbudzić właściciela dworku Żegotę, który jako człek experyencyi niepośledniej i leki rozmaite mógł znać w razach nagłej choroby. Zaczem Brzechwa, jako już lepiej panu Żegocie znany, ofiarował się iść na drugą stronę dworku, a czynił to nie bez trwogi, jak zostanie przyjęty, lecz zarazem z nadzieją, iż przy okazji tej uda mu się może i Reginkę zobaczyć.

Żegota spoczywać już musiał, gdyż Brzechwa długo we drzwi kołatał, zanim ujrzał go wychodzącego z latarką w ręku.

Spostrzegłszy Brzechwę zdumiał się wielce Żegota a zarazem strwożył, domyśliwszy się, iż coś straszliwego stać się musiało.

— Na Boga! — zawołał — co wacpana o tej porze tu sprowadza?

— Imćp. rotmistrz Szornel zachorzał! — odparł szybko Brzechwa — i oto przychodzę wac-



pana zawiadomić o tem a o radę w tym nagłym wypadku prosić.

— Pan rotmistrz zachorzał! — zawołał Żegota w przerażeniu. — Wielki Boże! już od kilku dni widocznie był słaby.

I nie pytając więcej, biegł ku izbie Szornela.

Weszli tedy obydwu razem i ujrzeli jako Stawski nachylony nad łóżem coś mówił pociachu z rotmistrzem. Przybliżyli się, a cześnik zwróciwszy się ku nim, rzekł:

— Imép. rotmistrz czując się wielce osłabionym, a wiedząc, że końcem człowieka śmierć, pragnąc zaś w tym trudnym terminie przygotowanym być, jako prawemu chrześcijaninowi przystało, prosi, ażebyśmy x. Krescentego wezwali a obligowali, iżby nie zwłócząc, tu przybył. Tedy ostawiam tu waszmościom opiekę nad chorym, a sam spieszę do x. Krescentego i z nim tu lada moment nadbiegnę.

Rotmistrz słabym ruchem ręki zdawał się przytwierdzać tym słowom i dziękować. Zaczem Stawski wnet wyszedł a Żegota przykląkł przy łóżu i z widoczną trwogą a żalem wpatrywał się w blade rysy starca, który jeno oddychał ciężko i zamknąwszy oczy zdawał się we śnie pogrążonym.

Brzechwa stał opodal, a chociaż także do

głębi poruszony tem czego był świadkiem, rozglądał się wszakże z ciekawością po izbie dość dużej, słabo rozwidnionej latarką pana Żegoty i światłem woskowej świecy palącej się przy łożu chorego.

W urządzeniu tej izby nic zgoła nie potwierdzało podejrzeń kniazia Koziaki. Urządzenie to było bardzo ubogie; prócz łoża, a raczej wielkiego tapczana skórą, niedźwiedzią pokrytego, stołu i ław drewnianych, nie było tam nic, coby o zamożności świadczyć mogło. Jeno nad łożem wisiał misternej roboty krzyż z rozpiętym ciałem Zbawiciela, a pod nim — co szczególniejszą pana Brzechwy zwróciło uwagę — wielka i dziwnie piękna szabla, z głownią damaszkową, suto złotem i drogimi kamieniami sadzona. Na stole rozwarta leżała xięga w skórę oprawna, a na nią gdy spojrział pan Brzechwa, przekonał się, jako to była xięga Żywotów Świętych i modlitewnik, snadź często używany, bo karty miał pożółkłe i szerniałe.

— Kalumnia! istna kalumnia! — szepnął pan Brzechwa, myśląc o owych podejrzeniach Koziaki.

Ale nie mógł zbyt długo zastanawiać się nad tem, bo oto znagła skrzypnęły drzwi wchodowe i na czarnem tle pograżonej w ciemnościach sieni, ukazała się biała postać niewieścia. Piękna

Reginka, obudzona ze snu hałasem o tej porze niezwykłym, zarzuciła na siebie białą jakąś, powłóczystą szatę, i z rozpuszczonymi włosami wbiegła tak, niby zjawisko nieziemskie — lecz zoczywszy Brzechwę, cofnęła się, tłumiąc okrzyk.

Brzechwa oniemiały, z gębą i oczami rozwartemi szeroko, patrzył i wzroku oderwać nie mógł. Reginka zalekniona, stała w progu, wysoka, smukła, białą szatą ową i jasnymi włosami jakby płaszczem okryta, oczy wielkie, mieniające się jak gwiazdy, utkwivszy w postać ojca kłęzącą.

— Ojczy — szepnęła — pan rotmistrz zachorzał?

— Na dźwięk tego głosu, który Brzechwie zdał się dziwnie miękkim i słodkim, Żegota powstał z klęczek i pospieszył ku córce, a rotmistrz otworzył oczy i ujrawszy Reginę, obie dłonie ku niej wyciągnął.

— Doniu! — przemówił.

Reginka słysząc te słowa, rzuciła się ku łożu, nie bacząc już na obecność Brzechwy i przykląkwszy, z wielką czułością jęła całować ręce rotmistrza.

— Doniu — mówił Szornel urywanym i stłumionym głosem — oto Bóg powołuje mnie już snadź ku sobie. Ty, pomnij na wszystko com cię nauczał w imię boże i wedle słowa bożego.

Nie bacz na rozkosze świata, bo marność wszystko i nad marnościami marność!

Reginka ukrywszy twarz w dłoniach, szlochała, że i panu Brzechwie jakoś dziwnie rzewnie na sercu robić się poczęło, a Żegota niemniej wzruszony, rzekł:

— Da Bóg, jeszcze się waszmość, panie rotmistrzu podźwigniesz. Ta chwilowa niemoc przeminie...

— Życz mi raczej — przerwał rotmistrz — aby się to już raz dokonało... Ufam, że spoczynku wieczystego dostąpię, ile że w ciągu długiego bardzo żywota, krzywd a pohańbienia — jako wiesz dobrze — znosiłem nie mało...

Rzekłszy to, umilkł, oczy zamknął i pozostawał znów nieruchomy, jakby martwy, a w izbie słychać jeno było ciężki oddech chorego, stłumione szlochanie Reginki i westchnienia Żegoty. Brzechwa zalterowany wielce, a nie rozumiejąc zgoła wszystkiego, czego mimowolnym był świadkiem, z niepokojem oczekiwał przybycia Stawskiego z x. Krescentym. Niebawem też drzwi się otwarły i ukazał się pleban, a za nim cześnik zaczerwieniony i zdyszany od wielkiego pośpiechu. — X. Krescenty pozdrowiwszy Imię Zbawiciela, przystąpił do łoża rotmistrza i rzekł:

— Pokój waszmości, panie rotmistrzu! przybywam na wezwanie wasze...

Szornel oczy otworzył; błędnym zrazu wzrokiem, jakby ze snu zbudzony, spojrzął na obecnych, a potem głosem cichym, odpowiadając xiędzu, rzekł:

— Dzięki wam ojcie za pospiech... ile że maluczko, a czuję, iż mi sił nie stanie. Czas mi iść na odpoczynek wieczny.

Zaczem wszyscy, Żegota z rozplakaną Reginką i Stawski z Brzechwą wyszli, ostawując rotmistrza z plebanem. Brzechwa chciał do siebie iść, ale go Stawski zatrzymał, przekładając, jako należy x. Krescentego do domu odprowadzić. Żegota zaś uprzejmie ich prosił, aby weszli do izby gościnnej, gdzie też w smutku a milczeniu czekali.

Długo trwało zanim x. pleban wyszedłszy, inwitował wszystkich napowrót do komnaty rotmistrza, oznajmując jako chory, czując się bliskim śmierci, chce się z nimi pożegnać.

Rotmistrz błądy bardzo, bledszy jeszcze niż był przed chwilą, siedział teraz na łożu, wsparty na poduszkach, a oddychał coraz ciężiej. Zmieniony był srodze; długie, siwe włosy spadały mu w nieładzie na czoło i ramiona. Na obliczu wychudłem, zapadniętem, cień śmierci rył powoli swoje piętno. Oczy jeno świeciły teraz gorączkowym blaskiem, a na ustach pojawił się jakby uśmiech rzewny, łagodny, który całą zwykle su-

rową a posepną twarz rotmistrza rozpromieniał nieziemskim spokojem.

Gdy Reginka żalu nie mogąc potłumić, znów u łoża przykląkłszy, głośno płakać i łkać zaczęła, Szornel najpierw ku niej się zwrócił i dłoń drżącą na głowie dziewczęcia złożywszy, urywanym głosem mówić począł:

— Nie płacz, doniu, a łzami nie obrażaj Tego, który w miłosierdziu swem długiego żywota mi użyczywszy, po ciężkich znojach a trudach, koniec daje pogodny. Święć się Jego wola!... Chciałem i wam waszmościowie, tobie mości cześniku i tobie panie Brzechwo, dzięki powinne złożyć za pomoc mi daną. Bez was, przyszloby mi może u cmentarzyska owego, bez pociechy ostatniej a pokrzepienia, którego jako grzesznik wielki mocno potrzebowałem, niegodnego żywota dokonać. Toż dzięki wam gorące składam, a tam przed Majestatem najwyższym kędy idę, nie przepomnę o dobrodziejstwie przez was mi wyświadczonem...

— Niceśmy takiego, mości rotmistrzu, nie uczynili, coby na podziękę zasługiwać mogło — przerwał Stawski, głosem od wewnętrznego wzruszenia drżącym. — Co do mnie, żałuję jeno, iżem, choć tak bliski sąsiad waszmości, nie miał pierwej okazji...

— Mea culpa! — przerwał Szornel — i oto



com dalej rzec miał, z prośbą, byście to waszmościowie innym braciom szlachcie powtórzyć raczyli, ile że życiem mojem odludnem a dziwaczem zgorzenie mogłem dać, a w tych czasach falesznych nauk heretyckich i praktyk bezbożnych, suspicye szpetne obudzić. Od kilku miesięcy tu mieszkając, z nikim nie chciałem konnexyj mieć, stroniłem od ludzi i do świątyni bożej nawet nie chodziłem, żeście mnie snadnie posadzić mogli o bezbożną niewiarę. Otóż w tym uroczystym momencie, wyznaję przed wami, a proszę, byście to wyznanie moje publicznem uczynili, jako w religii a wierze świętej rzymsko-katolickiej umieram.

Tu głos rotmistrza nabrał siły niezwykłej; w ferworze tym dźwignął się o własnej mocy i obie ręce podniósł do góry.

— Zawždy byłem wierny wierze ojców moich! — zawołał — i dla niej gotów byłem śmierć ponieść, chociaż w jaskini łotrów żyłem i otoczony byłem fałszem a herezyą... Jeżeli zaś do świątyni bożej nie chodził i do Sakramentów śś. nie przystępował, to nie przeto, abym wiary nie miał, jeno żem w sercu żał srogi a nienawiść pogańską chował...

Głos podniesiony złamał się nagle w piersi rotmistrza, który przez długą chwilę mówić nie mogąc, przymknął powieki i jeno coraz cięższej

oddychał a rękami niespokojnie rzucał. W uroczystem milczeniu a z niewypowiedzianym jakimś uczuciem żalu, wszyscy oczekiwali co dalej nastąpi.

Zaczem Szornel oczy otworzył i tak mówić znów począł:

— Żywotem długim obdarzył mnie Pan. Od dałem go na usługę tej Rzeczypospolitej... Nie godzi mi się mówić com czynił i jako czynilem, bo nie dla chluby własnej a zaszczytów tom sprawił... To jedno wolno mi rzec, iż gdziekolwiek zdarzyła się okazyja, szedłem ku obronie; nie szczędziłem krwi mojej i obym ją był oddał do ostatniej kropli w potrzebach onych, a nie ostawiał jej po to, by ją przyjaciel w srogięgo wroga zmieniony, zatrzał nienawiścią!..

Głos Szornela wzmógł się znowu, lubo drżał od silnego wzruszenia.

— I oto — mówił dalej Szornel — dopuścił na mnie Pan krzywdy, a pohańbienie wielkie... Za poświęcenie żywota, za to iżem z wyklętym, — oby Bóg miłościw był duszy mojej! — pozostał i społeczności z nim się nie wyrzekł — wydarł mi on to wszystko com najdroższego miał, największy skarb mój, szczęście jedyne żywota... wydarł mi dziecko moje, syna mi zabrał!... trując go za młodu jadem kłamstwa i herezyi straszliwej...

Gdy to mówił rotmistrz, oczy jego, niby dwa węgle żarzące, płonęły gorączkowym blaskiem, ręce wyciągał przed siebie, a blizna owa, która mu twarz znaczyła, zabiegła krwią i purpurową się stała.

— Wypatrzyłem wzrok mój! — wołał w uniesieniu wielkiem — przeszedłem wzdłuż i wszerz kraj cały... szukałem syna, wyczekiwałem jego powrotu, a przeklinałem tych, którzy mi go zabrali. Żywot mój stał się odtąd jedną męczarnią, jednym złorzeczeniem. Nie mogłem przebaczyć. Żal srogi rozdzierał mi duszę... Toż lepiej byłoby stokroć, gdyby mi byli zamordowali syna, niżby go mieli herezyą truć, a na manowce wieść bezbożne. Nie mogłem przebaczyć i przeklinałem duszę łotra i plemię jego niegodne!

Tu x. Krescenty widząc wielkie wzburzenie rotmistrza, który miotał się jakoby w malignie, pochwyił ze ściany krzyż i stawiając go przed oczu starca, rzekł poważnie:

— Przebaczyłeś... jako i Ten na krzyżu przebaczył...

Zaczem Szornel głowę pochylił, a po chwili podnosząc dłoń ową, w której czterech palców brakło i uderzając się kornie w piersi, już zeicha i spokojnie mówił:

— Przebaczyłem... ale ciało mdłe, chociaż duch skory jest... Boże, bądź miłościw!

— Nie męcz się, mości rotmistrz — ozwał się znów pleban — może dokończysz jutro, co byś chciał teraz rzec...

— Jutro? — odparł Szornel — jutro nie moje... Owszem, dziś mówić chcę i mówić muszę, jeno już będę spokojny, a nie wiele mi i rzec pozostało. Darujcie uniesienie, a niech ono zgorszeniem wam nie będzie, ile że serce, dopóki życie w niem nie zastygnie, krwawić się a boleć musi na myśl, iż mi syna jedynaka wydarto... Kto z was ojcem, ten zrozumie... Mając tedy żal i nienawiść w duszy, nie mogłem do świątyni bożej iść, ani do Sakramentów uczęszczać świętych, ile że kłamać nie umiałem przed ludźmi, a nacóżby się zdało kłamstwo przed Bogiem, który zna serce człowieka? X. Krescenty poświadczy, jako przybywszy tu, chodziłem doń a prosiłem, by mi pobożnemi modłami swemi łaskę przebaczenia wyjednał... Modliłem się z nim społem, ale każdą modlitwę kończyłem — strach powiedzieć — przekleństwem!.. Występną duszę moją opanował szatan nienawiści... Wiara prowadziła mnie do stóp ołtarzy, on mnie od nich odtrącał, stawiając przed oczy wyrządzoną mi krzywdę... Żyłem tedy jako bezbożnik, snując się niby mara, w nocy, po cmentarzyskach,

gdzie wołałem do Pana o zlitowanie i śmierć... W tej ciszy cmentarnej było mi czasem lżej na sercu i tam niekiedy modlić się mogłem. W takich męczarniach srogich ubiegł mi oto dziewiąty krzyżyk żywota...

Zamilkł rotmistrz, widocznie znudzony bardzo, a nikt z obecnych nie śmiał przerywać ciszy, wśród której słychać było jeno chrypliwy oddech chorego. Brzechwa wciąż oczy rękawem ocierał, Stawski wzdychał, a Reginka ze wzrokiem utkwionym w oblicze rotmistrza, klęczała nie płacząc już, jeno blada straszliwie, bledsza od owej szaty białej, która ją okrywała. Żegota stojąc obok x. Krescentego, szeptał z nim razem pacierze.

— Wybaczcie proszę — mówił dalej Szornel, ochłonawszy nieco — wybaczcie zgorzenie, jakie życie mojem odludnem i owemi wędrówkami po cmentarzyskach uczynić wam mogłem, a miejcie pamięć o występnej duszy mojej. Proszę was i obliguję, byście świadczyli, jeśli się tego nadarzy potrzeba, jako w Imię Chrystusa ukrzyżowanego przebaczyłem. Ażebyście zaś prośby mej dalszej wysłuchać mogli, to wam rzec muszę, iż ten, który mi syna wziął a w herezyi go wychował i na manowce rzucił, zwał się Stanisław Mateusz Stadnicki z Niedźwiedzia,

który lat temu wiele, żywota dokonał w Dubiecku.

I z wysiłkiem wielkim, złożywszy ręce i podniosłszy wzrok na krzyż, który x. Krescenty przed oczy mu stawił, dodał Szornel:

— Niech odpoczywa dusza jego w spokoju!

Była to pierwsza modlitwa przebaczenia od lat wielu.

— Syn mój — mówił znowu rotmistrz po chwili wytechnienia — wychowany wbrew woli mojej w błędach aryańskich, potem z synem owego Stadnickiego, Stanisławem, w rycerskiem zaprawiał się rzemiośle i zrazu dzielnie sobie poczynał. Odnajdywałem ślad jego wszędy, bom wszędy szedł za nimi, pomimo wieku i sterania. Ale syn ten obcy mi prawie, głuchy był na prośby moje, a onego Stanisława opuścić nie chciał. Dopóki walczył dzielnie w potrzebach rycerskich, ku obronie Rzeczypospolitej, nie mówiłem nic, ale kiedy on Stanisław Stadnicki „Dyablęm“ zwan, zabaczywszy powinności szlacheckiej, począł harce wyprawować, a wojny wszczynać domowe, i zebrawszy kompanię dziką, kraj własny niszczyć a na prawa innych się targać, wonczas wezwałem syna, by Stadnickiego opuścił, wyrzekłszy się z nim współnictwa. On wszakże odrzucił prośby moje i na Węgry ze Stadnickim uszedł, zmieniawszy nawet nazwisko



ojców a od herbu zwąc się rycerzem Dołęgą. Pomnisz, mości Żegoto, boś wonceas świadkiem był w Krakowie, gdy ten syn mój rodzony, zgubiwszy duszę w błędach aryańskich, wyrzekł się rodzica swego i odepchnął mnie. Przekląłem krew własną... przekląłem syna, złorzecząc w dwójnasób Stadnickim, i temu co zmarł już i przed sądem bożym jest, i temu co żyje na hańbę swojego imienia!

Tu znów x. Krescenty podał krzyż Szornełowi, a ten w obie ręce go pochwycił i do ust poniósł, całując.

Zaczem głosem coraz cichszym, coraz słabszym, tak kończył:

— Zbierają się chmury nad tą Rzeczypospolitą. Rozbiegały się bardzo języki złe, ku wojnie domowej, przeciw majestatowi królewskiemu podburzając. W rzędzie zaś tych, którzy najgłośniej krzyczą, staje on „Dyabeł“ Stadnicki, z innymi jako Herbut, Łaszcz i tym podobni. Bóg wie, co stąd wyniknąć może; wiem, że wzburzenie panuje już wielkie, zwłaszcza od kiedy Stadnicki, który niedawno z Węgier powrócił, uwija się tu, w lubelskiem i sandomierskiem, zwolenników między szlachtą szukając. Doniesiono mi, jako niebawem chcą zwołać zjazd walny szlachty pod Lublinem. Przybędzie tu zatem Stadnicki, a z nim zapewne i rycerz ów Dołęga, syn mój.

Chciałem dożyć tej chwili, pragnąłem raz jeszcze stanąć przed nim i rzec mu ostatnie, rodzicielskie słowo upomnienia. Bóg chciał inaczej! Ale was, panowie bracia, obliguję, ciebie ojczyźnie Krescenty proszę i ciebie także wierny mój Żegoto, byście starali się dotrzeć do owego rycerza Dołęgi, opowiedzieli mu śmierć moją, zanieśli mu prośby moje ostatnie, przebaczenie i błogosławieństwo. Żywego nie usłuchał, może umarłego usłucha, a nawróci się i opamięta!

Znużony, osłabły do ostateczności, opadł rotmistrz na poduszki i jęczeć głucho począł, a wszyscy rzucili się ku niemu cucąc i zimną wodą nacierając skronie. Długo trwało, zanim rotmistrz znów oczy otworzył, głową i rękami rzucając z niepokojem, jakby czegoś wkoło siebie szukał. Wzrokiem widocznie gasnącym, zamglonym, krążył po izbie, a ujrawszy klęczącą u łoża Reginkę, w wielkiej boleści pogrążoną, z trudem trzęsącą się rękę ku niej wyciągnął i przemówił jeszcze, urywając co słowo:

— I ty także prosz go... i módl się za nim, Reginko, doniu moja...

Zaczem x. Krescenty widząc, jako ostatnia godzina się zbliża, wziął księgę i gromnicę zapaliwszy, począł na głos czytać modlitwy *in articulo mortis* przepisane, a wszyscy przyklękłszy, powtarzali je za nim. Rotmistrz leżał już jak

martwy, trzymając ciągle krzyż w dłoni. Zdawało się, że nie widzi i nie czuje już nic, bo oczy zawarł, a oddech coraz cichszym się stawał. Jeny usta poruszały się czasem, jakby powtarzały słowa modlitwy a zaś z pod powiek przymkniętych, wybiegły i zwolna toczyły się po wychudłych policzkach dwie łyzy duże, świadczące o życiu i boleści.

Wśród uroczytej ciszy rozlegały się słowa modlitwy:

„Wyjdź duszo chrześcijańska... *Suscipiat te Christus, qui vocavit te!*“

. . . . .

Wtem stała się rzecz niespodziewana. Na ulicy, przed dworkiem, dały się słyszeć kroki jakby uciekających ludzi. Zdala dochodził tętent koni; dzikie jakieś wrzaski, zmieszane z turkotem wozów i szczękiem broni zamąciły nocny spokój. I pod oknami dworku ozwało się kilka głosów śpiewających pieśń szyderczą:

Stadnicki dyabeł wcielony  
Puścił głosy na wsze strony,  
Że pana z królestwa zrzuci,  
Krążąc, ryczy, bałamuci!

— Opalińszczuki! łotry! a łapaj! — wrzeszczały inne głosy i wnet ów tętent bliższym się stał, okropna wrzawa rozległa się pod oknami, wyzywania a obelgi straszliwe. Widocznie owi

śpiewający uciekali przed liczną pogonią. Na nazwisko Stadnickiego rotmistrz drgnął cały; usta wykrzywiły mu się kureczowo, ale oczu nie otworzył — gdy w tejże chwili zaczęto dobijać się do bramy dworku.

— Tu się ukryli! — wołano — tu ich złapiemy!

— Otworzyć! krzyczał głos jakiś potężny — otworzyć! a nie, to bramę wywałę!

Żegota chwyciwszy latarke, biegł spieszenie ku drzwiom, lecz w tymże momencie rozległ się łoskot straszliwy i kilku zbrojnych, wysadziwszy snadź bramę, z trzaskiem i hukiem wkroczyło do komnaty.

Przodem szedł rycerz, wysokiego wzrostu, wyniosłej postawy, w sile wieku. Jakkolwiek strój miał na sobie podróżny i błotem zbryzgany, jednak wnet poznać było można, że to niepoślednia persona. Z twarzy ogorzałej, bujnym zarostem pokrytej, z oczu ciemnych a dziwnie wyrazistych i pięknych, biła wielka śmiałość. Wszedł rażno i parę kroków postąpił ku łożu, na którem w słabem oświetleniu gromnicznego płomyka, widniała postać konającego starca. Rycerz chciał coś rzec, bo usta otworzył, ale spojrzawszy na ową postać, stanął w zdumieniu wielkiem.

— Co to jest? — rzekł z cicha.

Rotmistrz nie otwierał oczu podczas całej wrzawy, ale na dźwięk tego głosu poruszył się gwałtownie, rozwarł szeroko powieki i długo, jakby w osłupieniu, patrzył w twarz owego rycerza.

Naraz, ostatkiem sił porwawszy się, rzucił się naprzód ku niemu, i oba ramiona wyciągnąwszy, krzyknął wielkim głosem:

— Syn mój!

Okrzyk Reginki wtórował tym słowom. Nikt jednak na nią nie zważał, jeno wszyscy zwrócili się ku rycerzowi, który blady, pomieszany wielce, wahał się chwilę, a potem, jakby niepohamowanym tknięty uczuciem, z głuchym jękiem, przypadł do stóp starca.

Ramiona rotmistrza drgając konwulsyjnie, pochwyciły szyję rycerza; przez chwilę cisnęły ją do piersi, aż nagle opadły bezsilnie.

— Umarł! — jęknął rycerz.

Zaczem ojciec Krescenty, zbliżywszy się ku łożu i dotknąwszy czoła rotmistrza, naznaczył je krzyżem świętym i rzekł:

— *Requiescat in pace!*

---

IV.

Zaledwie na dzień szarzeń poczęło, a już pan Szafrąński z całą służbą swoją na nogach był i krzątał się żywo, rozkazy wydając. W twarzy bladej, a w oczach bezsennością zaczerwienionych, łącno wyczytać było można wewnętrzny niepokój i trwogę. I zaiste ważne ku temu powody miał sławetny imćp. Szafrąński. W nocy, już po odejściu Koziaki i jego kompanów, gospodę jego, zwykle spokojną widownię bezkrwawych zapasów imćp. Brzechwy z cześniakiem, najechała tłumnie nadworna milicya jw. starosty Zygwulskiego. A była to hałastra, o której w całym Lublinie straszliwe obiegały wieści, zwłaszcza od czasu, gdy pan Stadnicki coraz częściej okolice te najeżdzać począł. Ci co sposobność mieli widzieć pana starostę i jego drużynę, dziwy o tem rozpowiadali; toż gdy pamiętnej owej nocy, w której pan Szornel żywota dokonał, ukazał się cały oddział zbrojny na rynku Lublina, krzykiem i hałasem iście piekielnym budząc miasto uspięne, i gdy wieść gruchnęła, jako to jest p. Stadnickiego kompania, strach przejął wszystkich i z rana nikt nie śmiał wyjrzeć na ulicę; — przez okna tylko i drzwi wyglądano trwożliwie. I zaprawdę było czego się bać. Oprócz



owego rycerza, którego widzieliśmy w chwili zgonu rotmistrza Szornela, a który postawę miał piękną, zgoła nie odrażającą, reszta kompanii, licząca przeszło stu a może i dwiestu jeźdźców — bo w tem srogiem zalterowaniu pan Szafrąński policzyć ich nie zdołał, a w oczach mu się dwoiło — wyglądała iście na dziką hałastwę. Odziani byli dziwnie: jedni z węgierska w kurty i futrzane opończe, na głowach mając kaptury lub wysokie kiwiory albo magierki; inni w kaftanach ze skóry, inni z niemiecka w ornamentelach dziwnych, z opuchami futrzanymi, jeszcze inni w guniach pospolitych, wreszcie w ferezyach tureckich, kierejach, kieczach sukiennych lub kopieniakach, z pod których połyskiwała czasem zbroja, także rozmaita. Niektórzy w rękach i za pasem mieli topory, inni maczugi albo buławy kolczate, inni wreszcie czekany lub pałki olbrzymie. A mowa ich — Boże odpuść! — istna wieża Babel. Ani zrozumieć. Jeno z głosu a srogiego wyrazu twarzy można było rozpoznać, że musiały to być same złorzeczenia srogie a przekleństwa. Ci co po polsku mówili — a było i takich siła — klęli tak, że człek słuchając myślał już, iż w piekle jest, a słyszy dokoła gwar i miotania się szatańskie. Cóż dopiero, gdy przy dziennym blasku ujrzano twarze tych kompanów starosty! Strach patrzeć... Pan Szafrąński opowia-

dał, jako wszyscy mieli ogorzałe, czarne oblicza, patrzące dziko oczami groźnemi, które świeciły białkami jakby cygańskie. Wszyscy prawie z brodami i włosami długimi a skudłaczonymi, boć przecie rozczesywać ich i trefić czasu nie mieli.

Padł więc lęk srogi na mieszkańców Lublina, zwłaszcza gdy usłyszano, jako zaraz po przybyciu, w nocy, hałastra owa wszczęła bójkę z dworzanami imćp. Łukasza Opalińskiego, starosty leżajskiego, który do Lublina właśnie przybyć miał dla sprawy swej w trybunale podówczas się agitującej. Mówiono, jako jednego z dworzan usieczono; obiegały nawet wieści, że rotmistrza Szornela, jeden z hałastry owej, wpadłszy doń w nocy, tak przeraził, iż tenże ducha wyzionał. Byli też i tacy, którzy twierdzili, jako rotmistrz zamordowany został, a opowiadali o straszliwych spustoszeniach, jakie pan Stadnicki z drużyną swoją w całej przemyskiej i sarnockiej ziemi czyni, o mordach okrutnych i pożogach, że z niektórych osad i włości, jak np. z Korniaktowa i śladu nie zostało.

Strach tedy wielkooki i stugębny przeszedł przez miasto, a już największy opanował pana Szafrąńskiego, który krzątając się około gospody swej, wzdychał jeno ciężko, a cichuteńko pacierze odmawiał, wzywając zlitowania bożego.

Kniaź Kozięka całą noc też spać nie mógł.

Wieść o przybyciu „Dyabła“ Stadnickiego, którego kniaź z powodów jemu tylko wiadomych zawsze bardzo się obawiał, odebrała mu sen całkowicie. Kniaź rozmyślał, spenetrować chcąc napróżno, co tu owego „Dyabła“ sprowadzić mogło. Słyszał on — bo kniaź ucho miał dobre, a publicznemi sprawami rad się zajmował — jako szlachta burzyła się wiele, a po śmierci kancle-rza Zamoyskiego, na rozmaite wahała się strony, jakoweś grawamina przeciw królowi podnosząc. Słyszał też kniaź, jako ów Dyabeł Stadnicki jednym z pierwszych był, który przeciw majestato-wi powstawał i jakoweś spiski knował. W Krakowie był kniaź nawet świadkiem, jako panu wojewodzie Zebrzydowskiemu, staroście krakow-skiemu, kazano wynosić się z zamku, gdy czyniono przygotowania na wesele królewskie z siostrą zmarłej królowej Anny, Konstancyą — i sły-szał powtarzaną podówczas dumną pogroźkę wojewody: „Tak samo jako ja z zamku, król z królestwa wyleci!“ Mówiono również — i to dobrze kniaź wiedział — że malkontentów była siła pomiędzy różnowiercami, a na czele tych stawał xiażę Janusz Radziwiłł, rozgniewany za uwieżenie w Krakowie jednego z swych dwo-rzan, który heretykiem będąc i widząc xiędza z *Sanctissimum* idącego, zniewagi się dopuścił. Wiedział również kniaź, że starosta Zygwulski

tak z Zebrzydowskim jak i z Radziwiłłem w stosunkach był, że powróciwszy z Węgier i zebrawszy tam zbrojną kompanię, która codziennie się pomnażała, poczynął dokazywać wielce, na majestat odgrażać się królewski, szlachtę niesforną i malkontentów gromadzić, a z panem Łukaszem Opalińskim, starostą leżajskim, stronnikiem królewskim, a sąsiadem swym, srogie zatargi wieść.

Kniaź tedy medytował i całą noc rady sobie dać nie mógł, przeczuwając, że coś niedobrego się święci i że to przybycie Stadnickiego do Lublina ma jakoweś znaczenie, dotychczas dla niego zakryte.

— Żeby to wiedzieć, czego ten dyabeł tu chce — myślał. — Człek w tym Lublinie, bez potrzeby żadnej, zasiedział się tak, że już i o bożym świecie nie wie, a mógłby, dalipan, jeszcze przydać się na co i sam przytem co zyskać. Jeśli ów Dyabeł stronników tu w Lublinie między szlachtą chce mieć, bezemnie się nie obejdzie. Wypadałoby pójść i submitować się mu. Ano niebezpiecznie. Pójdę — myślał dalej — widział on mnie raz w życiu, przy onem spaleniu Korniaktowa i pewno zapomniał... zresztą łba z karku przecie mi nie zdejmie. Mówią wprawdzie, że on jakby opętany i charakternikiem był, ale ja w to jego dyabelstwo nie wierzę, a kto wie? gdybym mu się przydał, to u ta-

kiego pana o dobrą kondycję nie trudno, i człek, miasto marnieć w Lublinie między tą szlachcą — hołotą, która głupia jest, a nic z niej wyciągnąć już nie można, wy dostałby się jeszcze na świat szeroki.

O Szornelu zgoła zapomniał kniaź i było już nad ranem, gdy w owych medytacyach pogrążony, usnął snem twardym. Gdy się przebudził, był dzień biały. Oczy przetaił, zerwał się na równe nogi i przyodziawszy się spiesźnie, wybiegł, dążąc „pod Baranka“. Nawet pacierza w pośpiechu tym zmówić zapomniał, jeno koło kościoła Panny Maryi, gdzie na Mszę poranną dzwoniło, przechodząc, czapkę zdjął, przeżegnał się, a myślał zgoła o czem innem. Dziwiło go wielce, że na ulicach było pusto jak wymiółł; w dworkach znajomych okiennice w pół tylko odchylone a drzwi zaparte.

— Ki-dyabeł! — mruknał kniaź — powymierali czy co?..

Przyszedłszy „pod Baranka“, jeszcze bardziej się zdumiał. Gospoda to była wielka, z przestronnym dziedzińcem i podwórzem, a dziś snadź miejsca wewnątrz zabrakło, bo cały ów dziedzińiec i podwórze, zajęte były jakby obozowiskiem jakim. Obok rozkulbaczonych koni, stali lub leżeli na rozesłanych baranicach ludzie zbrojni. Chociaż to jeszcze było rano, pili już naza-

bój, wołając a wrzeszcząc nieludzkimi głosy na Szafrąńskiego, który im miodu, wina i wszelakich trunków nastarczyć nie mógł.

Kozięka stanął przerażony, przyglądając się temu dziwnemu widowisku, a potem w obawie, aby go nie spostrzeżono, chyłkiem pod murem idąc, przekradł się cichuteńko na drugą stronę gospody, pod okna izby samego Szafrąńskiego, która w razie liczniejszego zjazdu, służyła czasem Kozięce i jego sąsiadom za chwilowy przytułek. Książę też miał nadzieję, że zobaczy tam może Brzechwę lub Stawskiego. Spojrzał przez okno i cofnął się. I ta izba przepelniona była owymi przybyszami, którzy wrzeszcząc, pili i zabawiali się jakąś grą kniaziowi nieznaną, rzucając kości. Szafrąński wśród nich się krzątał, napełniając kubki świeżo przyniesionym trunkiem, a zoczywszy zagląającego Koziękę, dał mu znak, aby czekał, bo mówić z nim pragnie.

Książę przestraszony niemało, rad był odejść już, jeno ciekawość go piekła, więc został, przykucnąwszy na przyźbie.

Za chwilę wybiegł z gospody Szafrąński i jął ręce łamać w rozpacz, a mówić tak bezładnie, że go Kozięka zaledwie zrozumieć mógł.

— Kto są ci zbrojni? — pytał go ciągle, nie mogąc doczekać się responsu.



— Kto są? — bąkał Szafrąński — zbóje, opryszki, sabatony!

— Sabatony? co zaś wacpan pleciesz? co to znaczy?

— Ano Sabatony, czy Sabaty... abo ja wiem. Jeden z nich, który Polak jest, a więc dogadać się z nim można, sam ich tak nazwał, mówiąc jako z Węgier żołnierze są. Ale mnie się widzi, że to są z całego świata opryszki, mordem i pożogą żyjące.

— Przemienienie Pańskie! — zawołał kniaź.

— Ciszej bądź waszmość, na rany Chrystusa! — wyszeptał Szafrąński, oglądając się na wsze strony i chwytając kniazia za rękę — ciszej, jeśli ci życie miłe!

— A któż im dowódcą? — spytał Kozięka.

— Stadnicki, jeno tu wodzów jest jeszcze kilku.

— Ów rycerz-wielkolud także?

— Co zaś! — zaprzeczył z oburzeniem Szafrąński. — Dziwno mi, że waść pytasz o to. Pan Niezabitowski to rycerz dzielny a prawy, który aczkolwiek niedawno w te strony przybył, wielkiego wzięcia u całej szlachty używa. Gdzieżby on tą hałastrą dowodzić chciał? Był on pono ze Stadnickim w zażyłości i z nim tu przybył, ale skoro ta zbrojna hałastra w nocy wkroczyła do Lublina, wnet się stąd zabrał i już odjechał

precz, a na odjeźdźnym z panem Stadnickim haniebnie się poróżnił. Jest tu inny starszy nad tą hołotą, który z nią wczoraj w noc późną nadciągnął. Rycerz jest okazały i dziwno mi, że opryszkami dowodzi, ile że postawę piękną ma, lubo groźną.

— Jak się zowie?

— Rycerz Dołęga.

— Dołęga... Dołęga — mruzczał książę, jakby coś sobie przypomnieć usiłował — toć herb jest, nie nazwisko.

W tejże chwili piekielna wrzawa doleciała z izby. Sabatowie owi, powadziwszy się przy rzucaniu kości, bili się już z sobą. Szafrąński kryjąc się za mur wraz z księciem, szeptał spiesznie w coraz większym przestachu:

— Na miłość boską! idź waszmość i rozgłoś co się tu dzieje. Kto żyw, niech ratuje! Oni mnie tu ze wszystkiego ogołocą i zamordują w dodatku. Żonę i dzieci wyprawilem już stąd precz, ale sam ostać się musiałem, aby patrzeć na zniszczenie mego dobytku.

Dalsze lamenty pana Szafrąńskiego zagłuszyła wrzawa coraz straszliwsza. Okno, opodal którego stał książę z Szafrąnskimi, wyleciało nagle z zawias i padło z brzękiem na ziemię, a za niem wyleciał jeden z owych Sabatów, wyrzucony jak piłka przez kilku innych, zбитy a skrwa-

wiony okrutnie. Wrzask, niezrozumiałe przekleństwa rozległy się echem. Szafranski z kniazem, nie wiedząc co czynić, uciekli w popłochu i u głównego wejścia do gospody wpadli w sam środek tłumu owych zbrojnych, którzy cisnęli się kupą, wrzeszcząc w niebogłosość. W tymże momencie otwarły się drzwi głównej izby gospodnej i na progu stanęła postać istic wspaniała.

Mężczyzna to był słusznego wzrostu, już nie młody. Wieku jego nie można było ściśle oznaczyć: mógł mieć czterdzieści kilka lub pięćdziesiąt lat, ale czasem wydawał się znacznie starszym. Twarz jego bowiem, dziwnie blade i wychudła, gdzieniegdzie już zmarszczkami znaczone, miała chwilami wyraz jakby znużenia — a zaś oczy, barwy takiej jak kocie lub rysie, przenikliwie świeciły istic młodzieńczym ogniem. Gdy spojrział, przeszywał wzrokiem na wskrós a zdawał się wówczas młodym i groźnym. Wyraz dumy niepomiernej i zuchwalstwa przebijał się w tem obliczu, a szyderstwo krzywiąc co chwila blade wargi ust zaciśniętych, szpeciło rysy wyraziste i piękne. Włos na głowie czarny, niepodgolony i takiż zarost na twarzy, przystrzyżony krótko, przeplatany był gdzieniegdzie srebrnym kosmykiem przedwczesnej siwizny. Odziany był ów mąż w podróżną kurtkę ciemną, sukienną, kitajką amarantową podszytą, z opuchami rysimi,

i takiż niski kołpaczek miał na głowie. Ręką prawą wspierał się na czekaniku z toporkiem, a kniaź, który znawcą był, wnet dostrzegł na czwartym palcu tej ręki piękny pierścień z wielkim rubinem. Uderzyła go także zapona bogata, brylantowa, którą ona kurtka spięta była pod szyją. Ale nadewszystko zwróciła jego uwagę twarz tak blada, że zdawało się, jakby ani kropli krwi w sobie nie miała.

Był to Stadnicki „Dyablęm“ zwan.

Stanąwszy w progu, spojrział groźnie przed siebie, a blade wargi, które drżały z wewnętrznego wzburzenia, przygryzł gniewnie.

— Co to za wrzask? — zapytał.

Na głos ten, ci co bliżej stali na dziedzińcu i w sieni, rozstąpili się nagle, a z tłumu tego, który wnet oniemiał, wysunął się jeden znać starszy i przystąpiwszy, submitował się kornie, chyląc się aż do stóp.

— Co za wrzask? pytam — powtórzył Stadnicki.

— To żołnierze, JW. starosto... — począł mówić ów starszy.

— Kazałem, aby wrzasków nie czynić! — przerwał starosta. — Idź waść, a kto zawinił, temu karę wymierzyc. Batogami siec, aż nie wytrzeźwieje!

Rzekłszy to, Stadnicki zamykał już drzwi,

gdy wtem wzrok jego padł na Koziękę, który z tłumu owego żołnierstwa wydostać się już nie zdołał i obok Szafrąńskiego stał, ani w przód, ani w tył ruszyć się nie mogąc.

Stadnicki groźnie brwi ściagnął.

— Jakiś obcy tu jest — rzekł — niech mówi kto i skąd przybywa?

Kniaziowi dech zamarł w piersi. Przysiadł ku ziemi i w pierwszym momencie myślał, jakby umknąć. Szafrąńskiego tedy trącał i naprzód popychał szepcząc:

— Rzeknijże co wacpan...

Stadnicki niecierpliwił się widocznie i czekaniem owym w ziemię bił.

Zaczem Szafrąński naprzód postąpiwszy, mówił z wielkim strachem, jękając się szpetnie:

— To nie żaden obcy, JW. starosto, jeno osiadły tu szlachcic, imépan Kozięka.

— Niemowa jest? — przerwał Stadnicki — wszak gębę ma, niech przeto mówi sam!

Nie było rady. Ale tymczasem i w zalęklą duszę kniazia już wstąpiło nieco męztwa. Przypomniał on sobie poranne myśli swoje, a rozumiejąc, iż moment nadszedł stanowczy i że bądź co bądź nie wypadało szlachcicowi okazywać tak wielkiego strachu, wystąpił naprzód i zebrawszy cały swój animusz, stanął przed groźnym starostą, dość odważnie się prostując.

Stadnicki cofnął się i od stóp do głowy przenikliwym wzrokiem go mierzył. Chwilę trwało milczenie, w czasie którego Stadnicki pilnie przyglądał się kniaziowi. Zwolna, usta jego gniewnie zaciśnięte, krzywić się poczęły jakimś szyderskim uśmiechem i jakby nagle namyśliwszy się, czy też przypomniawszy coś sobie, rzekł:

— Chodź waść za mną!

I szedł do izby, a za nim kniaź, drzwi zatraskując za sobą.

---

## V.

Rycerz Dołęga długo stał patrząc w osłupieniu na martwe zwłoki rodzica, poczem nagle, jakby ze snu się ocknąwszy, nie mówiąc nic, i na Reginkę, która nań dziwnym, na poły ciekawym, a na poły zaleknionym wzrokiem patrzyła, nawet nie spojrzawszy, i nie pozdrowiwszy nikogo, wyszedł, rozkazując tym, którzy z nim wkroczyli, aby szli precz. Dopiero z progu zawrócił się i postąpiwszy ku Żegocie, spytał krótko:

— Wacpan zda mi się gospodarz w tym dworku? — A gdy Żegota skinieniem głowy potwierdził, dodał:



— Wiadomo już wacpanu, jakom jest Jerzy Dołęga Szornel, syn zmarłego rotmistrza, pozwolisz zatem, że jutro wydam dyspozycyę co do pogrzebu rodzica.

Nie czekając odpowiedzi wyszedł, wskoczył na koń i krzyknawszy na swoich kompanów, pędem poleciał ku miastu.

Żegota usta otworzył, aby coś rzec, ale już przed nim rycerza nie było.

---

Już się jakieś brzaski zaranne na ciemnem przebijały niebie, a w dworku, gdzie umarł pan Szornel, na stronie zamieszkałej przez Żegotę, siedzieli jeszcze Brzechwa i Stawski, słuchając opowiadania gospodarza, który w wielkiem strapieniu po skonie rotmistrza czynił folgę sercu i w dawnych wspomnieniach szukał pociechy.

Nie odrazu wszakże rozwiązały mu się usta, nawykłe do długiego milczenia. Nieufny, samotność lubiący, patrzył on zrazu podejrzliwym okiem zwłaszcza na Stawskiego, bo Brzechwa już swem dawniejszem zachowaniem się, jako się wyżej rzekło, umiał pozyskać sobie jego względy. Wszakże poważne oblicze cześnika i jego smutek szczery po skonie rotmistrza wpływały powoli na usunięcie tej nieufności, a reszty doko-

nały pytania rzucone zręcznie przez Stawskiego, którego w tym żalu i ciekawość piekła okrutna, aby się dowiedzieć tej całej historii, w słowach umierającego rotmistrza ledwo zaznaczonej a łączącej losy Stadnickich z Szornelem i synem jego, owym rycerzem Dołęgą, który na wszystkich tak dziwne wywarł wrażenie. Na pytania Stawskiego dawał Żegota zrazu krótkie i nieznaczające odpowiedzi, ale gdy Reginka, spłakana i znużona bardzo, udała się do komnaty swojej na spoczynek, powoli się rozgadał i zaczął długo a szeroko opowiadać. A było snadź czego słuchać, bo nawet pan Brzechwa, którego sen okrutnie morzył, kąsał się w język, w ucho szczypał i oczy przemocą szeroko roztwierał, aby się rozbudzić i nie stracić jednego słowa z opowiadania tego. Czasami wprawdzie gdy Żegota, który snadź to lubił, czynił dygressye i polityczne argumentacye wyprowadzać poczynał, głowa pana Brzechwy zwolna opuszczała się na piersi i oczy przymykały, ale jeno na moment, bo wnet poprawiał się i umacniał na ławie, a głośnem chrząknięciem dawał znak, że czuwa i słucha.

A pan Żegota w opowiadaniu swem daleko sięgnąć musiał, iżby wszystko słuchaczom swoim zrozumiałem i jasnym uczynić. Musiał się bowiem cofnąć aż do czasu młodości rotmistrza Szornela, który, jako się już rzekło, w dzień

śmierci przeszło dziewięć dziesiątków lat liczył. Mężczyzną już był dojrzałym, gdy w r. 1549 rozbiegła się wieść o srogim napadzie nawały tatarskiej na ukraińskie kraje. A że od młodości obozowy pędził żywot i w rycerskim rzemiośle dobrze już był zaprawiony — boć ósmnastoletnim młodzieńcem pod Obertynem się wślawił — przeto nie namyślając się wcale, z pięknym poczem pospieszył ku obronie granic i wraz z dzielnym Pretwicem Bernatem, Sieniawskimi i Herburtem Janem mężny opór dzikiemu barbarzyństwu stawiał. Sroga to była przeprawa, ile że moc ómy tatarskiej była olbrzymia i całą siłą parła obrońców wstecz, srogie im klęski zadając.

A był tam podówczas w obozie polskim imćpan Stanisław Mateusz Stadnicki, pan na Dubiecku i Niedźwiedziu, człek wspaniałego umysłu, ale burzliwy wielce, który zapalczywości swej nigdy pohamować nie mogąc, niejednokrotnie na srogie niebezpieczeństwa się narażał, a bez wielkiej korzyści. Nie zawždy też rozkazów starszyny słuchać chciał, skąd niekarności i swawoli w obozie stawał się przyczyną, tak że raz omal pod sąd surowy za to się nie dostał. Wstawił się wszakże za nim skutecznie i zawždy go zasłaniał imćpan Jan Szornel, który chociaż rówieśnik Stadnickiego, dla swej dzielności rycerskiej a sprawności w trudnych okazyach, wyży-

szy już stopień w wojsku piastował, podówczas bowiem był już rotmistrzem królewskim.

Owóż tedy Szornel instynktową jakąś skłonnością, jak to się często między ludźmi zdarza, wiedziony, przylgnął ku Stadnickiemu a zasłaniał go przed starszyzną, podnosząc jego niezwykle męstwo i waleczność. I tak zbliżyli się oni ku sobie, pomimo wielkiej różnicy opinij, bo Stadnicki zaciekłym dyssydentem był a i w rzeczach politycznych nie umiarkowanym, Szornel zaś w politykę się nie wdając, a żarliwym katolikiem będąc, patrzył jeno, aby swej powinności żołnierskiej zadość czynić. Wszakże na dyskusye żadne w obozie nie było ani czasu ani miejsca i tak się owa przyjaźń między Szornelem a Stadnickim splotła, że odtąd z sobą w boju nieodstępni byli.

A gdy tak Tatarowie srogą nawałą następowali, zdarzyło się, że oblegli zamek xiążęcia Michała Wiśniowieckiego, zwany Peremirka, gdzie mężny spotkali opór. Wiadomo wszakże było, że załoga zamku szczupła i że xiążę długo oprzeć się nie zdoła. A chodziło wielce o utrzymanie owej Peremirki, która stała jakoby na straży całej okolicy i wstrzymywała dalszy pochód pohañców. Naradzano się tedy pilnie w obozie, aby dać silną odsiecz zamkowi, lecz zanim narady skończono, niecierpliwy Stadnicki zamyślił już

na ochotnika iść i nie nikomu, nawet Szornełowi nie mówiąc, puścił się ku Peremirce w kilkadziesiąt koni.

Gdy przybył pod zamek, noc zaległa głucha, a że to była jesień, więc droga grzązka i trudna, nadto zaś konie ustawicznymi pochodami tak były srodze znużone, iż już nie wiele dokażać mogły. Długo zatem trwało, zanim się dobrali do obozowiska tatarskiego, rozłożonego pod zamek na niewielkiej wyżynie. Snadź stamtąd z rana zamysłali Tatarowie uderzyć na zamek. Stadnicki chciał zaś podejść ich we śnie i z wielkim krzykiem napadłszy, popłoch w ich szeregi zanieść a do odstąpienia zamku trwogą przymusić. I byłby się mu ten zamysł udał może: bo przyszedłszy dość blisko ku obozowisku i widząc Tatarów twardo uspionych, rzucił się nagle z całą drużyną swoją z wielkim impetem, krzykiem i hałasem w sam środek obozu, bijąc w tarcze, trąby i kotły i czyniąc larum ogromne. Dzika ćma zerwała się nagle jak stado spłoszone; wszczął się rwetes okrutny i jęki piekielne, bo ochotnicy Stadnickiego poczęli srogo białą bronią prażyć pohańców, którzy uciekali w dzikim popłochu, sądząc jako cała armia na nich spadła. Aliści koń Stadnickiego, już ranny, potknął się nagle i runął wraz z jeźdźcem, a inni z drużyny myśląc, że Stadnicki ranny, lub zgoła

zabity, zmięszali się i miast na uciekających Tatarów nacierać, sami pierzchnęli, zostawując dowódcę swego na ziemi, przywalonego ciężarem konia i własnej zbroi.

Tatarowie wnet pomiarkowali, że to jeno była zasadzka i zawróciwszy, a zażęglszy przygasłe na polu ogniska, aby rozświecić plac boju, z niemniejszym wrzaskiem jęli ścigać uciekających, Stadnickiego zaś dojrzawszy, jako na ziemi leżał, dźwignąć się usiłując, wprost nań lecieli.

Aż oto nagle, rycerz jakiś na czele drużyny sto koni lub i więcej liczącej, nadbiegł naprzeciw i leciał wprost ku miejscu, kędy leżał Stadnicki, który zgoła bezbronny, tarczą się jeno przeciw kilku Tatarom zasłaniał. Już jeden z tych pohańców srodze się nań swą krzywą szablą zamierzył i byłby mu bezwątpienia cios zadał śmiertelny, gdy Szornel (on to bowiem był, który dowiedziawszy się o szalonej Stadnickiego wyprawie, wnet mu na pomoc pospieszył) tak silnie onego Tatarzyna laną w same piersi ugodził, iż tenże jęk straszliwy wydawszy, padł trupem na miejscu. W tymże momencie cała drużyna Szornela natarła mężnie, a z zamku, bitwę posłyszawszy i rozumiejąc jako odsiecz nadeszła, wyruszono też tłumnie w nadziei pewnego zwycięstwa. Powstało tedy zamieszanie strasz-



liwe, bo w okrutnych ciemnościach zaledwie swoich rozeznąć można było. Ogniska przez Tatarów zażegnane przygasaly i niepewne a zwo-dnicze rzucały światło, w oddaleniu zwiększając jeno ciemności.

Stadnicki tymczasem dźwignął się, ale wal-czyć już nie mógł, bo ranny był a nadto zale-dwie postąpić zdołał, ile że nogę lewą miał mo-cno stłuczoną. Więc Szornel, korzystając z za-mięszania, gdy Tatarowie w inną zwrócili się stronę, własnego konia Stadnickiemu podał, za-klinając go, aby co prędzej umykał, sam zaś już pieszo onych Tatarów prażył i odpierał, cofając się zwolna ku zamkowi.

Nagle łuna pożaru rozjaśniła ciemności. Ta-tarzyn pewien — jak zwykle przebiegły — zdołał podkraść się do zamku i tam jedną z pobliskich chałup podpalił, słusznie rozumiejąc, iż przy onym blasku można będzie nieprzyjaciela snadniej po-liczyć i z nim się zmierzyć. Jakoż zobaczywszy, iż naszych jest jeno garstka nieznaczną i to w nieporządku rozproszoną, bo w onym zamęcie a ciemnościach szyku bojowego utrzymać było niepodobna, z okrzykiem tryumfu rzucili się Ta-tarowie, chcąc osaczyć oddział Szornela i wy-mordować do szczętu.

Nie było ratunku. Zaczęła się ucieczka bez-ladna w popłochu; mała jeno garstka, wśród

której był Szornel, pozostała na miejscu, postanowiwszy drogo swe życie okupić, a nie poddać się Tatarom. I byliby niewątpliwie srogą śmierć ponieśli, lub co gorsza w niewolę się dostali, gdyby pohańcy całą siłą nie zwrócili się byli ku zamkowi, który przez rozpierzchłą załogę opuszczony, stał prawie bezbronny. Nadzieją tedy łupów bogatych uwiedzeni, zaniechawszy pogoni, uderzyli Tatarowie na zamczysko, do którego po krótkiej walce hurmem wpadli z wrzaskiem piekielnym. Część znaczna załogi, która uciec nie zdołała i cała rodzina xiążęca dostała się w ręce tatarskie.

Owa pożoga, ręką Tatara zażegnęta, dogasała już prawie, gdy drużyna Szornela i Stadnickiego, widząc, że pogoń ustała, opodal przystanawszy a z trwogą słuchając dochodzących z zamku i rozlegających się wśród ciszy nocnej wrzasków dzikich najeźdców i jęków mordowanych ofiar, liczyć się poczęła. Na wielkie straty naraziła ta niefortunna przeprawa. Z dość licznej drużyny ledwo kilkudziesięciu jezdnych ocalało; co przedniejsi legli, a ku wielkiemu przerażeniu spostrzeżono, że i pana Szornela nie było. Stał się tedy lament srogi, bo wszyscy dzielnego rotmistrza miłowali bardzo, a zwłaszcza lamentował pan Stadnicki, sobie przypisując zgubę tak sławnego wojownika.

— Nie ruszę się ja stąd — rzekł w końcu — aż póki przynajmniej zwłok rotmistrza nie odnajdę. A jeśli w niewolę się dostał, to moją własną osobę za niego ofiaruję i raczej sam na tatarskim haku zawisnę, aniżeli dopuszczę, by pan Szornel przezemnie ginąć miał.

I nie słuchając żadnych perswazyj, jakkolwiek sam ranny, podążył ku pobojowisku, które teraz cisza i ciemność zalegały. Znano już powszechnie upór Stadnickiego, a widząc tę jego determinację, nie próbowano nawet zgoła odwodzić go od zuchwałego zamysłu, lecz kilku z drużyny ofiarowało się iść z nim społem na odnalezienie zwłok rotmistrza. Zaczem, aby łatwiej ujść oka buszujących w zamku Tatarów, zsiadli z koni i poszli pieszo ku pobojowisku; Stadnicki nogę stłuczoną ledwie włożył za sobą. Długo jednak wśród tych ciemności próżno szukano i już pan Stadnicki ku zamkowi iść chciał, aby się dobrowolnie za Szornela w niewolę ofiarować, a raczej na śmierć oddać pewną, gdy wtem jęk głuchy i jakby ciche nawoływanie usłyszał. Zwrócił się tedy w tę stronę, a przykląkwszy i czołgając się prawie po ziemi, dojrzał wreszcie ku wielkiemu przerażeniu ale i radości swej zarazem, leżącego rotmistrza, tak srodze rannego, że już dyszał zaledwie i stłumionym głosem jęczał jeno czasami. Z płaczem rzucił się

ku przyjacielowi Stadnicki, a z wielkiego żalu nie zrazu przemówić nie mogąc, obejmował go jeno i całował jak brata.

Zaczem uspokoiwszy się nieco, przywołał innych, razem dźwignęli rannego z ziemi i na barkach zanieśli do pobliskiej wioski, gdzie go w chacie złożyli, aby rany opatrzyć. Rany te były bardzo groźne i zdawało się, że rotmistrz nie przeżyje, ale snadź Bóg chciał inaczej, bo pomimo niewygód największych i prawie bez leków żądnych i opatrunków, Szornel po kilku tygodniach całkiem wydobrzył, w lewem jeno ramieniu, które było szpetnie posiekane, długi czas władzy odzyskać nie mógł.

Tymczasem owa przeprawa z Tatarami skończyła się. Była się już ta czerń po wzięciu Peremirki daleko po kraju rozlała, gdy ją wreszcie Tarnowski pod Tarnopolem całkowicie rozgromił i do odwrotu zmusił. Stadnicki tą swoją niefortunną expedycją srodze zawstydzony, gdy go i surowa nagana spotkała, tak się rozsierdził, że do obozu już nie wrócił, ale postanowił do domu jechać, gdzie go i inne sprawy wzywały. Nie chciał się wszakże rozstawać z Szornelem, którego wybawcą swym mienił i dozgonną przysięgał mu wdzięczność, a tak się w nim rozmiłował, że go już całe od siebie puścić nie chciał, lecz skoro tylko rotmistrz wyzdrowiał, zabrał go

do zamku swego Niedźwiedzia, który jest w województwie krakowskiem.

I tak się złożyło, że pan Szornel na czas krótki jeno do Niedźwiedzia przybywszy, zgoła tam zamieszkał, a potem już i wydostać się stamtąd nie mógł, zarząd zamku i majątności w nieobecności pana sprawując. Stadnicki bowiem w tych czasach mało siedział doma. Sprawa o małżeństwo króla Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną zaprzętała go wielce, należał bowiem wraz ze Zborowskimi i Kmitą do zaciętych przeciwników tego związku, a tak się w tem zażarł, że aż obrazy majestatu się dopuścił i pozwany o to sądownie, króla wreszcie przeprosić musiał. — Zaledwie to się uciszyło, aliści dyssydenckie sprawy rozjątrzyły bardzo umysły. Stadnicki nowinkami heretyckimi zarażony, dawał chętny u siebie przytułek wszystkim przybyszom z zagranicznych krajów, którzy owe nowinki przynosili.

A między przybyszami tymi byli mężowie wielkiej nauki, jako np. ów włoch Stankar Franciszek, w medycynie i rozmaitych kunsztach bardzo biegły, który dla znajomości hebrejskiego języka do Akademii krakowskiej, przez samego biskupa krakowskiego Samuela Maciejowskiego sprowadzony, stamtąd dla swego kacerstwa wydalony być musiał, a nawet uwięziony w Li-

powcu, skąd go wszakże dyssydenci nocą wykradli. Przyjął go u siebie zrazu Oleśnicki Mikołaj, który urządził w Pińczowie zbór i szkoły heretyckie, ale pozwany o to przed sąd królewski, Stankara oddalić musiał. Ten wszakże zaraz do Stadnickiego trafił i uprzejmie przez niego przyjęty, przebywał czas jakiś w Niedźwiedziu, skąd go Albert, książę pruski, do Królewca na profesora teologii powołał. Snadź jednak smaczniejszym wydał się Stankarowi chleb polski, bo tam mało niewiele zabawiwszy, do Polski powrócił i bardzo często do Niedźwiedzia i Dubiecka zaglądał, gdzie urządził zbory i szkoły kacerskie.

Najbliższym wszakże i najmilszym Stadnickiemu był lekarz sławny, Jerzy Blandrata, także z Włoch rodem, który w Genewie mieszkając, gdy się kacerstwo w Polsce rozszerzać poczęło, często do Krakowa przyjeżdżał i z możnymi panami konnexe miał. Wezwał go wreszcie Mikołaj Radziwiłł do Pińczowa, gdzie Blandrata wraz z innymi tłumaczeniem Biblii na język polski się zajmował, a najgorliwiej pracował nad rozszerzaniem nowych błędów kacerskich od Fausta Socyna pochodzących. Zaraz też pan Stadnicki z Blandratą się porozumiał i z nim przyjaźń zawarł, a do Niedźwiedzia często inwitował.



Być może, iż do tego skłaniała go zrazu niechęć, jaką żywił ku Zebrzydowskiemu, biskupowi naprzód kujawskiemu a potem krakowskiemu, oraz Dziaduskiemu, biskupowi przemyskiemu, z którym w otwartej był nieprzyjaźni. Z czasem wszakże tak się w tych błędach kacerskich zagłębił, że po kilku lecich z dawnego animuszu rycerskiego nie zostało nic. Upokorzony w walce przeciw królowi, widząc jako inni do łaski przyjęci, wzrastali w honory i zaszczyty, a dysydentów do nich nie przypuszczali, zamknął się w swoim Niedźwiedziu, w księgach tylko a dySSERTACYACH teologicznych się pograżywszy. Z natury już nieco przygarbiony, od owego ślęczenia nad księgami zgarbił się jeszcze mocniej, starzał się przed czasem, a o niczem już zgoła nie myślał, jeno o heretyckich sprawach, ustawiczne *colloquia* z dysydentami czyniąc i z nimi po całym świecie korespondencye utrzymując, bo nawet to Kalwina i Melanchtona pisma wyprawiał i od nich epistoły odbierał. Zachodzić też poczęły i między owymi dysydentami wielorakie kontrowersye, zwłaszcza od kiedy Socyn, Stan-  
kar i Blandrata z nowemi teoryjami heretyckimi przeciw Kalwinowi wystąpili.

Ncwa ta sekta wrychle rozszerzać się poczęła, mając w możnych panach polskich protektorów. Zwali się oni zrazu Aryanami, wrze-

komo od owego Ariusa alexandryjskiego, który już w 330 roku po Chrystusie szpetne odszczerpięstwo głosić począł; niebawem wszakże zarzucając tę nazwę od Socyna, Socynianami, a dla zjednania sobie polskich umysłów „Braćmi polskimi“ się zwali. Przezywano ich też Unitaryuszami, albo Antitrinityuszami, ile że w Bogu jedną tylko osobę uznawać chcieli; wreszcie zwano ich Nowochrześciami lub Nurkami, bo katolicki obrządek Chrztu św. zarzucając, dzieci swe dopiero w dorosłym wieku przez całkowite w wodzie zanurzenie chrzcili.

Niewiadomo, czyli Stadnicki wiedział dobrze komu, Kalwinowi, czy też Socynowi lub Blandracie, dać pierwszeństwo, ale to pewna, że w tych dociekaniach a heretyckich sporach coraz mocniej się zagłębiając, do nowej sekty przystał a na wszystko inne głuchym się stał i ślepym. Do praktyk tych a całkowitego oddania się herezyi skłaniała go też może i sroga żalność po śmierci małżonki, Katarzyny Pileckiej, którą wielce miłował, a która krótko z nim żyła i bezpotomnie w kwiecie wieku zesła z tego świata. W rok wprawdzie później ożenił się 2-do voto z Barbarą Zborowską kasztelaną krakowską, ale uczynił to raczej w nadziei potomstwa, niż z szczerego afektu, chociaż była to pani wielkiego serca i urody niezwyklej.

Nie mogło tam być zresztą między niemi wielkiej miłości, bo o ile pan Stadnicki żarliwym był fautorem różnowierstwa, o tyle ona gorliwą była katoliczką a czystości wiary strzegącą. Smutne też to było nad wyraz pożycie: Stadnicki zawsze ponury, w sobie zamknięty, a czasem gwałtownym wybuchający gniewem, ona zaś na samotność skazana, młodziuchna i piękna, ale tą jakąś dziwnie delikatną urodą, która się we łzach i smutku rozplywa i wczas niknie. Litowali się nad jej opuszczeniem wszyscy i miłowali bardzo a zwali „bladą panią“, ile że w tym smutku coraz bledszą, prawie przezroczystą się stawała. Na domiar i nadzieje przez Stadnickiego żywione zawiodły: upragnionego potomstwa nie było, a przypisywano to karze boskiej za owo sprzyjanie herezyi i odszczerpięństwu.

Tak się to ciągnęło lat kilka, w ciągu których pan Szornel rad już był nieraz wyjechać z Niedźwiedzia i z tej jaskini herezyi się wy dostać, ale mu zawsze coś na przeszkodzie stawało, bo go też i pan Stadnicki za nie puścić nie chciał, a „blada pani“ ze łzami niemal błagała, by ich nie porzucił, mówiąc, jako dla niej, wśród tej zgrai heretyków, on jeden tylko wiernym jest przyjacielem, którego rady i pomocy bez trwogi wezwać może. Wkrótce też inna i nad

wszystkie ważniejsza przyczyna wstrzymała pana Szornela.

Na dworze pani Stadnickiej była daleka jej pono powinowata a ulubiona wychowanka, Zofia Wołczkówna, córka niegdy podstolego chełmskiego, po którego śmierci dość znaczną fortunę rozdrapali dwaj starsi zięciowie, że najmłodszej córce Zofii nie pozostało nic prócz zacnego imienia. Zajęła się tedy jej losem pani Stadnicka i przygarnęła sierotkę, mając z niej też wielką pociechę, bo Zofia dorosłszy, przywiązała się do niej jak córka, a była tak dobra, że ją wszyscy miłować musieli, tak zaś urodziwa, że wielu co przedniejszych dworzan o jej rękę zabiegało, bez żadnego atoli sukcesu. Panna Wołczkówna do żadnego z nich serca nie miała a oświadczała głośno, iż opiekunki swej a pani do śmierci nie opuści.

Szornel wiekiem od innych już starszy, ale mąż stateczny, obudzał w niej zawsze poszanowanie wielkie, a widząc jako pani Stadnicka szczególnymi względami go zaszczyca, cnoty zaś jego i rozum pod niebiosa wynosi, coraz bardziej nim się zajmować poczęła. — Rycerskie serca zawsze na wdzięki niewieście były tkliwe; gdy przeto panna podstolanka kilkakrotnie swemi pięknymi, szafrowemi a błyszczącemi oczyma na rotmistrza spojrzała a przemówiła doń wdzię-

cznie, Szornel męszął się coraz bardziej, zrazu bąkał jakoweś komplimenta niezgrabne, a potem już milczał, jeno patrzył na nią ukradkiem a wzdychał, że aż pani Stadnicka, jakkolwiek zawsze smutna, przez łzy uśmiechać się musiała. Wszakże niewiadomo na czemby się to było skończyło, bo pan Szornel, który z Tatarami tak zuchwale gadał, wobec podstolanki wszelki tracił animusz i zgoła nieśmiałym się stał — gdyby pani Stadnicka, widząc obojga skłonność pocziwą ku sobie, a pragnąc tego związku dla szczęścia wychowawicy, nie była ułatwiła tej sprawy i stanowczą interwencją nie była doprowadziła do deklaracyj wzajemnych afektów, przyczem pan Szornel jak długi padł jej do nóg, wierność i dozgonną wdzięczność przysięgając.

— Nie wymagam ja przysiąg — odparła na to pani Stadnicka — ale o to wacpana, mości rotmistrzu, proszę, abyście mi Zosi mojej nie zabierali z Niedźwiedzia. Ona mi do serca tak mocno przyrosła, że się już bez niej obejść nie potrafię, a ty panie rotmistrzu i ona i dzieci wasze, jeśli wam je Pan Bóg dać raczy, będziecie mi jedyną pociechą i weselem w niedoli mojej.

Rozpląkała się rzewnie „blada pani“, a rotmistrz wraz z Zofią znów przed nią poklękli a ręce i kolana jęli całować w rozrzewnieniu wielkiem, przyrzekając iż jej nigdy nie opuszczą.

Tak tedy z łez owych, wielka radość wynikła, a pan Szornel wnet listy do rodziny rozpiisał i niebawem z rodzeństwem swem stryjecznem komplnacyą uczynił, majątność mu swoją, jaką miał na Żmujdzi, odkazując a postanawiając już na zawždy osiąść w Niedźwiedziu.

Pan Stadnicki, chociaż już zgoła niczem oprócz spraw dyssydenckich się nie zajmował, a właśnie wówczas instalacyą w Niedźwiedziu nowego pastora Krucygera z Szczebrzeszyna, na miejsce Sarnickiego, z którym się szpetnie poróżnił, był zajęty, szczerze się wiadomością o tem postanowieniu Szornela poruszył, bo pomimo swej w kacerstwie zatwardziałości, miłował rotmistrza a często przypominał jeszcze sobie z wdzięcznością ową straszliwą pod Peremirką przepawę, i późniejsze jego usługi wielce sobie ważył.

Zaczem sprawiono sute wesele w Niedźwiedziu, a pan Stadnicki nawet w kościele był i pannę młodą od ołtarza prowadził, za co potem na *colloquium* dyssydenckiem karcony być miał, że w obrządkach „papieżników“ (jako owi kacerze katolików zwali) udział przyjął.

Rok to był wielce szczęśliwy, jedynie może szczęśliwy w długim życiu Szornela. Niebawem przysły ciężkie koleje, tak, iż rotmistrz zwykł był mawiać, że za każdą szczęścia godzinę, przy-



szło mu później latami smutku i niedoli zapłacić. A najprzód z panem Stadnickim dzieć się zaczęły jakoweś extraordynaryjne historye. Jako się już wyżej rzekło, zmienił on się straszliwie, odkąd z dyssydentami w tak bliskie wszedł konfidencye, zwłaszcza zaś odkąd ów Blandrata zamieszkał w Niedźwiedziu. Ten, że sam był herasztem w nowej sekcie, która błędy kalwińskie inaczej a wcale nie na lepsze zmieniać chciała, począł mu różne poddawać plany, aby niedowiarstwo to na Rusi szerzyć, pochlebstwy i podstępami jednając sobie umysł i serce Stadnickiego, który coraz to bardziej lgnął ku niemu, a odstręczał się od małżonki i wszystkich, którzy nowej nauce posłuchu nie dawali. Toż z czasem i Szornel widział się być odsuniętym od łaski i zaufania dawnego przyjaciela, który coraz pochmurniejszym się stawał, miewał zaś tak gwałtowne gniewu napady, iż w zapalczywości tej, gotów był rodzzonego brata mordować, a własnej matce by nie przepuścił.

— *Quinque* dyabłów — krzyczał wówczas, a po tem szpetnem przekleństwie, które mu dla częstego używania w przysłowie weszło, następowały inne, coraz straszliwsze, w których się też owa liczba nieprzyjaciół rodzaju ludzkiego coraz pomnażała.

W takiej chwili w całym zamku poczynało

się jak w garnku gotować; wszyscy pierzchałi z przed oczu pana, którego głos grzmiący rozchodził się po gmachu złowieszczem echem. Cała owa dawna zapalczywość rycerska, której Stadnicki niegdyś wobec nieprzyjaciela poskromić nie umiał i na największe niebezpieczeństwa leciał, na nic nie bacząc, wzięta teraz w kalwińskie a potem w aryańskie karby, i ślęczeniem nad xięgami gwałtownie poskramiana, wybuchała chwilami, jako potok niewstrzymany, na domowników i najbliższych się wylewając. Wówczas ani małżonka, ani Szornel, ani nikt inny, jeno Blandrata mógł przystęp mieć i zdołał czasem poskromić gniew groźnego pana, chociaż i jemu nieraz dobrze się dostało; ale on to znoślił z lisią pokorą.

— *Quinque* dyabłów!— wołał Stadnicki, grożąc pięścią Blandracie, a on składając się i submitując kornie powtarzał:

— Ty jesteś prawdziwa opoka, na której zbudowana jest wiara prawdziwa a święta, tyś młot Melanchtona i Kalwina, a gdybyś tu nie był, Polska wróciłaby do sprośnego bałwochwalstwa!

I tak onemi pochlebstwy uśmierzał gniew pana.

Aż wreszcie za poduszczeniem Blandraty do tego przyszło, iż Stadnicki tak w Niedźwiedziu jak i w innych majątnościach swoich, przede-

wszystkiem zaś w Dubiecku, zamierzył kościoły katolikom odebrać, heretykom je oddać i szkoły a zbory aryańskie pozaprowadzać, aby stamtąd kacerstwo na Ruś całą tem łatwiej rozszerzać się mogło. Wówczas to przybył i osiadł na dłużej w Dubiecku, włoch Stankar, a z nim pięciu innych nauczycieli kacerstwa. Był zaś tam szpital dla ubogich chorych, a przy nim katolicki kościółek, na który najprzód ściągnęła się ręka bezbożnych. Stądnicki za namową Blandraty sam zjehawszy do Dubiecka, kościół ten katolikom odebrał, księży wypędził i Stankarowi wraz ze szpitalem oddał we władanie. Stało się tedy nie-małe zgorszenie, a lud pobożny z wielkim płaczem i narzekaniem na to świętokradztwo patrzył.

Na stolicy biskupiej w Przemyślu siedział wówczas mąż cnót wielkich i obyczajów surowych — Dziaduski, który z apostolską gorliwością usiłował kłaść tamę szerzącej się herezyi, widząc zaś jako ani upomnienia, ani łagodne perswazyje skutku nie odnoszą, a kacerstwo co przedniejszych obywateli państwa, ba nawet duchownych, jako Stanisława Orzechowskiego, który się już był świętokradczo ożenił, dosięga, do surowych kar kościelnych się uciekał, ścigając niemi opornych. Gdy mu tedy doniesiono o owym postępku Stądnickiego w Dubiecku,

oburzył się tem wielce, lecz że dla małżonki jego miał względy, przeto postanowił raz jeszcze próbować upomnienia i do Niedźwiedzia posłów wyprawił z listem pasterskim. Ale się to na nic nie zdało, owszem pogorszyło sprawę. Posłowie ci bowiem trafili na złą porę, właśnie gdy pan Stadnicki w napadzie gwałtownego gniewu wszystkich od siebie odpędzał a przekleństwami ciskał. Gdy mu znać dano, że posłowie od xiędza biskupa przybyli, jeszcze się gorzej rozsierdził i najpierw owego sługę, który mu to przybycie obwieścił, srodze zhańbił, a potem pismo biskupie porwawszy, bez czytania na szmaty podarł i przez okno cisnął, do onych posłów wołając:

— Powiedzcie waszemu biskupowi, że go nie znam i znać nie chcę! a skoro by się, quinze dyabłów, do moich spraw mięszać ważył, to się z Jego Biskupią Mością rozprawię tak, że mi tu swoich hajduków po raz drugi nasyłać nie będzie!

I jeszcze się odgrażał i przeklinał szpetnie, ale owi posłowie — którzy całe nie hajducy, jeno najprzedniejsi byli x. biskupa dworzanie — już nie słuchali słów owych, ale precz odjechali, wielce takim przyjęciem oburzeni.

Łacno przewidzieć się dawało, co z tego zajścia wyniknąć mogło, przeto pani Stadnicka

natychmiast wezwała Szornela i w wielkiej trwodze naradzała się z nim, co czynić i jak przebłagać biskupa za takową obrazę.

— Poszłabym ja sama — mówiła — do małżonka mego, a gotowam na klęczkach go błagać, aby się uśmierzył i za wyrządzoną obrazę stosowną satysfakcyę dał, ale coć pomogę? jeszcze się bardziej rozsierdzi.

Po długich wreszcie naradach postanowiono, aby pan Szornel do Przemyśla jechał i do x. biskupa poszedł, a przedstawivszy mu żałość pani Stadnickiej, błagał go, by jeszcze cierpliwym był i nie imał się środków surowych. Obawiano się bowiem, aby x. biskup, widząc taką niepoprawną Stadnickiego zaciętość, przed trybunał go nie pozwał, nie cisnął nań exkomuniki wielkiej i ze społeczności wiernych nie wyłączył, a tem samem nie wtrącił w ostateczną już przepaść niewiary.

— Jedź waszmość, jedź! — błagała rotmistrza pani Stadnicka — a niech cię Bóg natchnie i da taką wymowę, byś skruszył serce x. biskupa i zdołał go przekonać, że klątwa bardziej jeszcze zatwardzi serce grzesznika, a mnie niewinną w ciężkiej pogrąży żałobie.

Zaczem pan Szornel jeszcze dnia tego do Przemyśla pojechał.

Nie odrazu wszakże udał się do rezydencyi

biskupiej, ale wprzód od znajomych wywie-  
dzieć się starał, kiedyby najlepiej iść tam i po-  
selstwo swoje w najdogodniejszy czas sprawić.  
To co mu powiedziano, nie bardzo go uspokoiło.  
Powszechnie mówiono o srogości x. biskupa  
i jako szczególnie teraz wielce rozjątrzony był  
sprawą x. Orzechowskiego, który jego powadze  
całe się poddać nie myślał i innych do niekar-  
ności a szpetnych obyczajów za sobą pociągał.  
Pan Szornel wszakże wahać się nie mógł i na-  
zajutrz po przyjeździe do Przemyśla, Mszy świę-  
tej wysłuchawszy z rana, udał się, aczkolwiek  
z wielką obawą, na dwór biskupi.

Już zaraz wszedłszy tam, poznał, jako mu  
nie kłamano, mówiąc o surowości obyczajów  
x. biskupa i regule niemal zakonnej, jaką zacho-  
wywał. Dwór wprawdzie był liczny, ale składał  
się z większej części z osób duchownych, któ-  
rzy w posępnem milczeniu przechadzali się po  
dziedzińcu i korytarzach, odmawiając modlitwy,  
a jeśli mówili z sobą, to jeno z cicha. Było tam  
wprawdzie kilku świeckich dworzan, ale i ci  
w ciemne lub zgoła czarne barwy przyodziani,  
wyglądali jak mnisi lub pokutnicy, że nawet na  
młodszych twarzach nie widno było uśmiechu,  
jeno jakoweś zamyślenie ponure. Dziedziniec re-  
zydencyi biskupiej obszerny, wysokim murem  
opasany, wielkimi kamiennymi wyłożony pły-



tami, wyglądał jakby wejście do więzienia. Na okalających murach, w głębokich framugach, stały posągi Świętych Pańskich, czarne, z surowemi twarzami; na korytarzach długich i posępnych, jakby klasztornych, porozwieszane były obrazy i malatury rozmaite, przedstawiające jakoweś straszliwe męczeństwa. Zgoła wszystko tam było smutne i niemal przerażające, że pan Szornel chociaż z Niedźwiedzia jechał, kędy także wesoło nie było, już chętnie byłby stąd umknął i do izdebki swojej w zamku niedźwiedzim, opromienionej uśmiechem kochającej małżonki powrócił, gdyby wspomnienie „bladej pani“, jej próśb i przyjętego na się obowiązku, nie było go powstrzymało.

Szedł tedy, chociaż z sercem niespokojnem, pierwszego zaś dworzanina spotkawszy, a wymieniwszy nazwisko swoje i skąd przybywa, zagadnął go, żali z x. biskupem widzieć się i mówić można.

— Żle waszmość trafiłeś — odrzekł zapytany — x. biskup właśnie teraz rekolekcyę odprawia i nie przyjmuje nikogo.

Wszakże gdy pan Szornel jął przedstawiać i prosić, jako w ważnej przybywa sprawie, przyrzekł przelożyć to kapelanowi x. biskupa i z tem odszedł, zostawując rotmistrza pogrążonego w niewesołem dumaniu. Obok niego przechodziły cią-

gle postaci duchownych, którym on niski pokłon oddawał, nie ściągając wszakże na siebie żadnej uwagi. Czasem któryś z dworzan spojrział ciekawie na rycerską postać rotmistrza, jakby się dziwował, co tu czynić ma — i szedł dalej w milczeniu.

Sporo tak czasu minęło, że się rotmistrz wreszcie niecierpliwie poczynał, bo ani owego dworzana, z którym rozmawiał, ani x. kapelana zgoła widać nie było. Już myślał uchodzić, poselstwa nie sprawiwszy, gdy nadbiegł wreszcie ów pierwszy dworzanin i oświadczył mu, że x. biskup dopiero za godzinę albo i więcej wysłuchać go będzie mógł, w tym bowiem momencie pokutnem nabożeństwem się bawi, a potem w kościele jeszcze modły odprawiać będzie.

— Jakież to jest nabożeństwo pokutne? — zagadnął rotmistrz, pospołu z owym dworzanem na dziedziniec wychodząc.

— Ano — odrzekł tenże — wszakże waści wiadomo być musi, jako straszliwe rzeczy dzieją się u nas. Zgorszenie publiczne uczynił najprzód x. Krowicki, proboszcz w Wiśni, a teraz x. Orzechowski Stanisław, mąż uczony i wielce wymowny, którego x. biskup miłował tak bardzo, że go nawet oficyałem swoim mianował. Aliści opanował go duch złego i xiądz ów, niepomny obowiązków swych, pojął niewiastę jakoby

w małżeństwo, co pismem publicznem ku większemu zgorszeniu ogłosił, gdy zaś kary i cenzury kościelne go dosięgły, mając poparcie szlachty, a nawet niektórych panów przedniejszych, zbrojnie na x. biskupa nastawać chciał, a do Ojca św. obelżywą epistołę wystosował. Przeto za te wszystkie niecnoty, a pisma hereetyckie wyklęty jest, czci i dóbr duchownych wyrokiem biskupim pozbawiony i z dyecezyi wygnany. Że zaś zgorszenie publiczne się stało, przeto x. biskup nakazał posty i nabożeństwa pokutne i sam je odprawia wraz z całym dworem swym, dni i noce prawie całe na modlitwach trwając. Zaczem i ja — dodał ów dworzan — pomimo chęci, nie mogę waszmości dłużej zabawiać, bo i rozmowa dłuższa a zbyteczna, czasu pokuty tej jest nam wzbroniona.

Zaczem pożegnał rotmistrza, który nie wiedząc zgoła, coby czynić miał, szedł na miasto, gdzie również głośno opowiadano o owej kłątwie na Orzechowskiego rzuconej i mówiono, jako tenże do Przemyśla w kilkadziesiąt koni zbrojno przybył, na x. biskupa się odgrażając. Wszystko to nie napępiało otuchą Szornela, który też o dobrym skutku poselstwa swego zgoła wątpić począł i gdyby nie to, że się już zapowiedział, byłby może z niczem do Niedźwiedzia powrócił i czekał sposobniejszej pory,

aby prośby pani Stadnickiej x. Dziaduskiemu przełożyć. Teraz już wahać się nie mógł i poselstwo sprawić musiał, lecz przed godziną na posłuchanie wyznaczoną, szedł jeszcze do kościoła, aby się pomodlić i onemu nabożeństwu pokutnemu przypatrzeć.

Gdy wszedł, Msza była już rozpoczęta, a po prawej stronie od ołtarza, bokiem zwrócony do ludu, klęczał na podwyższeniu pod baldachinem x. biskup Dziaduski. Po raz pierwszy widział go wówczas Szornel, ale odtąd nigdy postaci tej zapomnieć nie zdołał. Starzec to już był, siwizną okryty; wysoki, chudy, twarz miał bladą i wynędzniałą, a rysy dziwnie wyraziste i surowe. Klęcząc, zdawał się być zatopionym w medytacji głębokiej; oczy miał spuszczone i przymknięte, ale od czasu do czasu podnosił wzrok na wielki krzyż z rozpiętym ciałem Chrystusa, na przeciwległej zawieszony ścianie. Mury świątyni, zapełnionej ludem, całe były kirem okryte; celebrans i asystujący mu kapłani także byli w żałobne przyodziani szaty, a śpiewali ponuro, jakby na pogrzebie. Chwilami odzywał się organ, ale także grobowymi tony. Gdy celebrujący zaspiewał *Credo*, ucichło nagle wszystko i wstał z klęczek biskup, a zwróciwszy się do ludu, mówić począł.

Mówił długo, a z takim zapalem i tak rzewnie,

iż zrazu cisza wielka zaległa wśród rzeszy zgromadzonych, a potem słychać było westchnienia głębokie, a potem płacz, a wreszcie jęki i szlochania. Była tam mowa o wielkiem zgorzeniu, jakie się stało, o występkach x. Orzechowskiego i innych duchownych, o pokucie publicznej, jaką czynić należy, aby oddalić straszliwą karę bożą, która za takowe występki na wszystkich spaść może. Była tam mowa o znaczeniu klątwy na Orzechowskiego-rzuconej, o strzeżeniu się herezyi wszelakiej i o tem, jako z wyklętymi a heretykami nikt społeczności mieć nie ma, ktokolwiek chce, aby i na niego owa klątwa nie spadła.

— „Wyklęci są, którzy z heretykami a wyklętymi przystają!“ — wołał x. biskup.

A gdy to słyszał pan Szornel, aż mrowie go przechodziło, bo mimo woli myślał o panu Stadnickim i owym Niedźwiedziu, który siedliskiem herezyi był.

Zaczem skończył x. biskup i Msza św. dalej odprawiać się poczęła, wśród śpiewów żałobnych i wielkiego rozrzewnienia wiernych, gdy oto przed samą konsekracją hałas jakiś dał się słyszeć u wejścia i nagle z łoskotem a wrzawą nie-małą, rozpychając tłum, wkroczył do kościoła cały orszak zbrojnej szlachty.

Na czele szedł mężczyzna średniego wieku, ciemno odziany, nie zbrojny, ale dzielnej postawy.

Wysokiego wzrostu, wspaniały, głowę trzymał podniesioną wysoko a twarz miał zuchwałą, lecz bardzo piękną. Wąsów ani brody nie miał, co mu cale dziwny nadawało pozór; usta miały wyraz gniwny, nieco szyderski, a z oczu śmiało patrzących, tryskały płomienie wewnętrznego ognia. Gdy wszedł z owym zbrojnym orszakiem, zrobił się popłoch w świątyni, tłum się rozstał, ostawiając mu miejsce wolne, tak że go x. biskup doskonale widzieć mógł. Porwał się z kłęczek Dziaduski i w wielkiem wzburzeniu obie ręce podniósł do góry.

— Zaprzestać modłów! — zawołał — wyklęty tu jest!

I ruszył się z miejsca a za nim duchowni, nawet celebrans zeszedł od ołtarza i wszyscy wyszli precz, a i organ i śpiewy nagle ucichły. Lud także tłumnie wychodzić począł; byli tacy wszakże, którzy przy drzwiach przystanęli, oczekując z ciekawością, co z tego wyniknie; dla nikogo bowiem tajem nie było, że to sam Orzechowski, na czele zbrojnego orszaku szlachty, wkroczył do świątyni. Zwłaszcza niewiasty spoglądały na niego zdala z wielką ciekawością. Szornel chciał także wyjść z kościoła, ale już nie mógł, bo się wielki tłum u progu zbił, że się przecisnąć było niepodobna.

Gdy biskup nakazał zaprzestanie nabożeń-



stwa, Orzechowski zbladł okrutnie, a ujrawszy, jako kler i lud tłumnie wychodzą, poskoczył nagle naprzód i głosem grzmiącym zawołał:

— Wstrzymajcie się! tłómaczyć się chcę... mówić dajcie!

Wielu tedy zostało i słuchało, jak Orzechowski, stanąwszy na owem podwyższeniu, kędy przed chwilą x. Dziaduski klęczał, mówić zaczął ozdobnie bardzo i z ferworem wielkim. Nie wielu rozumiało co mówił, ale to było jasnem, że herezye straszliwe z niepomiernem zuchwalstwem prawił, przeciw bezżeństwu duchownych i papieżowi. Słyszając to, niektórzy z obecnych już doń lecieli, chcąc go ze świątyni bożej precz wyrzucić, ale pan Szornel, zapobiegając gorszemu nieszczęściu, a może i krwi rozlewowi, boć owi poplecznicy Orzechowskiego zbrojni byli i do korda się rwali, wdał się w to, przekładając, jako najlepiej wyjść ze świątyni bożej. — Powoli tedy wyszli wszyscy, a i Orzechowski widząc, że sam z kompanami swoimi pozostał, ruszył się z miejsca i kościół opuścił, gdzie się potem przy drzwiach zamkniętych nabożeństwo dopełniło.

Pan Szornel po tem wszystkiem nie myślał nawet iść do x. biskupa, gdy nadspodziewanie, wychodząc z kościoła, spotkał owego dworza-

nina, który go wszędy szukał, a by mu oznajmić, że x. Dziaduski oczekuje go i mówić z nim chce.

Poszedł tedy, ale już naprzód wiedząc, iż to jego poselstwo na złe się tylko obrócić może. Otwarły się podwoje wielkiej sali, kędy x. biskup przyjmować zwykł i kędy teraz siedział w wielkiem poręczowem krześle, a przy nim stało dwóch innych prałatów. Był jeszcze wzburzony bardzo, ręce mu drżały, szarpiąc łańcuch złoty zawieszony na szyi. — Rotmistrz wszedłszy, głęboko się pokłonił i przystąpił do ucałowania ręki x. biskupa, który, przemówić mu nie dając, zagadnął żywo:

— Waszmość jesteś Jan Szornel, rotmistrz królewski, ów wojownik sławny?

— Sława — odparł rotmistrz sztucznie — należy się Temu, który siłę dawa i zwycięstwo... Jam jest rotmistrz królewski, Jan Szornel, niegodny sługa waszej biskupiej mości.

— A to mi dziw — przerwał z żywością x. Dziaduski — że waść rycerz prawy, który sławę ramienia swego, jako przynależy, do Boga odnosisz, wszakże z heretykami żyjesz i z nimi przyjaźń masz!

— Jestem żołnierz, nie teolog — odparł Szornel — z heretykami się nie wdaję, do ich praktyk się nie mięszam, a wiary świętej katolickiej

dochowuję. Niech mię przeto gniew waszej biskupiej mości nie dosięga.

— Nie o mój gniew dbaj wacpan, ale o srogi gniew Boży! — zawołał biskup już zgoła rozjątrzony. — Czyli mniemasz waść, jako przed Majestatem Najwyższego Sędziego tłómaczyć się będziesz, iżes teologiem nie był? Żali nie wiesz, iż kto z bezbożnymi społeczność utrzymuje, sam staje się bezbożnikiem? Ale co wam mówić? — wołał biskup w ferworze, ręce wyciągając przed siebie — wyście wszyscy tacy — ślepi i głusi, nie widzicie tej nawały herezyi i odszczepieństwa, która nam grozi. Spadła już na ten naród nigdy chrześcijański a rycerski straszliwa kara boża, ślepotą duszy: *caecitas cordis*, że nie dostrzega przepaści i leci w nią bez opamiętania!

Powstał biskup z krzesła i w oburzeniu trząsł się idąc ku Szornelowi, który z głową schyloną stał przed nim, słuchając z pokorą. Zaczem widząc tę jego skruchę, uspokoił się nieco x. Dzia duski i po chwili milczenia spytał:

— Wacpan chciałeś widzieć się ze mną? a cóż rzec miałeś?

— Nie śmiem już i przekładać próby mojej waszej biskupiej mości — odrzekł pan Szornel — widzę bowiem, jakom sam grzeszny jest i abso lucyji potrzebuję, przyszedłem zaś prosić o po błażanie dla innych.

— Dla innych? — zagadnął żywo biskup — dla kogóż to?

— Imćpan Mateusz Stadnicki z Niedźwiedzia... — zaczął Szornel.

— Upokarza się? odwołuje? — niecierpliwie przerwał x. Dziaduski.

— Tego rzecz nie mogę... ale małżonka jego błaga waszą biskupią mość, abys cierpliwym być chciał i pomnieć raczył...

— Na co? — znów przerwał biskup — na to, że kościoły w Dubiecku, Żołyńi, Niedźwiedziu sprofanował, że zgorszenie czyni publiczne, że herezyę przez swych zauszników po całej Rusi szerzyć chce, że szkoły kacerskie zakłada, że wreszcie na wszelkie upomnienia głuchy, posłów moich z listem pasterskim wyprawionych zhańbił i owo pismo moje wzgardliwie podarł! Na to pomnę! nie dlatego, jakoby mnie, Dziaduskiego, obraził, ale że we mnie znieważył godność biskupią, a słów bożych nie słucho! Postanowiłem tedy i tego zaraz jutro dokonam, dla przykładu, jako wielkie zgorszenie się stało, wielką karę wymierzyć i onego Stadnickiego ze społeczności a obcowania z wiernymi wyłączyć i wielką exkomunikę nań rzucić.

Struchlał pan Szornel i już silnego wzruszenia pohamować nie mogąc, głośno się rozplakał i do ręki x. biskupa się rzucił:

— Nie czyn tego ojcze! — zawołał. — Zgrzeszył on bardzo, przyznaję, ale o ile grzech jego jest wielki, o tyle wielkie są cnoty i większe jeszcze cierpienia świątobliwej małżonki jego. Pani ta życiem to przepłaci.

X. Dziaduski, widząc to rozrzewnienie rotmistrza, zawahał się nieco, podniósł go uprzejmie, bo Szornel prawie do stóp mu się chylił, milczał chwilę, a potem łagodnie już spytał:

— Więc to pani Stadnicka waści przysyła?

— Tak, *Illustrissime*.

— Stadnicki sam nie wacpanu nie mówił?

Szornel zmyślać nie mógł, więc rzekł:

— Nie mówił mi nic i zgoła o mojej tu podróży nie wie.

— Więc jakże waść chcesz — zawołał znów żywo biskup — abym przebaczył temu, który o przebaczenie nie prosi? Więc on zgorszenie dalej szerzyć będzie, a ja będę milczał ku większemu jeszcze zgorszeniu?

— Toż o przebaczenie i ja prosić nie śmiem — przemówił jeszcze Szornel — jeno o powstrzymanie na czas pewien karzącej ręki, przez wzgląd...

— Żadnych względów! — przerwał z ferworem x. Dziaduski — żadnych względów! Dość już zwłoki, za którą i ja odpowiadałbym przed sądem bożym! Wracaj waść do Niedźwiedzia i powiedz panu Stadnickiemu, jako jutro, mocą

mi udzieloną, rzucę nań klątwę wielką, a przed trybunał go pozwę za zniewagę Wierze, Kościołowi świętemu i biskupowi wyrządzoną! To moje słowo ostatnie...

Zaczem pan Szornel widząc, iż nic już nie wskóra i że dalszem przedstawianiem rozdrażniłby jeno więcej biskupa, milczał i miał się już ku odejściu, gdy x. Dziaduski, jakby ulitowawszy się nad jego widocznem strapieniem, powstrzymał go i łagodnym tonem przemówił:

— Żal mi was, mości rotmistrzu... Rycerz waleczny, wojownik sławny, nieść winien oręż swój ku obronie Rzeczypospolitej, a nie marnieć wśród heretyków. Jeśli prawdą jest, iżeś wierny naszej świętej katolickiej wierze, to otrząś pył ze stóp swoich i wynijdź z tego gniazda kacerstwa... W tej nadziei błogosławię ci Janie Szornelu...

I z wielkiem namaszczeniem i powagą, wzniosłszy ręce i oczy ku niebu, odmawiać począł łacińską modlitwę:

*Aperi ei Domine januam pietatis tuae...*

Przejęty do głębi rotmistrz padł na kolana, a biskup cichym, stłumionym, ale dziwnie uroczystym głosem, odmawiał nad nim błogosławieństwo.

I tak się ono posłuchanie u x. Dziaduskiego skończyło.



Pan Szornel wielce zmartwiony, chciał już natychmiast wyjeżdżać z Przemyśla, ale go w ostatnim momencie wstrzymała nadzieja, że może x. biskup po namyśle złagodnieje i widzieć się z nim zechce, aby mu oświadczyć, iż od surowych postanowień odstąpił. W tej tedy aczkolwiek słabej nadziei, pozostał jeszcze w Przemyślu i tam zanocował, postanawiając nazajutrz po nabożeństwie wyjechać z powrotem do Niedźwiedzia. Przez cały tedy dzień i wieczór miał sposobność przypatrzeć się, jako podówczas wrzało w tem mieście jak w garnku. Stronnicy Orzechowskiego — a byli między nimi i znaczni panowie i drobniejsza szlachta — tudzież dyssydenci, którzy tu z Dubiecka na wieść o surowych zamiarach x. Dziaduskiego tłumnie zjechali, srogo dokazywali, odgrażając się i bluźniąc, a zwłaszcza owa szlachta zbrojna, która z Orzechowskim przybyła, całą noc pijatyki wyprawiając, szukała zwady i po ulicach bójki staczała. Uspokajali już ją nawet owi naczelnicy, czyli tak zwani „ministrowie“ zborów kalwińskich, jako np. Krzysztof Przechadzka, minister dubiecki, w obawie, aby stąd jakie crimina nie wynikły, ale to się na nic nie zdało. Szlachta odgrażała się na x. Dziaduskiego, że go porwie z Przemyśla i do odwołania exkomuniki na Orzechowskiego rzuconej, zmusi. Ze smutkiem wiel-

kim patrzył na to rotmistrz, który siedząc od lat wielu w Niedźwiedziu, przypatrywał się jeno z daleka nabożeństwom kacerskim, colloquiom i dyssertacyom, a tu już ujrzał, jako owe nauki waśń i niepokój w kraju szerzyły. Wszystko to, wraz z tem, czego był świadkiem w kościele, co słyszał z ust surowego ale świątobliwego biskupa, głębokie na nim wrażenie wywarło, tak że postanowił sobie w duszy, zaraz po powrocie zamiek niedźwiedzki opuścić, nie chcąc z heretykami a wyklętymi społeczności mieć. Długo w noc zasnąć nie mógł, rozmyślając nad tem wszystkim, co mu uczynić wypada, a gdy wreszcie zasnął snem twardym, trafiły go jakieś gorączkowe mary, w których ciągle widział srogą postać x. Dziaduskiego i słyszał głos jego groźny: „Wyklęci, którzy z wyklętymi przystają!“

W przerażeniu obudził się, a był już dzień biały. Zaczem rychło się przyodział i do kościoła pobiegł, którego drzwi wszakże znalazł zaparte, snadź z obawy przed nowym napadem Orzechowskiego i jego kompanów. Musiał tedy przez zakrystyę się wpraszać, kędy wchodzili tylko znani ze swej prawowierności pobożni. Wszakże świątynia zapełniona była ludem, tak samo jak wczoraj wszystko naokół było kirem powleczone jakby na exekwiach. W zakrystyi przystanąwszy, dosłyszał z przerażeniem pan

Szornel, jako kilku xięży i świeckich po cichu gwarzając z sobą, mówiło, iż x. biskup dzisiaj znowu kazać i nowe klątwy ciskać będzie.

A gdy to mówili, ozwał się nagle z wieży kościelnej dzwon, dziwnie ponurym i żalobnym głosem. Uderzano bardzo powoli w jedną tylko stronę dzwonu, który jękliwym echem rozbrzmiewał w oddali. Nie słyszał pan Szornel jeszcze nigdy takiego dzwonienia i nie pojmował zrazu, coby oznaczać miało, ale gdy ujrzał na wszystkich twarzach pomieszanie wielkie, gdy ujrzał, jako cały ów tłum pobożnych ścisnął się jeszcze bardziej i jakby skupiał w przestrachu, domyślił się, że to ponure dzwonienie ma związek ze strasznym obchodem, który się gotował.

Zaczem w smutku głębokim padł na kolana i gorąco modlić się począł. Błagał Boga o skruszenie serca x. biskupa i odwrócenie srogiego nieszczęścia, jakie dotykając winnego, największym ciężarem spaść miało na głowę niewinnej „bladej pani“, już dość i tak nieszczęśliwej. A tak się w tej modlitwie zagłębił, że nie widział, jako się Msza żalobna przed wielkim ołtarzem rozpoczęła, a x. Dziaduski wszedł i znów jak wczoraj na owym klęczniku wsparty, z oczyma utkwionemi w krzyż Zbawiciela nieruchomo się modlił.

Nagle organ i śpiewy żałobne ucichły. Dziaduski wstał z klęczek i mówić począł. Mówił z większym jeszcze niż wczoraj ferworem, przedstawiał, jako ów dom boży, w którym prawowierne nabożeństwo się odprawuje, w obłęzeniu przez kacerzy jest trzymany, którzy falesznymi naukami swymi szlacheckie dłonie przeciw powadze i władzy Kościoła świętego uzbrajają. A potem z wielką mocą jął mówić, jakie niebezpieczeństwa grożą całej Rzeczypospolitej od tej nowej nawały pogańskiej. „Zbrojne napady pohańców wszelakich — wołał z mocą wielką — odpierali ojcowie nasi pierśią waleczną, a mieczem, któremu błogosławił Pan. Lecz oto przychodzi do nas słowo zatrute jadem piekielnym, słowo, broń najstraszliwsza, która nie ciało, lecz duszę zabija — a skoro jej nie odeprzemy, zginieciem niepowrotnie, synowie zaś nasi przeklinać będą pamięć niedoleżnych ojców!”

Lud zgromadzony słysząc to, kajał się bardzo i znowu jak wczoraj, padał na kolana, a jękiem i łkaniem głośnym przytwierdzał słowom świątobliwego pasterza. Pan Szornel klęcząc wśród tłumu, słuchał w milczeniu, lecz wnet zadrział cały, gdy x. Dziaduski wymienił po raz pierwszy nazwisko Stadnickiego Stanisława Mateusza, zwąc go hersztem kacerstwa. Rotmistrz powstał z klęczek i tak się zbliżył ku ołtarzowi,

że widzieć mógł, jako x. Dziaduski, przyodziany w biskupie szaty kościelne, stojąc w otoczeniu liczego kleru i prałatów u stóp ołtarza, trzęsące się dłonie wzniosł do góry i w uniesieniu przytaczać zaczął, jako on Stadnicki za namową Blandraty i Stankara kacerstwo na Rusi szerzyć chce, szkoły heretyckie zakłada a wiernym domy boże zabiera, by je obrządkami pogańskimi plugawić. I w tym wielkim ferworze porwał stojącą obok niego na klęczniku wysoką gromnicę i głosem, który drżał, ale groźnem echem rozlegał się po całej świątyni, jął wyklinać Stadnickiego.

— „Przeklęty niech będzie — wołał — w domu i na dworze, w mieście i na roli, siedząc i stojąc, jedząc i pijąc i śpiąc... przeklęty niech będzie tak, iżby w nim zdrowego członka nie było od wierzchu głowy, aż do stopy nożnej! Niechaj wypłyną wnętrzności jego, a ciało jego niech robactwo roztoczy! Niechaj będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, z Abironem i Dathanem, których ziemia żywo pożarła! Niechaj będzie przeklęty z Kainem mężobójcą; niechaj mieszkanie jego będzie spustoszone; niechaj będzie wymazany z ksiąg żywiących i z sprawiedliwymi niechaj nie będzie pisany i pamiątka jego niechaj na wieki zaginie! Niechaj na ostatnim sądzie będzie przeklęty z dyablem i anioły

jego i na wieki niech zginie, jeśli się nie opamięta!”

W całym kościele zaległa cisza... jęki i płacze ustały; zdawało się, jakoby jedno uczucie przerażenia zamknęło dech w piersiach wszystkich obecnych. A wśród tego milczenia słychać jeno było ów głos, wyklinający, który się wzmacniał, to łamał się i konał w zachrypłej piersi biskupa, oraz ciągły, powolny odgłos dzwonu, rozdzierający powietrze jakimś rozpaczliwym oddźwiękiem...

Pan Szornel mimowolnie upadł znów na kolana i osłupiałym wzrokiem patrząc na płonąca oburzeniem twarz biskupa, nie rozumiał już słów, jeno czuł, że jakieś wielkie nieszczęście przywala go całym ciężarem; jeno to słyszał, jako x. Dziaduski raz jeszcze powtórzył imię i nazwisko Stadnickiego, a potem znów wołał:

— Niech będzie wyklęty!

A chór owych prałatów, którzy obok biskupa stali z gromnicami zapalonymi w rękę, powtarzał za każdym przekleństwem:

*Fiat! fiat! anathema! anathema!*

Potem już wszystko ucichło. Biskup gromnicę swą zdmuchnął, połamał i szczątki z łoskotem na ziemię cisnął; inni duchowni uczynili to samo, a x. Dziaduski upadł na kolana, twarz kryjąc w dłonie; poczem organ z cicha, żało-



bnie grać zaczął, i rozległ się śpiew ponury psalmu: *Deus laudem meam...*

I znowu ozwał się lament w kościele, gło-  
sząc ów śpiew żałobny i monotony odgłos  
dzwonu, który wciąż jęczał w jedną uderzany  
stronę. Ale pan Szornel nie mógł już słuchać  
ani tego śpiewu, ani tego dzwonu, ani tych la-  
mentów — porwawszy się z klęczek, przedarł  
się przez tłum i uciekł nieprzytomny prawie.

Jeszcze mu nigdy sprawiedliwość boża w tak  
groźnym nie ukazała się majestacie; on wierzył  
jeno i myślał o miłosierdziu.

Gdy rotmistrz przybył do Niedźwiedzia z po-  
wrotem, była już noc późna, ale mu zaraz po-  
wiedziano, że pani Stadnicka z wielkim niepo-  
kojem go oczekuje, kilkakrotnie już przysyłała  
z zapytaniem, czy nie powrócił i małżonkę jego  
do swojej komnaty zabrawszy, tam z nią zazem  
czuwa a poleciła, by pan Szornel zaraz po przy-  
jeździe, nie zwłócząc, u niej się stawił.

Ze ściśnionem sercem poszedł tedy pan Szor-  
nel zdać sprawę ze smutnego poselstwa, a mu-  
siał być bardzo zalterowany i blady, skoro obie  
niewiasty obaczywszy go, krzyknęły razem bo-  
leśnie i nawet witać go zapomniały. A cóż do-  
piero, gdy pan rotmistrz opowiedział wszystko!  
Pani Stadnicka nie płakała, ale twarz jej zwy-  
kła, stała się jakby marmurową i martwą,

oczy jej zdawały się wychodzić z powiek, tak się uczyniły duże i jakieś nieruchome, jakby straszliwe mary przed sobą widziały. Nie mówiła nic, jeno pierś jej podnosiła się gwałtownie, że zdawało się, iż wewnętrzne łkanie ją zdławi. — Szornelowa rzuciła się ku niej, błagając, aby się uspokoiła, toż samo powtarzał rotmistrz i oboje pocieszali jak mogli, ale słów ich pani Stadnicka zdawała się nie słyszeć. Długo trwało, zanim przemówiła, a głos wydobył się z jej piersi z trudnością, cichy, stłumiony, a na pozór dziwnie spokojny.

— Dziękuję wam — rzekła. — Na was już jeno w tem życiu liczyć mogę, a mam nadzieję, że mnie nie opuścicie, jakoście oboje przyrzekli. Dziś jeszcze mam ciężki do spełnienia obowiązek... muszę mówić z małżonkiem.... Nikt inny zwiastować mu tej strasznej nowiny nie może.

A gdy oboje Szornelowie, obawiając się gniewu pana Stadnickiego, jęli ją od tego kroku wstrzymywać, przedstawiając, że lepiej odłożyć tę rozmowę do jutra, przerwała im, mówiąc:

— Dziś pójdę. Nie łzami, bo temi nigdy go wzruszyć nie zdołałam, ale słowem spokojnem wskażę mu przepaść, w jaką leci, mnie z sobą pociągając. Powiem mu, że ręka karząca już spadła na nas... żeśmy podani na hańbę i wzgardę, potępieni za żywota! Niech wszakże czyni, jako

wie, jam mu wierność przysięgała do śmierci powiem mu, że go nie odstąpię, chociaż wykłety jest...

Ostatnie słowa „blada pani“ zaledwie wymówić zdołała, a gdy je wyrzekła, łzy potokiem wytrysły z jej oczu. W rychle je wszakże otarła i pożegnawszy Szornelów, kazała im odejść, sama zaś krokiem pewnym, ale sztywnym, blada bardzo, lecz z głową śmiało podniesioną i wyrazem determinacyi na obliczu, szła do komnat mężowskich.

Jaka tam była między małżonkami rozmowa, to jeno Panu Bogu wiadomo. Widziano tylko, jako w komnacie pana Stadnickiego całą noc paliło się światło, slyszano głośnie jego wykrzyki, odgrażania się srogie, a potem cichą rozmowę i jakby łzy i laments niewieście.

Nazajutrz z rana wieść o klątwie przez x. Dziaduskiego rzuconej, rozeszła się po całym zamku lotem błyskawicy, wielki popłoch i przerażenie rzucając. Owi wszyscy ministrowie kacerscy zebraли się na naradę i długo obradowali, poczem główny minister zboru, Felix Krucyger szedł do Stadnickiego, który wszakże mówić i widzieć się z nim nie chciał. Wśród dworzan, którzy katolikami byli, nie mniejsze panowało zamieszanie; niektórzy przenosząc dobrą kondycję nad wszystko, chcieli pozostać, inni, zelanci, oświadczyli,

iż z wyklętym społeczności mieć nie mogą i gwoli zbawienia duszy z Niedźwiedzia ucho-  
dzić muszą. — Tymczasem około południa, pan  
Stadnicki z nikim się nie widząc, wyjechał i udał  
się do Proszowic, gdzie podówczas szlachta sej-  
mikowała.

Snadź „błada pani“ prośbami uzyskała nie-  
wiele, bo na onym sejmiku pan Stadnicki od-  
grażał się szpetnie przeciw biskupowi, bluźnier-  
stwa głosił straszliwe, a wreszcie, gdy mu tam  
wyrok biskupi na piśmie doręczono, protesto-  
wał się i całą szlachtę obecną za sobą pocią-  
gnął, która do onego protestu tłumnie przystą-  
piła. I jeżeli po rozmowie z małżonką, w pierw-  
szym momencie, miał może jakie pojednawcze  
intencje, to je całkowicie z Proszowic wróciwszy  
utracił i znów z Krucygierem i innymi kace-  
rzami ciągle konferencje a colloquia odprawował.

Nic go też już nawet nie wzruszyło, iż mał-  
żonka jego, snadź z alteracyi wielkiej, zaniemo-  
gła bardzo i przez dni kilka nieprzytomna  
w srogiej malignie leżała. Nawet nie widywał  
się z nią, jeno codziennie przysyłał z zapyta-  
niem, jako się miewa. Gdy się zaś dowiedział,  
iż niektórzy z dworzan tak w Niedźwiedziu jak  
w Dubiecku, mówili, że jako katolikom nie go-  
dzi się im dłużej z wyklętym obcować, tak się  
rozsierdził, że prawie wszystkich natychmiast

oddalił, nawet takich, którzy radzi byli pozostać.

Szornel byłby już dawno z Niedźwiedzia wyjechał, jeno go jeszcze ciągle wstrzymywała małżonka, która przy łożu chorej pani Stadnickiej dni i nocy spędzała. Tak tedy minął czas niejaki, gdy jednego wieczora wbiegł do izby Szornela jeden z przybocznych dworzan pana Stadnickiego, wzburzony bardzo, mówiąc jako pan zachorzał i wzywa rotmistrza do siebie.

Zdziwiło go to niepomału, bo od czasu owej klątwy jeszcze Stadnickiego nie widział, a i przedtem już tylko z rzadka się widywali, prawie zaś nigdy nie mówili z sobą, tak owo kacerstwo wielką między nimi wykopało przepaść. Wszakże na wezwanie poszedł zaraz Szornel, ale z tem postanowieniem, aby ta rozmowa była już ostatnią i aby oświadczyć dawnemu przyjacielowi swemu, iż zamek niedźwiedzki opuszcza na zawsze.

Gdy wszedł do komnaty pańskiej, zastał Stadnickiego siedzącego na łożu. Był widocznie zmieniony: twarz cała była czerwona i jakby nabrzękła, a od czasu do czasu przebiegały po niej drgania kurczowe. Oczy miał przygasłe i także zaczerwienione. Widząc wchodzącego rotmistrza ruszył się niespokojnie, ale ręki doń nie wyciągnął, jeno ozwał się z żywością:

— Mam do waszmości wielką prośbę. Wiem,

8\*

że jako inni, tak i ty opuścić mnie chcesz. Nie wstrzymywałbym, każdy bowiem czyni tak, jak mu jest lepiej. Ale oto czuję się chorym, bardzo chorym... Walczyłem długo z niemocą, ale ona przemaga. Dobrze więc, niech się wszystko zakończy, już mi się i ten żywot sprzykrzył i całe go żałować nie myślę. Wszakże zostawiam żonę bez opieki... To mnie gryzie. Nie miłowałem jej jako przynależy, łyzy jej i smutek ciężą mi... Przed chwilą, gdym usnął, zdało mi się, iż widzę pierwszą małżonkę moją, a ta mi rzekła, iżbym obowiązków dopełnił. Wiem, jako po mej śmierci zbiegną się tu bliżsi i dalsi... rozchwyatają i rozdrapiają. Nie chcę, aby ta, której za życia dałem łyzy, po mojej śmierci doznała niedoli...

Tu rotmistrz przerwać chciał, ale Stadnicki nie dał mu nic rzec, jeno sam mówił dalej, coraz spieszniej, głosem stłumionym, jakby go w piersiach dławiono.

— Otóż chciałbym — kończył — abyś ty, mości rotmistrzu, któryś mi niegdyś życie ocalił, teraz ocalił spokój mej duszy. Z kłatwą x. Dzia-duskiego — dodał, rzucając niecierpliwie ręką — jakoś sobie radę dam, ale krzywda jej, małżonki mojej, ciężyłaby mi straszliwie. Skoro więc umrę, tobie rotmistrzu oddaję nad nią opiekę. Znam cię i wiem, jako nikt lepiej uczynić by tego nie zdołał.



A wskazując ręką na wielką skrzynię okutą, stojącą opodal, rzekł jeszcze :

— Tam znajdziesz spisana ostatnią wolę moją... wykonaj ją... na zbawienie duszy zaklinam cię i obliguję...

To mówiąc, padł na wznak, rękami niespokojnie rzucając, a gdy pan Szornel w przerażeniu podbiegł, Stadnicki chwycił go silnie za rękę i głosem chrypliwym powtarzał :

— Przyrzekasz mi? przyrzekasz...?

— Przyrzekam! — odrzekł rotmistrz, nie wiedząc już nawet co mówi z przestachu, a w tymże momencie Stadnicki bardzo zacharczał, zębami zgrzytnął i oczami przewracał, właśnie jak gdyby konał.

Szornel wołać począł, zbiegli się domownicy i przywołano natychmiast bawiącego właśnie podówczas w Niedźwiedziu Blandratę, który dusze herezyą truł, ale ciała sławnym był lekarzem. Ten spojrzawszy tylko, zalterował się wielce, w tymże momencie krew choremu puścił, bańki postawił i jakoż tyle zdziałał, iż niebawem pan Stadnicki lżej oddychać począł i zawarte otworzył powieki, ale mówić nie mógł i zgoła nieprzytomny był.

Przerażenie było srogie w całym zamku niedźwiedzkim. Blandrata nie wiele robił nadziei i przez dni kilka zdawało się, że śmierć zabie-

rze już swoją ofiarę. Jak to zwykle bywa, rozmaite gadki chodziły między dworzanami a domownikami; niektórzy przypisywali to karze boskiej i skutkom klątwy przez x. Dziaduskiego rzuconej; inni, zwłaszcza kacerze, ubolewali nad przyszłym losem swoim, który w razie śmierci ich dobroczyńcy i opiekuna, stawał się zgoła niepewnym; inni wreszcie, jako oboje Szornelowie, zapominając zażaleń swych, szczerze oplakiwali niechybną zdawało się utratę tego, który bądź co bądź był im szczerym przyjacielem. Pani Stadnicka, zaledwie wstawszy sama z ciężkiej niemocy, dni i noce, w niemej rozpaczce pogrążona, przy łożu małżonka spędzała, już jeno o to dbając i Pana Boga ze łzami prosząc, aby mu przed śmiercią łaskę nawrócenia dać raczył.

I zdawało się, że modły jej wysłuchane zostały, bo oto jednej nocy, w dni kilka po owym pierwszym napadzie choroby, gdy „błada pani“ wraz z Szornelami przy nieprzytomnym mężu czuwała, Stadnicki zbudził się jakoby ze snu i błędnym zrazu wzrokiem po komnacie wodził, a potem rotmistrza poznał i rękę ku niemu wyciągnął. Nie mówił nic, ale gdy Szornel się zbliżył, ujął go za prawicę i mocno ją uściśnął, jakby mu przypomnieć chciał uczynione przed kilku dniami przyrzeczenie, bo i na małżonkę przytem patrzył, a wreszcie uśmiechnął się do-

brotliwie i rzewnie, jakby mówić nie mogąc, tym przynajmniej uśmiechem pragnął zatrzeć w pamięci dawną swą surowość. Pani Stadnicka rozplakała się głośno, bo jeszcze nigdy tak dobrego uśmiechu na ustach małżonka nie widziała, a przykląkwszy, jęła ręce jego całować, przemawiać doń czule, a wreszcie błagać, by się z Bogiem pojednał.

Co tam w tej chwili dzieć się musiało w heretyckiej duszy pana Stadnickiego, to jeden tylko Stwórca wiedzieć mógł. To pewna, że działy się tam dziwne i niepojęte rzeczy, niedostępne dla tych, którzy chcąc wszystkiego rozumem dochodzić, nie dopuszczają działania łaski bożej, która w serce najbardziej zatwardziałego grzesznika skruchę i opamiętanie wlać może. Gdy „blada pani“ płacząc i łkając mówić zaczęła o pojednaniu z Bogiem i miłosierdziu bożem, które największe występki przebacza i siły powrócić może, bo zdrowie tak ciała jak duszy w bożych rękach jest — pan Stadnicki poruszył się zrazu i rękę z dłoni Szornela wyrwawszy, rzucił ją, jakby silentium nakazać chciał. Wszakże, gdy pani Stadnicka nie umilkła, ale z coraz większym ferworem i rzewnie bardzo mówiła, chory uspokajał się widocznie, oczy zawarł i słuchał. Oblicze jego przybierało zwolna wyraz dziwnie tkliwy, aż nagle łzy, jakby długo wstrzymywane,

strumieniem z pod powiek wytrysły. Był to znak niemylny skruchy, a z tego szczęśliwego momentu należało spieszenie korzystać. Toż pani Stadnicka wraz z rotmistrzem zaczęła nalegać, aby wnet posłać do x. Dziaduskiego z przeproszeniem i prośbą o zdjęcie exkomuniki a z przyrzeczeniem, iż kościoły katolikom zabrane, wrócone im zostaną.

Długo nie było odpowiedzi żadnej, aż wreszcie gdy pan Szornel kilkakrotnie to samo powtarzał i nalegał, Stadnicki oczy otworzywszy, z wielkim wysiłkiem, drżącymi ustami wyszeptał:

— Dobrze...

Usłyszawszy to słowo upragnione, pani Stadnicka zaczęła znów ze łzami ręce małżonka całować, a potem Panu Bogu w gorącej modlitwie dzięki czynić. I postanowiono, by wnet jeden z zaufanych dworzan jechał do Przemyśla z listem własnoręcznym pani Stadnickiej do x. biskupa, w którym groźna choroba jej małżonka, a zarazem owa jego retraktacya, konającymi ustami uczyniona, opisaną być miała. Natychmiast też list ten w krótkich ale wymownych wyrazach ułożono i napisano, prosząc o zdjęcie klątwy i przyrzekając zwrot zabranych kościołów. Potem go jeszcze odczytano panu Stadnickiemu, który go w milczeniu słuchał i zapytany, znów z trudnością ale wyraźnie powtórzył:

— Dobrze!

Zaczem radość z tego nawrócenia była wielka i wnet wyprawiono jednego z dworzan do Przemyśla, chociaż to noc już była późna, aby ów list jak najrychlej dostał się do rąk biskupa. Szornel sam jechać chciał, ale go pani Stadnicka wstrzymała, słusznie przedstawiając, iż chory, który z widocznym afektem w tej niemocy ku niemu się zwracał, potrzebować go może. Należało zresztą teraz bacznią straż trzymać, aby Blandrata, lub inny kacierz jaki, dowiedziawszy się o tem co zaszło, nie starał się wpływem swym odwrócić znów umysłu chorego od zba-wiennych zamiarów. Jakoż Blandrata zaraz z rana zawiadomiony o poselstwie owem do Przemyśla, przeraził się wielce i wnet przybiegł wykrzykując, że chorego temi wzruszeniami dobijają, że wymuszają na nim jakoweś retraktacye, które żadnej wagi mieć nie mogą, ile że w nieprzytomnym umyśle są czynione. Pan Szornel wszakże milczenie mu nakazał i surowo przeciw niemu wystąpił, a Blandrata nie będąc pewnym jak się to wszystko obróci i czy pan Stadnicki żyć będzie, zmilczeć musiał, grożąc jeno, iż za uratowanie pana nie ręczy, jeśli go w ten sposób niepokoić będą.

Groźba ta wszakże nie ziściła się cale, bo ta noc właśnie, w której pan Stadnicki retraktacyę

ową uczynił, była jakoby przesileniem w chorobie. Odtąd dzień każdy polepszenie przynosił, siły wracały, jeno język jeszcze posłuszeństwa odmawiał, i jakby zdętwiała, mówić nie dawał. Ale już i sam Blandrata był lepszej myśli, zapewniając, że to z czasem przeminie i chory skoro na siłach się wzmoże, władzę mówienia odzyska.

Jeszcze przed owem stanowczem polepszeniem, nadeszła odpowiedź od x. biskupa, który w bardzo pięknych wyrazach odpisał pani Stadnickiej, iż jako Pan Chrystus nie pragnie śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył, tak i on idąc za temi słowy boskiego Mistrza, gotów jest klątwę uroczyście, tak jak była rzuconą, odwołać, byleby jeno pan Stadnicki obietnicy dopełnił i zabrane kościoły katolikom powrócił; teraz zaś słysząc o groźnej jego chorobie, przez swojego kapelana przesyła mu rozgrzeszenie *in articulo mortis*.

Gdy powiedziano panu Stadnickiemu o przybyciu owego kapelana, zniecierpliwiał się nieco i rękami rzucać począł, bo xięży okrutnie nie lubił, ale czy z wielkiego osłabienia oporu stawić nie mógł, czy też pan Szornel, który nań cały swój dawny wpływ odzyskał, to sprawił, dość, że pan Stadnicki zgodził się przyjąć owego xiędza, a nawet na odprawienie modłów kato-



lickich w swojej komnacie zezwolił. Było w nim widocznie przeświadczenie, że umrze, więc mu już poniekąd wszystko zdawało się obojętnem; może też i wyrzuty sumienia go gryzły, i na wieczysty żywot chciał się należycie przygotować, ale już całe dawnej zapalczywości nie okazywał, obojętnie patrząc na to, co się wokoło niego działo. Z drugiej strony Blandrata i cała jego heretycka kompania, nie śmieli także głośnej opozycji czynić, bo lękali się, aby tem nie pogorszyć stanu zdrowia pana, od którego życia lub śmierci dalszy ich los zależał. Więc w swoich zamkniętych się komnatach, siedzieli cicho, patrząc ze zgorszeniem wielkiem, jako ów kapelan biskupi z dwoma jeszcze duchownymi przybywszy, Mszę świętą w zamku, w komnacie chorego, odprawiał, na którą wszyscy katolicy domownicy tłumnie przypuszczeni byli.

Uroczysty to był moment. Pan Stadnicki siedząc na łożu, wsparty na poduszkach, gdy się Msza święta rozpoczęła, obojętnie zrazu, choć z uwagą przysłuchiwał się i patrzył, żadnego znaku nie dając. Ale gdy kapłan Ciało i Krew Chrystusową pokonsekrowawszy, podnosił je ku uczczeniu i gdy wszyscy obecni twarzą ku ziemi padając, jęli głośno się modlić, a niektórzy płakać — pan Stadnicki, czy to siłą wspomnień dawnych, dziecinnych jeszcze, czy to rzewnością

i uroczystością tych obrządków katolickich, dawno nie oglądanych, przejęty, wzruszył się widocznie i podnieść się jeszcze nie mogąc, głowę jednak chylił z widoczną skruchą. A gdy wreszcie kapłan, przystępując do komunii świętej, bił się w piersi i głośno mówił: „*Ecce Agnus Dei, ecce qui tollit peccata mundi!*“ — westchnienie ozwało się z piersi chorego, a wszyscy przytomni z rozrzewnieniem patrzyli, jako na obliczu pana, zwykle tak groźnym i chmurnem, odbijał się teraz wyraz wewnętrznego wzruszenia. To też gdy po skończonem nabożeństwie x. kapelan biskupi przystąpiwszy do łoża chorego, zapytał go, ażali błędy swoje odwołuje — Stadnicki, mówić nie mogąc, dał znak potwierdzający, a potem ze schyloną głową i przymkniętymi oczyma słuchał, gdy xiądz słowa łacińskie *absolucyi in articulo mortis* wymawiał, a nawet rękę z trudnością dźwignął i bił się w piersi ze skruchą.

Tak się to wszystko skończyło, a odtąd, jako się rzekło, polepszenie w zdrowiu było widoczne i niebawem wszelkie niebezpieczeństwo minęło, chociaż siły powracały zwolna i stopniowo. W miesiąc potem pan Stadnicki już się po swej komnacie przechadzać mógł, jeno mówił jeszcze tak niewyraźnie, że go zrozumieć było trudno.

Do całkowitego wszakże wyzdrowienia przy-

czyniła się niemało upragniona od tak dawna wiadomość, jako pani Stadnicka, która od pewnego czasu ciągle na zdrowiu zapadała, w błogosławionym jest stanie. Katolicy przypisywali to szczególnej łasce bożej, a w tem ziszczeniu się gorących pragnień pana Stadnickiego, widzieli nagrodę za jego skruchę i nawrócenie. Heretycy zaś skorzystali z tego w inny sposób i na swój pożytek obrócili. Zdarzyło się bowiem, że nie kto inny, jeno chytry Blandrata ową nowinę panu Stadnickiemu zwiastował, bo raz, gdy pani Stadnicka znagła omdlała, wezwany do niej na pomoc, wprawnem okiem rzecz całą spenetrowawszy, nie nikomu nie rzekł, lecz jakieś cale niewinne leki zaordynował i do pana wnet pobiegł, aby mu tę nowinę zanieść, wiedząc jak wielką napelni go radością. A była w tem myśl chytra, by sobie napowrót łaski pańskie zjednać, ile że poseł nowiny dobrej, zawsze życzliwie bywa przyjęty i mile wspomniany. Toż i cel ten osiągnął, bo nietylko owa wiadomość do reszty uzdrowiła chorego, ale pan Stadnicki w wielkiej radości na szyję mu się rzucił i swoim najlepszym nazwał przyjacielem.

Na razie nie wiele się wszakże zmieniło. Na nalegania biskupa, aby obietnicę spełnił, Stadnicki zwlekał długo, a potem wreszcie kościół ów szpitalny w Dubiecku katolikom powrócił, inne

wszakże przy heretykach zachował, różne wynajdując wymówki. W Niedźwiedziu też Blandratę i innych kaczerzy zatrzymał, pod tym pozorem, jako Blandrata lekarzem był sławnym i wielce małżonce jego pomocnym. O nawróceniu swoim ani o tem nabożeństwie katolickiem, które się w jego komnacie odprawiało, nie czynił nigdy żadnej wzmianki, owszem, ilekroć w rozmowie o to potracono, wnet z pośpiechem na co innego uwagę odwracał, jak gdyby się wstydził tego, co się stało, a co już może słabością serca mienił. Zmienił się wszakże bardzo w postępowaniu z małżonką i domownikami: o ile wprzód zapalczywym i gniewliwym był, o tyle teraz dziwnie złagodniał, tak, że wszyscy, zarówno pani Stadnicka, jak i pan Szornel, w obawie, aby go nie drażnić — boć jeszcze zawždy owa choroba straszliwa niezupełnie była minęła — postanowili nie nalegać teraz, a cieszyć się i zadawałniać tem, co się już tymczasem uzyskać dało, nie tracąc nadziei, że później i resztę zdobyć będzie można. Pani Stadnicka widząc też, że od czasu gdy matką zostać miała, afekt mężowski znacznie się ku niej obrócił, nie wątpiła, iż w razie przyjscia na świat syna, wszystko co zechce uzyskać, i w tej nadziei pisała do x. biskupa z prośbą, aby cierpliwym był, na co też x. Dziaduski, snadź dzielając owe

nadzieje, chętnie przystał. — Szornel także, który miał już wyjeżdżać z Niedźwiedzia, widząc owe zmiany, ociągał się jeszcze ze spełnieniem swego zamiaru, tem bardziej, iż małżonka jego prosiła go usilnie, by jej nie rozłączał z ukochaną opiekunką i panią, zwłaszcza w tym ciężkim terminie, który się zbliżał.

Wszystko zatem zdawało się układać ku lepszemu; jeno owi kacerze byli bardzo niespokojni, nie wiedząc, żali serce i umysł pana Stadnickiego napowrót ku sobie zwrócić potrafią. Jakich tam oni na to używali sposobów, Bogu wiadomo, ale to pewna, że na niedługi czas przed rozwiązaniem pani Stadnickiej, gdy ona dla wielkich w nogach niemocy z komnaty swej już całe wychodzić nie mogła, coraz silniej małżonka jej oblegała poczęli i ku sobie ciągnąć. Pan Szornel ze smutkiem dojrzał wkrótce, jako dawne praktyki powoli wracać zaczynają, a w miarę tego i pan Stadnicki pochmurniejąc, do swego dawnego usposobienia i zapalczywości powraca.

Przekonał się o tem niebawem na sobie, bo gdy raz nadmienił tylko, jako x. biskup Działuski o kościół w Żołyńni się dopomina, Stadnicki ofuknął go gniewnie i dawnym głosem: *Quinque* dyabłów! wrzasnąwszy, milczenie mu nakazał.

Nie wspomniał rotmistrz nic o tem „bladej pani“, lękając się martwić ją zbyt w jej

owoczesnym stanie, ale już widział, że z tego nawrócenia pana Stadnickiego nie wiele dobrego wyniknie, że to nawrócenie było jeno pozorne, z osłabienia raczej i choroby, nie zaś z przekonania pochodzące. Smucił się tedy wielce w duchu, myśląc jakie to nowe boleści gotują się w przyszłości dla biednej „bladej pani“, która teraz o niczem nie wiedząc, słodkiemu oddawała się złudzeniu. Złudzenie to było tem łatwiejsze, ile że pan Stadnicki niezmiennie dla małżonki zdawał się być czułym, codziennie w jej komnatach długo przesiadywał i swobodną rozmową ją bawił. Wyszedłszy wszakże stamtąd — o czem już pani Stadnicka nie wiedziała — zamykał się wnet z Krucygierem lub Blandratą i znów jak dawniej colloquia z nimi odprawował. Dla nich też miewał czasem łaskawe słowa, od innych zaś dworzan chmurnie się odwracał, a Szornela cale już unikał.

Przyczyniła się zaś do tego jeszcze inna okoliczność. Na zamku niedźwiedzkim był zdawna dworzanie nazwiskiem Wretelski, człowiek w sile wieku, a przebiegły bardzo i cale niepewnej kondycyi — przybłąda jakiś, chociaż się szlachcicem być mienił. Szpetną miał też postać ów Wretelski: wysokiego wzrostu, silny bardzo, rysy miał wielkie, niekształtne, grube, a twarz czarną, jakby cygańską, wśród której białka oczu prze-



rażliwie świeciły. Skąd był, nikt nie wiedział; on zaś rozpowiadał, iż ze Żmudzi jest rodem, gdzie rodzic jego jakoby znaczne majątności miał. Ale to wszystko pono była nieprawda i nikt też temu nie wierzył, ile że Wretelski widocznie niskiej był kondycyi, zgoła chłop albo cygan, albo jaki zbieg z ukraiennych kresów. Pełnił on zrazu przy panu Stadnickim funkcyę podrzędne, ale pan Szornel, który wówczas zarząd zamku jeszcze sprawował, przydybawszy go na jakowejś niecnocie, precz go wyrzucił, przy czem uniosłszy się, zbezczescił nawet, a gdy Wretelski na rękę go wyzwał, rotmistrz odrzekł, aby się przedtem ze szlachectwa cale niepewnego wywiódł, inaczej bowiem kijami osmagać go każe, gdyby się jeno na zamku pokazać ośmielił.

Wretelski szpetnie się przeciw Szornelowi odgrządzając, zniknął z Niedźwiedzia i lat parę go nie było, aż potem nagle ze Stankarem, jako jego przyboczny przybył, udawał zagorzałego Aryana i osiadł w Dubiecku, gdzie go już Stadnicki jako współwiercę przez Stankara zaleconego, ochotnie przyjął. Stankar zaś opowiadał, jako Wretelskiego w Pińczowie spotkał i poznawszy, przekonał się, że człek jest zaufania godny i w nowej wierze zelant wielki. — Szornel dowiedziawszy się, jako Wretelski przyjęty

został na dwór Stadnickiego w Dubiecku, nie-mało się tem oburzył, a nawet ze Stadnickim o to się przymówił, co ich wzajemne relacje jeszcze bardziej ochłodziło.

Tymczasem nadszedł ów z trwogą a niecierpliwością oczekiwany termin rozwiązania pani Stadnickiej, a było to w jesieni późnej r. p. 1553. Wielkie wesele rozjaśniło oblicze pana niedźwiedzkiego zamku, bo oto po północy, małżonka po-wiła mu syna, upragnionego potomka i spadko-biercę imienia Stadnickich. Z wałów zamkowych strzelano z moździerzy, dla sług i domowników wyprawiono ucztę wspaniałą, która kilka dni trwała, ale pan Stadnicki sam w niej udziału nie brał, jeno się na krótki moment pokazał, trawiając czas z Blandratą i Krucygierem, którzy mu jakoweś oracye pochwalne wygłaszali i psalmy śpiewali dziękczynne.

Pani Stadnicka chorowała długo i ciężko po narodzeniu syna; przez kilka tygodni między śmiercią była a życiem, a zdawało się iż śmierci jest bliższa. Małżonek wszakże już coraz rzadziej dowiadywał się do niej, cały swój afekt na syna przeniosłszy, nad którego kolebką sta-wał nieraz i zamyslał się długo, bardzo pochmur-nie. Niemowlę to przyszło na świat niedołążne jakies i wątłe. Zdawało się, iż żyć nie będzie, bo nawet — co za zły bardzo uważano omen — po

narodzeniu nie krzyczało wcale, chrapliwe jeno jakieś jęki wydając. Stadnicki wielce niespokojny, ciągle Blandratę do niemowlęcia swego wołał i rady jego zasięgał, czem się jeszcze owa ich zażyłość ścieśniała, tak, że gdy po tygodniach kilku pani Stadnicka cudem prawie do zdrowia przyszła, małżonek jej już całe pod władzą był heretycką i do sił dawnych wróciwszy, ani myślał złożonych obietnic dopełnić.

Przeraziła się, tedy straszliwie biedna pani, gdy wreszcie przekonała się o tem. Widząc bowiem jako synaczek jej bardzo jest wątły i coraz więcej chorym się być zdaje, a ufna jeszcze w nawrócenie małżonka, mówić mu raz poczęła o konieczności dopełnienia obrządku chrztu św. Stanicki zrazu milczał ponuro, lecz na powtórne naleganie, ofuknął ją surowo i drzwiami zatrzasnąwszy, wyszedł z komnaty. Mniemała zrazu, że to uniesienie chwilowe i znów kilka dni przeczekawszy, a znalazłszy moment sposobny, powtórzyła swą prośbę, dodając, jakoby pragnęła dać niemowlęciu imię Stanisława św. biskupa, do którego wielkie zawždy nabożeństwo miała. Zapalczywość pana Stadnickiego już się teraz powstrzymać nie mogła. Porwawszy się z miejsca, zaczerwieniony od srogiego gniewu, przykroczył z zaciśniętymi pięściami ku małżonce swej i trzęsąc się cały w uniesieniu zawołał:

— Nie sądź wacpani, *quinque* dyabłów! aby ci się po raz drugi oszukać mnie udało. Gdym był nieprzytomny i w malignie a niemocy leżał, toś mi tu klechę papieżnika sprowadziła, by dom mój obrządkami swemi plugawił, alem teraz ja zdrów i waszemu omamieniu nie poddam się więcej. Syn mój do mnie należy, a pókim żyw, nie pozwolę, by mi go papieżniki chrzcili! Cchrzczę go, gdy dorosnie i sam wiedzieć będzie co czyni, — a teraz jeśli jeno chcesz zachować dziecko przy sobie, ani mi się waź żądnych nad nim obrządków antychrystowych czynić! Pamiętaj wacpani com ci rzekł a lękaj się gniewu mojego, który nie będzie znał żadnej kompasji, jeśli moich rozkazów nie spełnisz.

I to rzekłszy wyszedł, pozostawiając małżonkę omdlałą z przerażenia i boleści.

Co było czynić? Słuchać rozkazów małżonka? wszakże to było to samo co się współwinną stać i klątwę a potępienie wieczyste na siebie ściągnąć. A gdyby niemowlę, takie wątłe, dyszące zaledwie, umarło bez chrztu? Strach pomyśleć, jakiżby to był srogi wyrzut sumienia na całe życie, a jeszcze większy strach pomyśleć, jakaby to była kara boża na sędzie ostatecznym za taką przewinę. Nie słuchać? to się narazić znów na to, iż pan Stadnicki dowiedziawszy się o dopełnionym obrządku, srogiego przyrzeczenia do-

trzyma i niemowlę matce odbierze! Odbierze jej tę dziecinę mizerną, bladą, z takim bolem na świat wydaną a teraz własną karmioną piersią, tę dziecinę, jedyną na przyszłość nadzieję, upragnioną tak bardzo, wymodloną długimi latami opuszczenia, łez i smutku! Co czynić?

Nie umiała „blada pani“ odpowiedzieć na to pytanie. Więc naprzód noc całą na modlitwie trwając, w Bogu szukała pokrzepienia i pociechy, a potem u ludzi dobrych szukała rady i Szornela nazajutrz zrana wezwawszy, wszystko mu wyznała, jego experyencyę i rozum wzywając na pomoc. Ale i ta nadzieja okazała się złudną; pan Szornel zauważył owszem, iż czego dawniej nie bywało, komnaty pani Stadnickiej i nowonarodzonego niemowlęcia, były jakby strzeżone. Ilekroć on lub żona jego szli do zamku, wnet któryś z zaufanych pana Stadnickiego domowników poczynał się około nich kręcić i aż do drzwi przeprowadzał, nie odstępując stamtąd ani na moment. Piastunkę nawet przy dziecku zmieniono i miasto dawnej, która była wielce do swej pani przywiązana, sprowadzono inną, nieznaną, której też zaufać pani Stadnicka nie mogła. Owo zgoła jakby w oblężeniu ją trzymano.

Tak przeszedł znów czas niejaki i już zima się zaczęła, która w tym roku niewymownie była

sroga, gdy pewnego ranka pan Szornel, wyszedłszy z mieszkania swego, spotkał jednego z dworzan, biegnącego doń z poleceniem od pani Stadnickiej, by do niej szedł, nie zwłócząc. Rano to było, więc jeszcze szpiedzy pana Stadnickiego spali, a ów dworzanin należał do małej liczby katolików, którzy w zamku pozostali, chociaż zaledwie już tam byli cierpieni. Mógł tedy pan Szornel niepostrzeżenie dostać się do komnat pani Stadnickiej, która doń wybiegła ręce załamując z rozpaczą i mówiąc, iż synaczek jej zachorzał tak w nocy, że już prawie żadnej nie ma nadziei, aby żyć mógł.

— Nie mogę dopuścić — mówiła z mocą wielką — aby ów Blandrata, czy tam Krucygier, nad niemowlęciem mojem swoje pogańskie obrządki czynili, aby ta niewinna duszyczka, jeśli już Pan Bóg zabrać mi ją chce, szła przed Majestat Jego z piętnem herezyi na czole. Wszystko przeniosę raczej, ale tego nie ścierpię! Syn to mój! jam go w łonie swem wynosiła, jam go zrodziła w boleści i bronić go będę przeciw wszystkim i wszystkiemu, choćby się całe piekło sprzysięgnąć miało!

A gdy to mówiła, oblicze jej promieniało takim blaskiem, a oczy jaśniały takim ogniem zapалу, że pan Szornel po raz pierwszy w życiu



widząc taką moc wielką w niewieście, zdumiał się i czoła uchylił jak przed świętą.

A ona ciągle w uniesieniu, jak gdyby natchnienie miała z wysoka, tak mówiła dalej:

— Modliłam się noc całą i Pan Bóg dał mi taką moc, iż teraz nie lękam się już niczego. Trwoga moja była grzeszną, wanie występne. Chcę, aby obrządek chrztu św. dopełniony był na dziecięciu mojem, według przepisanych obrządków, ręką katolickiego kapłana, aby żadnej potem wątpliwości być nie mogło. Waszmość tedy, jeśliś mi jest przyjacielem, nie zwłócząc pojedziesz do Skały lub Brzeska, albo do innej katolickiej parafii i xiędza tu z sobą przywieziesz, aby obrządku dopełnił, poczem ja sama małżonkowi memu to oświadczę; niech czyni później jako chce, ale ja spełnię co mi głos boży i sumienie nakazują!

Pan Szornel ani się opierać mógł, ani żadnych przedstawień czynić, bo widział, że to byłoby daremne. Jeno tak jeszcze uradzono, by zaczekać do ciemnej nocy i owego xiędza potajemnie, gdy się wszyscy pospią, do zamku sprowadzić, obawiać się bowiem było można, aby pan Stadnicki xiędza zoczywszy, jakowego excessu się nie dopuścił, w tym bowiem czasie pochmurniejszym jeszcze a gniewliwszym był niż zwykle.

Stało się tedy jak ułożono. Pan Szornel rozgłosiwszy, iż na dzień jeden za własną sprawą wyjeżdża, udał się do Skały, gdzie był pleban dobrze mu znany, a pani Stadnicka starała się ze swej strony tak wszystko ułożyć, by ułatwić dopełnienie zamiaru. Wieczorem tedy nazajutrz, piastunkę i całą służbę oddaliwszy, zabrała niemowlę do swojej komnaty, ułożyła na swoim łożu i uspiła, a gdy pan Stadnicki nadszedł i chciał Blandratę sprowadzać, odradziła mu to, mówiąc, jako dziecko ma się lepiej i spokojnie spoczywa, że jednak chce je zachować przy sobie, aby nie zostawiać na opiece służebnej. Stadnicki, nie podejrzewając nic zgoła, bo od owej pierwszej sceny, mowy już żadnej o chrzcie dziecka nie było, dał się tymi argumentami przekonać i odszedł uspokojony do swojej komnaty, czując się zaś niezdrów, wcześniej na spoczynek się udał.

Wszystko tedy zdawało się sprzyjać zamiarom pani Stadnickiej, która, gdy się już zupełnie w zamku uciszyło, usiadła przy oknie i modląc się a żegnając ciągle, wpatrywała się w nieprzebitą ciemność nocy z niepokojem wielkim. Im późniejszą była godzina, tem serce jej kołatało mocniej, że zdawało się, iż z uciśnionej trwogą piersi wyskoczy, — aż nagle bić przestało. Cała krew uderzyła jej do głowy: na śniegu, który

bielał zdala, ujrzała cienie zwolna posuwające się ku zamkowi. Szły one zmierzając wprost ku baszcie, kędy były komnaty pani Stadnickiej. Nie było wątpliwości: to szedł Szornel z xiędzem!

Odstąpiła od okna pani Stadnicka i zbliżyła się szybkim krokiem ku łożu, na którem spoczywało niemowlę takie schorzałe, że litość brała patrzeć na te rysy drobniuchne, blade, dziwnie piękne i delikatne, a cierpieniem wewnętrznem boleśnie krzywujące się czasami. Dziecię spało i wychudzone rączęta wydobywszy z krępujących je powijaków, od czasu do czasu poruszało nimi spokojnie. Pani Stadnicka patrzyła długo na biedne niemowlę swoje, a potem padłszy na kolana, obie dłonie ku niebu podniosła, wzywając zlitowania Bożego.

Rotmistrz, zbliżając się ku zamkowi, nie był także bez obawy. Nie lękał się o siebie, jakkolwiek wiedział, iż w okazyi tej życie stracić może, jeśli ekspedycya się nie uda a pan Stadnicki przedwcześnie o planie się dowie. Nieraz wszakże nadstawiał on już pierś swoją bez trwogi, tu zaś mniemając jako w świętej działa sprawie, tem bardziej się nie lękał o siebie, szło mu jednak o xiędza, który że był człek prosty i niezbyt odważnego ducha, trząsł się jak w zimnicy ze strachu i byłby chętnie w pół drogi

zawrócił, gdyby mu rotmistrz ciągle o świętym obowiązku nie gadał i nie uspakajał, twierdząc, że żadnego niebezpieczeństwa niema.

Tymczasem niebezpieczeństwo było i wielkie. Zamek niedźwiedzki nawet czasu pokoju był na stopie obronnej; straże dzień i noc po wałach chodziły, jeno nie zawsze bywały czujne, a już pan Szornel, jednego z wiernych dworzan do tajemnicy przypuściwszy, zawczasu się postarał, aby tej nocy od strony baszty, mniej były czujne niż zwykle. Baszta owa miała też osobne wejście, zwykle zamknięte i gruzami zawałone, które jednak rotmistrz spenetrował i jeno przy-mknięte ostawiwszy, tamtędy owego plebana wiódł.

Nie było to wszakże rzeczą łatwą, bo śnieg tej nocy spadł gęsty, a że nikt tędy nie chodził, więc leżał grubą warstwą, w którą ciągle zapadali idąc, a zwłaszcza ów pleban, dość otyły, potykał się nieustannie i tak się zmordował, iż ledwo z owego zmęczenia i strachu włókł się, wdychając bardzo ciężko i głośno, że go pan rotmistrz co moment zaklinać musiał, aby ciszzej był.

— Nie mogę, panie rotmistrzu! Bóg świadkiem, nie mogę! — powtarzał pleban, chwytając się poły Szornela.

A wtem jeden ze straży dojrzawszy jakoś wś zblizające się cienie, krzyknął:

— Kto idzie?!

Dech zamarł w piersi rotmistrza, który też co prędzej ku ziemi przysiadł, a pleban zgoła już na śniegu się przewrócił, oddychając jak miech kowalski.

— A co? nie mówiłem — jękliwie szeptał — Bóg świadkiem, mówiłem!

— Ciszej bądź jegomość! — błagał Szornei — nie ruszajmy się z miejsca, aż straż przejdzie.

— *De profundis clamavi ad te Domine!* — szeptał xiądz w zaleknieniu, zapadając coraz głębiej w zaspy śniegowe.

Tymczasem ów szyldwach, widząc, że cienie znikły i przypuszczając, że to było złudzenie, odszedł na drugą stronę wzdłuż wałów; rotmistrz zaś skorzystał z tego momentu i prawie gwałtem pochwycając plebana z ziemi, pociągnął go za sobą ku furtce wiodącej do baszty. Otworzył ją i weszli w straszliwą ciemnicę, gdzie po gruzach a rumowisku trzeba się było wspinać na górę. Kamienie usuwające się pod nogami sprawiały łoskot, który głośnem echem odbijał się w sklepionych murach; xiądz coraz bardziej zmordowany, iść już prawie nie mógł i staczał się ciągle na dół, aż wreszcie na owych gruzach

przysiadłszy prawie płakać zaczął i deklarował Szornelowi, wzywając Pana Boga na świadka, iż jak żyw nigdy takiej peregrynacyi nie odbywał i dalej nie pójdzie.

— To są — mówił — jakoby misye wśród dzikich ludów... Ochrzycie wy sobie z wody owego dzieciucha! — zawołał wreszcie w zniecierpliwieniu — *in periculo mortis* to można — a ludzi dorosłych nie mordujcie! Bóg mi świadkiem, że zanim tę jedną duszę ochrzczę, to chyba moja ochrzczona z ciałem się rozstanie... Nie mogę, Bóg świadkiem, nie mogę!

Wzdychał tak i jęczał długo jeszcze ów więzyna, siedząc na gruzach w onej ciemnicy, ale że to dusza była poczciwa, jeno na trud i niebezpieczeństwo zbyt czuła, przeto pan Szornel nie potrzebował długo przemawiać, aby go skłonić do dalszej podróży. Pozostawało jeszcze jeno parę kroków drapać się w górę, a potem wychodziło się na korytarz, skąd już wprost było wejście do komnaty pani Stadnickiej.

— Ano chodźmy! — westchnął xiądz i poszli dalej.

Za chwilę też byli już na korytarzu, a za drugi moment wchodzili do komnaty „bladej pani“, która w tem oczekiwaniu śmiertelnie długiem, klęczała nieruchomo, w niemej zatopiona modlitwie.



Porwała się z klęczek gdy weszli i w wielkiem uniesieniu jęła całować ręce plebana, który zadyszany, bronił się od tego jak mógł i kłaniał się jeno ciągle, a z alteracyi nie wiedząc dobrze co mówi, powtarzał:

— Nie mogę... Bóg świadkiem, nie mogę!

— Spieszmy się — rzekł Szornel — obawiam się bowiem, żali nas kto nie słyszał. Owe kamienie w baszcie straszliwy łoskot czyniły, który łatwo mógł dojść uszu straży, lub kogo z domowników. Na korytarzu nawet dostrzegłem w ciemnościach jakąś postać, która zoczywszy nas, żywo pomknęła. Zdało mi się nawet, jako to jest ów niecny Wretelski, który tu wczoraj przybył z Dubiecka. Zatem czasu nie traćmy! *Periculum in mora!*

Przystąpiono tedy natychmiast do spełnienia świętego obrządku. Pan Szornel wziął ostrożnie na ręce niemowlę, które w głębokiem uśpieniu leżało spokojnie, a xiądz przystąpiwszy, rozpoczął modlitwy i błogosławieństwa. Głośno zaczęto odmawiać: Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego... — a gdy odmówiono, xiądz uroczyście pytać zaczął:

— Stanisławie, wyrzekasz się szatana?

Pani Stadnicka i Szornel odpowiedzieli:

— Wyrzekam się!

— I wszystkich spraw jego?

— Wyrzekam się!

Dziecko otworzyło oczy. Chwilę patrzyło mrużąc powieki na zapaloną gromnicę, a potem krzywić się poczęło, rzucać niespokojnie i wnet piskliwym wybuchnęło krzykiem. Krzyk ten wśród ciszy nocnej rozszedł się po gmachu echem tak donośnem, że xiądz z przerażeniem spojrział na rotmistrza, a widząc i na jego twarzy wyraz załęknięcia, coraz prędzej szeptał:

— Wierzysz w Boga Ojca?... Wierzysz w Jezusa Chrystusa?... W Kościół katolicki?... Chcesz być ochrzczonym?

— Chcę! — z całą mocą odrzekła pani Stadnicka, a dziecko coraz głośniej krzyczało...

Zaczem xiądz porwał pospiesznie ampulkę z wodą i polawszy głowę niemowlęcia, zaczął żegnać krzyżem świętym i wymawiać ostatnie sakramentalne słowa:

— *Ego te baptiso in nomine...*

Nie dokończył. Z przeciwnej strony, z jakiej weszli Szornel z xiędzem, rozległ się nagle odgłos pospiesznych kroków; kilku ludzi biegło pędem i całą siłą we drzwi uderzywszy, wyłąmało je z łoskotem.

Do komnaty wkroczyli Krucygier, Wretelski i kilku innych, a na ich czele z szablą wydobytą w rękę, Stadnicki, z roziskrzonym wzro-

kiem, czerwony jakby go krew zalać miała, nieprzytomny z gniewu.

Staął, i w niemem osłupieniu patrzył...

Pani Stadnicka jak trup blada, postąpiła ku niemu krokiem pewnym.

Szornel miał zawždy niemowlę na ręku, nie ruszając się z miejsca, a xiądz drżącemi usty, trzymając rękę nad głową dziecięcia, powtarzał:

— *Ego... te... baptiso... in nomine...*

— *Quinque dyabłów!* — wrzasnął przerywając Stadnicki i już nie zdolny pohamować wściekłości, podniósł miecz i mierząc w Szornela, ciał go w głowę. Cudem jakimś ostrze szabli, snadź drżącą ręką trzymanej, lekko tylko drasnęło czaszkę, ale głęboko przecięło policzek, a spadając, całym ciężarem ugodziło w dłoń prawą którą rotmistrz niemowlę przed cięciem zasłaniał, i odrąbało cztery palce. Krew trysnęła strumieniem, zlewając całą twarz dziecka, którego wszakże pan Szornel nie puścił, trzymając je mocno lewą ręką. Pani Stadnicka widząc dziecko swoje krwią zbroczone, a rozumiejąc może, iż zabite, bo i płakać w tym momencie przestało, jęknawszy, padła na ziemię i omdlała. Rzucono się wnet ku niej i wyniesiono z komnaty, trzeźwiąc.

Stadnicki widząc co sprawił, stał chwilę w niemem odrętwieniu, naprzeciw niego Szor-

nel z ręką prawą bezwładnie zwieszoną, z której krew ciekła potokiem na ziemię. Dziecko znów przeraźliwie krzyczeć zaczęło.

Po chwili oprzytomniał Stadnicki.

— Wyprowadzić xiędza! — wrzasnął.

Pleban miał się już dawno ku drzwiom, jeno trzęsące się nogi odmawiały mu posłuszeństwa, więc go dwóch dworzan pod ręce podtrzymawać musiało.

A gdy wyszli, Stadnicki najpierw syna z rąk Szornela porwał i widząc nadbiegającą piastunkę, oddał go jej, nie patrząc nań cale. Poczem kazał wszystkim iść precz, a ku Szornelowi się zwróciwszy, rzekł:

— Zdasz mi waść rachunek z tego coś sprawił.

Rotmistrz gorzko się uśmiechnął i zrazu nie odpowiedział nic, jeno wskazał na twarz, z której krew ciekła, na rękę zranioną i palce odcięte.

— Rachunek skończony — odparł wreszcie — zrąbałeś mi rękę, która ci niegdyś życie ocalała — już cię też więcej zasłaniać nie będzie.

I chciał iść, ale Stadnicki gwałtownie rzucił się za nim i powstrzymując, a patrząc nań roziskrzonym wzrokiem, krzyknął:

— Gdybym ci był głowę z karku zdjął, jeszczebym ci mało uczynił, za krzywdę, którąś

mi wyrządził!... Syna mego papieżnikiem uczyniłeś!... Proś też Boga, aby ci syna nie dał, bo jeśli go będziesz miał, to chybabym nie żył, abym ci go nie zabrał i nie uczynił z niego kalwina albo aryana, tak, jak ty z mego katolika uczynić chciałeś. Na to ci przysięgam i na duszę się klnę, iż to spełnię!...

A mówił to z taką mocą szatańską, że rotmistrz słuchając słów tych, czuł, iż krew, która mu z ran spływa, krzepnie z lęku, a serce bić przestaje. Zaszumiało mu w głowie, pociemniało w oczach, zachwiał się i upadł na ziemię, że go bezprzytomnego wynieść musiano.

Nazajutrz w zamku opowiadano sobie o tem zajściu nocnem, zwąc ów chrzest, „chrztem krwawym“, a mówiąc, jako nowonarodzonemu Stadnickiemu, rodzic przerywając sakramentalne słowa xiędza, imię dał „Dyabła“.

I odtąd inaczej Stanisława nie zwano.

---

## VI.

Gdy do tego miejsca doszedł w relacji swej pan Żegota, a ową straszną katastrofę i ów chrzest krwawy w zamku niedźwiedzkim, treściami ale żywymi odmalował słowy, nawet pan

Brzechwa, który już przedtem coraz częściej usypiał, zerwał się na równe nogi z ławy, rozbudzony zupełnie, takie nań wrażenie owo opowiadanie wywarło. A pan cześnik Stawski bardzo się nad tem co słyszał zamyślił, gdy zaś Żegota znużony, umilkł nieco, odezwał się w te słowa:

— Dziwne rzeczy opowiadasz nam wacpan, tak dziwne, że zgoła do uwierzenia byłyby trudne, gdyby nie wiarogodne usta to mówiły. A teraz już rozumiem, dlaczego on Stadnicki Stanisław „Dyablęm“ jest zwan, chociaż i późniejszym żywotem swym na to miano zasłużył..

— To com waszmościom dotąd opowiadał — przemówił po chwili Żegota — to wiem od rotmistrza Szornela, z którym potem w bliskiej byłem konnexyi. Dalszych wypadków już sam byłem świadkiem niemal naoczny, a i to muszę waszmościom dla uzupełnienia relacyi dopowiedzieć, jeżeli słuchać zechcecie, boć to już i na brzask dzienny się zbiera..

A gdy Stawski i Brzechwa usilnie prosić go zaczęli, wytechnawszy jeszcze nieco, tak prawić dalej:

— Długo bardzo chorował pan Szornel po owej katastrofie, a najwięcej go to bolało, że dla niemocy swej nie mógł z Niedźwiedzia w rychle wyjechać. Ręka tak była haniebnie posie-



kana, a zapewne wskutek irytacji srogiej tak się w nim krew wzburzyła, że przyplątała się jakaś długa choroba zapalna, która ranom goić się nie dozwalała, a życiu rotmistrza długo groziła niebezpieczeństwem. Aż dopiero z wiosną następnego roku mógł pan Szornel pomyśleć o wyjeździe, od czego go już nawet i pani Stadnicka wstrzymywać nie śmiała, widząc, że małżonek jej w zapalczywości a gniewie przeciw rotmistrzowicale nie ostygł, owszem, szpetnie się nań odgrażał, zwłaszcza, gdy reszta katolickich dworzan, którzy jeszcze przy panu Stadnickim byli pozostali, za przykładem pana Szornela, opuściła zamek niedźwiedzki. A byli między nimi najstarsi i najwierniejsi domownicy, co tak bardzo zabolalo pana Stadnickiego, że sam mało niewiele zabawiwszy jeszcze w Niedźwiedziu, wyniósł się do Dubiecka, gdzie też odtąd najczęściej przebywał. Coraz też bardziej poddawał się władzy kacerzy, którzy go już całkowicie opanowali i nietylko dubiecki kościół odzyskali napowrót, ale jeszcze i inne kościoły w majątnościach pana Stadnickiego na swoje zbory zagarnęli. Biskup Dziaduski ponowił swą klątwę, ale to już cale żadnej impresyi na umysł pana Stadnickiego nie wywarło, że stał się odtąd jeszcze gorliwszym szerzycielem kacerstwa na Rusi i coraz to nowe szkoły heretyckie fundo-

wał. Opuścili go wszyscy dawni przyjaciele, jeno kacerze z nim pozostali i zawsze wierna swej małżeńskiej przysiędze pani Stadnicka, która czasem jeszcze łagodnemi słowy gniew i zapalczywość mężowską uśmierzyć umiała. Został też z nim i Wretelski, a zyskiwał sobie tak wielkie łaski pańskie, że w końcu począł rządzić wszystkim, w każdej godzinie miał przystęp do pana i ucho jego powolne.

Tymczasem niemowlę owo, krwią pana Szornela ochrzczone, chowało się nad podziw zdrowo, a było jeszcze przy matce, bo pan Stadnicki lękał się pewnie, żali takie wątłe maleństwo zdoła się bez matki wyhodować. Czułości wszakże żadnej już dziecięciu swemu nie okazywał, mówiąc, iż jako ochrzczone, przestało mu być miłem i odgrażając się, że skoro nieco podrośnie, zabierze je i odda na wychowanie w ręce aryańskie, któreby je od onego chrztu oczyściły i od „błędów antychrystowych“ strzegły. Biedna „blada pani“ drżała na myśl grożącej rozłąki z dziećciem, a grożącej niechybnie, ile że znając małżonka swego, przypuszczać nie mogła, aby przyrzeczenia nie dotrzymał.

I dotrzymał rzeczywiście, a jak powszechnie mówiono, za sprawą i dopuszczeniem owego Wretelskiego, który coraz większą władzę i wpływ sobie zdobywał. Daremne były płacze

i lamenty pani Stadnickiej, daremne wszelkie błagania: Stanisław, który już podówczas cztery lata wieku liczył a nad podziw wyrósł i zmęźniał, zabrany przez rodzica z pod opieki macierzyńskiej, umieszczony został najpierw w szkołach aryańskich w Dubiecku, potem zaś powierzony Blandracie, który go po rozmaitych krajach cudzoziemskich woził, a wreszcie osiadłszy w Siedmiogrodzie, przy sobie długie lata trzymał.

Rotmistrz Szornel zaraz po wyzdrowieniu, wprost z Niedźwiedzia przybył do Krakowa wraz z małżonką i tam się osiedlił. Zamieszkał on — mówił dalej pan Żegota z ciężkiem westchnieniem — w dworku, który był moją własnością, a byłem ja podówczas bardzo szczęśliwym, nie znającym żadnej troski, ile że małżonkę miałem nad wszystko kochaną i fortunę dość znaczną i poważanie u ludzi. W tem szczęściu, tem mnie więcej zaboląła owa niedola i smutek rotmistrza; serdeczna litość mnie przejęła, gdym patrzył na jego przygnębienie i strapienie srogie, które się niczem złagodzić nie dawało. Z owych klątw, które słyszał, z tych przejść wszystkich, jakich był świadkiem, padł cień dziwnie ponury na duszę jego zacną, targaną wyrzutami sumienia, za owo długie obcowanie z heretykami, i obawą, że groźby Stadnickiego, rzucone w strasznej chwili chrztu krwawego, spełnią się w przyszło-

ści. Rok za rokiem mijał wprawdzie spokojnie, ale obawy p. Szornela były zawždy jednakie: pragnął potomstwa, którego dotąd nie miał, lecz zarazem lękał się, że skoro je mieć będzie, spadną nań klęski nieprzewidziane a straszliwe. Temi sprzecznemi uczuciami targany, pochmurniał i posepniał coraz bardziej, a gdy w lat parę nadeszła wiadomość, jako Stadnicki syna małżonce swej odebrał, rotmistrz doreszty spokój utracił, a jakieś okropne przywidzenia trapiły go we dni i w nocy. Wreszcie chorzeć zaczął, a ja widząc taki stan jego, namawiać go począłem, aby zaniechał beczynnego żywota, że zaś podówczas sprawy inflantskie się rozjątrzały, aby jako rotmistrz królewski do obozu się udał. Na moje usilne nalegania, uczynił to wreszcie p. Szornel i czule pożegnawszy małżonkę, którą pod naszą opieką zostawił, szedł w r. 1557 do Inflant, na oną wyprawę, która bez strzału zakończyła się upokorzeniem zuchwałego komtura Fürstenberga. W ekspedycyi tej nie wyjął wprawdzie nawet miecza z pochwy pan rotmistrz, ale dawnem odetchnął życiem i powrócił rozweselony do domu, a odtąd, skoro się jeno jaka okazyja zdarzyła, biegł zaraz ku obronie Rzeczypospolitej.

Gdy przeto rozpoczęła się owa długa kampania z Iwanem Groźnym, pobiegł wnet aż na

Litwę, kędy Mikołaj Radziwiłł Czarnym zwan, gromadził armię wielką, aby z potęgą moskiewską się mierzyć. Widziano pana Szornela i pod Tarwastem i w onej nieszczęsnej przeprawie, gdy Połock stracono, i w zwycięskiej okazji nad rzeką Ułą, gdzie się też chlubnie odznaczył. Mineło tak lat kilka, w ciągu których pan rotmistrz prawie ciągle obozowem życiem się bawił, na krótko chyba wracając do domu, aż wreszcie, poprzedzony rozgłosem swych czynów walecznych, przybył po onem świetnem zwycięstwie w r. 1564 na dłużej do Krakowa, a był całę odmłodzony i wzmocniony na duchu. W tych wszystkich krwawych przeprawach żadnego nie poniosłszy szwanku, wśród trudów wojennych zapomniał trosk dawnych i o panu Stadnickim już nie mówił nawet nigdy. Bo też o nim prawie wiadomości nie było. Rzadko kiedy przyjeżdżała pani Stadnicka do Krakowa, a gdy odwiedzała Szornelów, nie im nigdy nie mówiła o małżonku swoim. Raz tylko w tajemnicy wielkiej wyznała przedemną, że pan Stadnicki nie zmienił się całę, ani w swej zaciekłości heretyckiej, ani w zawziętości przeciw rotmistrzowi, którego wrogiem swoim i niewdzięcznym zwał zdrajcą. Odosobnienie w jakim żył ciągle, wywierało zły bardzo wpływ na umysł jego i usposobienie: zdawało się czasem, jakoby zmy-

sły tracił, tak się unosił bez powodu i widział wszędy wrogów czyhających na jego zgubę. Nie mówiłem ja o tem nic panu rotmistrzowi, który zdawał się być całe już spokojny, a gdy wkrótce potem małżonka powiła mu syna, przyjął go z radością niewymowną, której nie mięszało zgoła żadne smutne przeczucie. Wyprawił tedy naprzód chrzest bardzo solenny, na którym nadano dziecięciu imię św. Jerzego, a potem tym synaczkiem swoim nacieszyć się nie mógł, dzień i noc przy kolebce siedząc, jak gdyby chciał tym widokiem oczy swe na całe życie nasyć.

Była to chwila wielkiego szczęścia dla pana Szornela, ale też i trwała niedługo. Już wtedy rozpalala się wielka wojna moskiewska na dobre. Na litewskich granicach toczył się bój zażarty; ze Szwedem także walczyć musiano, przeto pan Szornel, aczkolwiek boleśnie mu było porzucać żonę i synaczka miłego, powinności swej rycerskiej wiernym pozostał i na tę długą ekspedycję wyruszył niebawem.

Mijały następnie miesiące całe, a z rzadka jeno dochodziły wieści przynoszone przez gońców o tryumfach oręża polskiego i czynach rycerskich rotmistrza. W lipcu 1567 r. nastąpiła owa świetna bitwa pod Czaśnikami, kędy hetman polny litewski Roman Sanguszko, wojsko



moskiewskie i złączonych z niem Tatarów na głowę pobił. Szornel na czele roty swej sam w największy ogień szedł i właśnie w momencie, gdy nawała nieprzyjacielska pierzchała w bezładnej rosypce, pewien Tatar uciekając, ciął go okrutnie w głowę, a gdy równocześnie i konia pod nim ubito, rotmistrz omal w niewolę się nie dostał, wczas jednak przez swoich odbity, zanesiony został do namiotu samego hetmana, który go opieką swoją otoczył. Okazało się, że rana od szabli tatarskiej była bardzo groźną; długo też rotmistrz leczyć się musiał, a skoro tylko pierwsze niebezpieczeństwo minęło, hetman sam wyprawił go z obozu i do domu dla odpoczynku wracać polecił, nie chcąc narażać tak dzielnego wojownika na śmierć pewną, gdyby dłużej trudy i niewygody obozowe znosić musiał; upływ krwi bowiem był bardzo znaczny i siły zdawały się niknąć.

W późnej jesieni 1567 r. powrócił p. Szornel do Krakowa wynędzniały i strudzony wielce, a w domu zastał także niezbyt ucieszne nowiny. Synaczek jego wprawdzie rósł i rozwijał się bardzo pięknie, ale żona nieustannie chorowała, pomimo wszelkich leków i jak największej pieczołowitości. Przypisywaliśmy to tęsknocie za małżonkiem i ciąglej o jego losy trwodze; toż gdy powrócił, radowaliśmy się wielce, mniema-

jąc, że ten powrót przyniesie obojgu zdrowie i uspokojenie. Inaczej jednak się stało. Pan Szornel wprawdzie w rychle dawne odzyskał siły, ale żona jego coraz bardziej zapadała, on zaś patrząc na to powolne niknięcie ukochanej małżonki, pochmurniał i posępniał. Odnowiły się też w tym czasie zatarte już nieco wspomnienia, bo w trybunałach wisiały ciągle dawne przeciw panu Stadnickiemu o majątek zabranych katolikom kościołów procesy, a i nowe wciąż skargi wytańczano, wskutek czego pan rotmistrz nagabywany był ciągle i wzywany na świadectwo. Świadczyć tedy musiał zgodnie z prawdą, a to się przeciw panu Stadnickiemu obracało, rozżarzając dawne gniewy i urazy. Dochodziły też do mnie wieści coraz groźniejsze o wielkiej animozji pana Stadnickiego przeciw rotmistrzowi, którą zręcznie podtrzymywać i rozniecać umiał ów niecny Wretelski, zawżdy w wielkich łaskach i zaufaniu u pana swego będący. W tymże czasie przybyła do Krakowa pani Stadnicka i w wielkiej tajemnicy wyznała przedemną, jako z małżonkiem jej coraz gorzej się dzieje:

— Miejcie się — mówiła — na baczości... Małżonek mój już zgoła nad sobą zapanować nie umie, a w tem osamotnieniu, w jakim go kacerstwo zamknęło, coraz straszliwsze owładają nim myśli. Ciągle procesy drażnią go niepomier-

nie, a Wretelski, który rządzi teraz wszechwładnie, przedstawia mu, jako to wszystko dzieje się za sprawą Szornela, który na niekorzyść jego składa fałszywe świadectwa. Miejcie się tedy na baczności.

A gdym zapytał, coby nam grozić mogło, dodała jeszcze p. Stadnicka z widoczną trwogą:

— Trudno to przewidzieć, ale pewno rzeczy niedobre. Małżonek mój na pana Szornela ciągle teraz się odgraża. Gdy bezsenność go trapi, co się teraz ustawicznie trafia, zrywa się nieraz jak szalony a rotmistrzowi złorzeczy: iż przez niego spokoju nie ma, iż go wszyscy za jego przykładem opuścili, że nietylko wbrew woli jego syna pierworodnego mu ochrzcił, ale teraz fałszywe składa przeciw niemu świadectwa i zgola na jego zatrąę dybie. Słowem, dziwy wypowiada, klnąc a złorzecząc i odgrażając się, że na dziecku rotmistrza za to wszystko mścić się będzie.

Chciałem ją jeszcze pytać coby to było, ale snadź mówić więcej nie chciała, jeno z urywanych słów i wielkiego jej przygnębienia dorozumieć się mogłem, iż jest to jakby srogie dopuszczenie na pana Stadnickiego, zaciemnienie, a raczej pomieszenie umysłu, zgola szaleństwo, w którym bywały tak straszne momenta, iż pan Stadnicki pamięć całkowicie tracił a wówczas

i najgorszą zbrodnię popełnić mógł. Wszystkiego tedy obawiać się było można i ja też w wielkiej trwodze prosiłem jeno Boga o odwrócenie grożącego nieszczęścia, panu Szornelowi nie mówiłem już nic, lękając się powiększać jego smutek i przygnębienie, a potwierdzać przecucia, które go trapiły.

— Czuję — mówił on — jako nieszczęście wielkie wisi nademną. Niedaremnie Stadnicki i ów Wretelski śnią mi się prawie co noc.

A gdym go uspakajać chciałem, nie odpowiadał mi nic, jeno do kościoła szedł, gdzie krzyżem leżąc, modlił się i płakał.

Dnia jednego, a było to już w listopadzie, rotmistrz z kościoła rano wychodząc, ujrzał opodal na placu zbiegowisko ludzi. Działo się tam snadź coś niezwykłego, bo jęki było słyhać, narzekania i groźby. Zbliżył się tedy p. Szornel do owego tłumu i ujrzał, jako człek jakiś, którego twarzy nie widział, bo plecami był obrócony, bił srodze chłopaka małego, krzyząc, iż go ten znieważył. Na jęk dziecka wybiegła matka i bronić go poczęła, lecz napastnik niewiastę ową odepchnął, krzyząc coraz mocniej, jako ów chłopak kamieniem nań cisnął i nazwał go „psem heretykiem“. Widząc takowe znęcanie się nad dzieckiem i niewiastą, pan Szornel wielce się oburzył, zwłaszcza, iż ów tłum ludzi zbiegłszy się,

ciekawie tej nierównej walce się przypatrywał, cale nie myśląc słabszych w obronę brać. Tedy rotmistrz w rozjątrzeniu, tłum ów roztrącił i napastnika za bary porwawszy, tak go odepchnął, że tenże aż na kilka kroków odleciał, poczem Szornel zbitego chłopca z ziemi podniósł i matce oddał, sam zaś już odchodzić chciał, kiedy ów napastnik, obaczywszy się po tem pchnięciu, śmiać się począł szyderczo i poskoczył ku rotmistrzowi pięściami wymachując.

— Ha, ha! — wołał — czołem panie rotmistrzu! Wszakci to mamy dawne sprawy do załatwienia z sobą!

Rotmistrz spojrział nań i aż się cofnął ze wstrętem. Przed nim stał Wretelski z roziskrzonym wzrokiem, z szyderczo wykrzywionemi usty.

— Dobrze, zem wacpana wreszcie spotkał — mówił on z pasyą wielką — a tu się zaraz rozprawimy za wszystkie zniewagi!

— Z wacpanem żadnej rozprawy mieć nie mogę — odparł Szornel, miarkując się z trudnością — nie dla takich jak wacpan miecz mój rycerski.

Wretelski poczerwieniał jak burak, oczy mu na wierzch wylazły i przystąpił tak blisko do rotmistrza, sapiąc ze złości, że ten zdzierzeć się już nie mogąc, żelazną swą pięścią znów go

silnie odepchnął i parę kroków naprzód postąpił, torując sobie drogę wśród tłumu, gdy wtem ze strony przeciwnej zagrział głos dobrze mu znany:

— Quinque dyabłów! a któż to jest, co śmie domowników moich znieważać?

Wzdrygnął się pan Szornel i stanął jak wryty, patrząc na Mateusza Stadnickiego, który rozsierdzony okrutnie, nadbiegł z dwoma dworzany. Wretelski wnet ku niemu podbiegł i coś mu szeptał z cicha. Przez chwilę trwało milczenie, podczas którego Szornel i Stadnicki patrzyli jeno na siebie, pierwszy miarkując się, drugi wrząc coraz zapalczywszym gniewem.

— Dawnom wacpana nie oglądał — przemówił wreszcie przez zaciśnięte zęby Stadnicki — ale widzę, że lata cię nie zmieniły. Dzieci wbrew woli rodzica chrzcisz, a teraz fałszywe świadectwa przeciw mnie składasz i godzisz na bezbronnych domowników moich!

— Fałszem się brzydzę — odparł rotmistrz z godnością — a bezbronnych właśnie przeciw przemocy zasłaniam; że zaś sługa wasz napastnikiem jest, bo już gorszego słowa nie chcę rzec, to nie jam winien.

I to rzekłszy chciał iść, ale Stadnicki drogę mu zachodził, wyzywając go ciągle, tak że wreszcie rotmistrz zdzierżyć się nie mogąc, krzyknął:



— Ustąp mi się waszmość, bym sobie krzywd dawnych i cierpień przebytych nie przypomniał!

Na te słowa Stadnicki poczerwieniał okrutnie, właśnie jakby go krew zabić miała i strasznym gniewem wybuchnął:

— A ty sam idź mi precz! — wrzasnął — znaj do kogo mówisz, quinque dyabłów! — nie przed takim chudopachołkiem Stadnickiemu ustępować!

I już się był nań zamierzył obuszkiem, który w rękę trzymał.

Byłoby się tedy stało wielkie nieszczęście, bo rotmistrz miecz z pochwy wydobył i ku Stadnickiemu się rwał, gdyby owi kompanowie, oraz inni, którzy nadbiegli, nie byli ich rozdzielili.

Ale Stadnicki odchodząc, krzyknął ku Szornelowi groźnie:

— A pilnuj tam waść dobrze swego synaczka, bym go nowochrzczeńcem nie uczynił! Dałem ci słowo i dotrzymam, quinque dyabłów!

I poszedł, a z nim Wretelski, śmiejąc się szyderczo.

Po tem zajściu powrócił pan Szornel do domu, zalterowany okrutnie. Żonie, która już podówczas bardzo chorą była, nie rzekł nic, ale mnie wyznał wszystko i prosił, abym ludzi jakich wynajął, którzyby dzień i noc straż wokoło dworku

trzymali, ile że ani dnia, ani godziny nie można już było być pewnym, żali p. Stadnicki straszliwej groźby nie spełni i na dworek nasz nie napadnie. Byłby też pan Szornel wyjechał z Krakowa i gdzieś w dalsze przeniósł się strony, ale dla obłożnej choroby małżonki, tego uczynić nie mógł. Minał tak jeden tydzień i drugi spokojnie; pan Stadnicki z Krakowa wyjechał i zdawało się, że wszystko na niczem się skończy. Mając wszakże na pamięci dawniejsze pani Stadnickiej przestrogi, jakkolwiek nieprawdopodobną zdawało się rzeczą, by pan Stadnicki jakowego gwałtu chciał się dopuścić, najałem zaraz ludzi, którzy po nocach zwłaszcza, w pobliżu dworku, czuwać mieli i w razie niebezpieczeństwa znak nam dać i ku odparciu najazdu służyć. Tem konieczniejszą zdawało mi się to rzeczą, ile że dworek nasz, nieco na odludziu, opodal od miasta położony, łatwo napadniętym być mógł. Pan Szornel przygotował się ze swej strony, broń opatrzywszy i pacholików swoich, których zawsze dwóch miał przy sobie, uzbroiwszy należycie. Tymczasem jako się rzekło, miały całe tygodnie spokojnie.

Nadszedł grudzień, a zima w tym roku była równie srogą, jak wówczas, kiedy to pan Szornel owego xiędza do zamku niedźwiedzkiego sprowadzał. Jednego dnia nad wieczorem, zerwała

się zawierzucha śnieżna; wichur wył tak prze-  
rażliwie, że długo w noc spać nie mogąc, roz-  
mawialiśmy z rotmistrzem, który zdawał się być  
niewiele spokojniejszym, a raczej zapomniał o Sta-  
dnickim i jego groźbach, dla bliższego zmar-  
twienia z powodu choroby małżonki, która  
z dniem każdym była słabszą i już całkiem z łoża  
podnieść się nie mogła, dla srogiej niemocy. Le-  
karze już nawet zgoła żadnej wyzdrowienia nie  
robili nadziei; nakazywali jeno wielki spokój,  
mówiąc, jako najmniejsze zmartwienie lub prze-  
ciwienstwo życie to na włosku wiszące, zdmuch-  
nąć może.

Było blisko północy, gdy pan rotmistrz, który  
codziennie przed spoczynkiem owe straże ob-  
chodził, aby się przekonać żali czuwają, wyszedł  
na podwórze i wrychle wróciwszy, pochmurnym  
mi się zdał bardzo i już na spoczynek szedł,  
a na odchodnym rzekł, jakby sam do siebie:

— Dziwna rzecz... taka sama zupełnie noc,  
jak owa straszna przed laty... Gdym wyszedł  
i po śniegu stapał, tak mi się zdało, iż z owym  
xiędzem do zamku idę... Straszna noc!

Chciałem go uspokoić, ale on zamilkł chmurno  
i odszedł, a ja także w rychle do snu się poło-  
żyłem. Zasypiając, słyszałem jeszcze stapania  
owych strażników po zmarzniętym śniegu i ich  
głosy przeciągłe, którymi się nawoływali. Usną-

łem tedy twardo i nie wiem jak długo to trwało, gdy zbudził mnie łoskot straszliwy, jęki i wrzaski nieludzkie.

Gdy oczy otworzył, blask mnie dziwny oślepił prawie; zerwałem się przerażony, a otwarłszy drzwi do sieni, ujrzałem, jak z mieszkania Szornela uciekali jacyś ludzie nieznani, z zapalonemi pochodniami, a on, błądy okrutnie, z rozczochranymi włosami, zaledwie odziany, biegł za nimi krzycząc i siekąc uciekających szablą. W wielkiej trwodze, przeczuwając srogie nieszczęście, płaszcz na siebie zarzuciwszy, wybiegłem na ulicę.

Zawierzucha była straszliwa: wielki tuman śniegu zasypał mi oczy, że przez chwilę nic widzieć nie mogłem, a gdym je wreszcie otworzyć zdołał, już owi ludzie daleko byli, i tylko mi gały pochodnie, sypiąc iskry wokoło.

Szornel wraz z pacholikami swymi gonił ciągle uciekających, lecz oni wnet pochodnie w śniegu zagasiwszy, koni dopadli i uciekli. Słyszałem jeno przez chwilę tętent koni w galopie — a potem wszystko ucichło.

Za chwilę wrócił Szornel, ale do niepoznania zmieniony. Błądy był, a dyszał, jak gdyby mu pierś pęknać miała, dygotał zaś cały jak w zimnicy.

— Porwali mi syna! — wyszeptał przez za-

ciśnięte zęby i padł na ławę nieprzytomny prawie.

A jeszcze wówczas nie wiedział o całym ogromie swego nieszczęścia. Dopiero po chwili porwał się gwałtownie, jakby go nagle myśl straszna upiekła i pobiegł do izby żony. Poszedłem za nim — a tego widoku jaki nas tam czekał, nigdy nie zapomnę.

Kolebka dziecka była pusta i przewrócona, a przy niej na ziemi, leżała małżonka rotmistrza z rękami przed siebie wyciągniętymi, jakby ratunku wzywając, z ustami otwartymi i otwartą powieką, w której iskry życia nie było...

Myślałem zrazu, że tylko omdlała, więc gdy rotmistrz stał w progu, jakby skamieniały, rzuciłem się, chcąc ją podnieść, lecz Szornel odtrącił mnie silnie i sam wziął na ręce to biedne, wychudzone ciało i na łożu starannie złożywszy, stanął nad niem, patrząc nieruchomo. Ani jedna łza z oczu mu nie pociekła, ani jedna skarga z ust zaciśniętych nie wyszła, jeno z piersi wydobywał się czasem jęk chrypliwy, a dłonie zaciskał kurczowo.

— Umarła! — szepnął wreszcie, a zdjąwszy wiszącą nad łożem gromnicę, zapalił ją, ukląkł i tak resztę nocy w niemem milczeniu pozostał.

W pierwszych dniach po onem nieszczęściu, trudno mi się nawet było dopytać pana Szor-

nela, jako się to stało. Pacholikowie rotmistrza, snadź z wielkiej trwogi pletli każdy inaczej, a ja spałem wówczas tak twardo, że nic zgoła nie słyszałem, aż do momentu, kiedy mnie ów straszny łoskot obudził i kiedy już zamach zdradziecki był dokonany.

Ale i pan Szornel nie wiele rzec mógł. To jedno pamiętał, iż obudziwszy się ze snu pierwszego, ujrzał nad sobą kilku zbrojnych ludzi, wśród których zdało mu się, że dostrzega twarz Wretelskiego. Można też było być pewnym, że nie kto inny, jeno ten niecny słuźalec zamachu dokonał, przekupiwszy snadź straż ową, która około dworku czuwać miała, a znikła gdzieś tak, że jej dotąd odszukać było niepodobna.

Domysły te potwierdził też niebawem list pani Stadnickiej, w którym ona w najczulszych wyrazach wypowiadając swoją boleść z powodu tak okropnej katastrofy i żał po śmierci ukochanej niegdyś swojej wychowawicy, starała się wszakże uniewinnić małżonka, i składała całą winę na podmowę złęgo dworzanina.

„Skorzystał on — pisała — z przystępu szaleństwa małżonka mego, i wówczas uzyskawszy, jak się domyślam, zezwolenie na czyn tak straszny, sam onego dopełnił. Małżonek mój dowiedziawszy się, jako pani Szornelowa umarła, wielce wyrzutami sumienia tknięty jest, i tak już teraz



zachorzał, że o jego życie bardzo się lękam. Usiłuję wymódcz na nim wyznanie, kędy uwieziono niemowlę, ale trudno idzie, bo się tem zastawia, jako nic nie wie, Wretelskiemu żadnych poleceń nie dawał i o nim słyszeć nie chce. Jakoż Wretelski dotąd nie wrócił i nie wiadomo kędy przebywa“.

List ten w gorszej jeszcze rozpaczy pogrążył rotmistrza.

— Nie może być — mówił — aby Stadnicki nie wiedział, kędy jest Wretelski i gdzie uwiózł synaczka mego. Kłamię, bo się odpowiedzialności lęka, bo wie, że choćby do króla jegomości po sprawiedliwość i ukaranie winnych się udam!

Jakoż nie zwłócząc, na wszystkie strony gońców rozesłał za synem, zaniósł protest do grodu przeciw panu Stadnickiemu i jego dworzanom, a wreszcie umyślił sam jechać do Dubiecka w nadziei, że może osobiście zdoła rychlej wymódcz na Stadnickim wyznanie.

Nie chciałem go puszczać samego, widząc, iż od owej straszliwej nocy zmienił się do niepoznania, a niepokoiła mnie zwłaszcza ponura obojętność, która go opanowała. W oczach jego, pomimo tak wielkiego nieszczęścia, nie dostrzegłem ani jednej łzy, z pozoru był spokojny, ale dla mnie, com go znał, było jasnym, że pod tym pozorem kryła się rozpacz okrutna. Już nawet

do kościoła nie chodził, ani się modlił, jeno siedział po całych dniach i nocach u ciała żony, a gdy je pogrzebano, na cmentarz szedł i tam snuł się pomiędzy grobami jak mara, który to zwyczaj odtąd aż do końca życia zachował. Przerażony tym jego stanem, błagałem go, aby uczynił folgę sercu, oczom wypłakać się dał, a duszy wymodlić, ale jeno ręką niecierpliwie machał, a raz gdym go nadto mocno znagłał, porwał się ku mnie w uniesieniu i krzyknął:

— Daj mi waść pokój z modlitwą i łzami! Przekleństwo nie modlitwę mam w sercu, a w oczach nie łzy, jeno iskry piekielne, któremi spalę duszę zbrodniarza i jego potomstwo!

Zamilkłem tedy, ale już odtąd nie odstępowałem rotmistrza na krok, gdy zaś postanowił jechać do Dubiecka — wysłani bowiem gońce z niczem powrócili — oświadczyłem, jako z nim razem pojedę. Sprzeciwiał się zrazu, ale wreszcie uległ i pojechaliliśmy. Ciężka to była droga i trudna, bo zima była śnieżna i mroźna, a zawieruchy srogie panowały, ja zaś coraz więcej niespokojny byłem o rotmistrza, ile że im bardziej zbliżaliśmy się do Dubiecka, tem stawał się pochmurniejszym i niezwykłą gwałtowność zdradzał.

Nareszcie dnia jednego nad wieczorem, przybyliśmy do owego Dubiecka i zajechaliśmy

wprost do zamku, kędy, jakto zaraz zauważyłem, panował ruch niezwykły. Na dziedzińcu zamkowym kupa ludzi stała; niektórzy dworzanie wybiegali z pośpiechem z zamku i jakieś rozkazy dawali konnym posłańcom, którzy wnet w pełnym galopie gdzieś wyruszali. Zgoła zamieszanie tam było wielkie, a gdyśmy przed bramą stanęli, trudno się było dalej docisnąć i dopytać o przyczynę tego zamieszania. Wreszcie jeden z dworzan powiedział nam, jako pan Stadnicki coraz bardziej chory i od wczoraj jest jakoby w malignie, nieprzytomny.

Pan Szornel nie mówiąc nic, szedł dalej prosto na zamek. Ale w przedsieni zatrzymano go zaraz, mówiąc, iż w tym momencie niepodobna jest widzieć się z panem Stadnickim.

— Powiedz wacpan pani Stadnickiej — rzekł rotmistrz głosem donośnym do jednego z dworzan — jako przybył Szornel, rotmistrz Jego Królewskiej Mości.

Gdy usłyszano nazwisko rotmistrza, zrobiło się w tym tłumie jeszcze większe zamieszanie, wiedziano już bowiem o całej historyi i domyślano się, co z tego przybycia wyniknąć może. Z wielką tedy ciekawością spoglądano na Szornela, ale żaden z obecnych nie ruszał się z miejsca, jakby się lękał oznajmić jego przybycie. Ale gdy pan Szornel, który teraz wielce nie-

cierpliwym był, krzyknął głośno i zagroził, że przemocą wejdzie do wnętrza, tedy widząc jako rady niema, ruszono się wreszcie i jeden z dworzan pobiegł do pani Stadnickiej.

Za chwilę też ukazała się „blada pani“, smutna, zapłakana i z widocznym zaleknieniem spojrzała na rotmistrza. On stał z głową podniesioną, chmurny, i z takim wyrazem determinacyi na obliczu, że pani Stadnicka aż się cofnęła i słowa przemówić nie mogła. Dopiero po chwili, jakby serdecznem współczuciem wiedziona, podbiegła żywo i obie ręce wyciągnęła ku niemu. Ale pan Szornel, który w tej strasznej bolesti serce dla wszystkich był stracił, a do pani Stadnickiej miał żal widoczny za list ów, w którym ona małżonka swego uniewinnić się starała, nie ruszył się z miejsca, dłoni nie wyciągnął, ale surowym głosem rzekł:

— Pragnę widzieć się z imćp. Stadnickim i spodziewam się, że waszmość pani ułatwić mi to raczysz.

Pani Stadnicka pod siłą wzroku rotmistrza mięszała się widocznie i głowę chyliła a głosem cichym, prawie pokornym, nie odpowiadając wprost na słowa jego, ozwała się:

— Nie chciej mnie waszmość karać nie za moją przewinę. Nie tu miejsce nam mówić; raczcie wejść do komnaty.

I szła naprzód a za nią weszliśmy i my do wnętrza wielkiej sklepionej izby, w której już prawie ciemno było, jeno blaski migocące od dopalającego się na kominie ogniska, pełzały po ścianach i sprzętach, niknąc wrychle.

Gdyśmy weszli, pani Stadnicka zwracając się ku rotmistrzowi i pochwyciwszy rękę jego a ścisnąc ją w obu swych dłoniach:

— Panie rotmistrzu! — zawołała — wiecie jakim was szanowała zawżdy, jak miłowałam Zosienkę, małżonkę waszą, którą Bóg zabrał do siebie, aby na niedolę naszą nie patrzyła, dla czegoż w waszym wzroku widzę nienawiść, która i na mnie spada? cóżem wam zawiniła?

Nie widziałem w tym momencie twarzy rotmistrza, ale po raz pierwszy od onej nocy straszliwej, posłyszałem coś jakby łkanie, które mu pierś podnosiło. Milczał długo, a potem rzekł głosem stłumionym:

— Nie poruszajcie mi serca, jeśli litość macie! Nie przyszedłem tu płakać ani rozpaczać, ale domagać się praw moich, pogwałconych niegodnie; przyszedłem żądać zwrotu dziecka mego, bo mi tej, która umarła, powrócić już nie możecie... Gdzie jest syn mój?

To ostatnie pytanie, wymówił znów głosem silnym, groźnym, w którym już owego wzrusze-

nia chwilowego znać nie było. Porwał panią Stadnicką za rękę i powtórzył:

— Gdzie jest syn mój?

Ledwo dosłyszonym szeptem, chyląc głowę na piersi, odrzekła „blada pani“:

— Nie wiem!

Porwał się rotmistrz gwałtownie i krzyknął:

— Lękacie się kary za zbrodnię i dlatego zwalacie winę na podłego służalca! Ale ja stąd nie wynijdę, póki nie zniewolę was do wyznania prawdy. Jam tu przyszedł jako sędzia i mściciel, ale przebaczę i zapomnę, jeno oddajcie mi dziecko! powiedzcie gdzie jest?

Widząc, że rotmistrz w rozżaleniu swem zmysły traci, podbiegłem ku niemu i ująwszy go za rękę uspakając zacząłem. Ale mnie odtrącił silnie, krzycząc ciągle:

— Oddajcie mi syna!

Pani Stadnicka drżąc cała od wielkiego wzruszenia, milczała, jeno łzy wielkie płynęły jej po twarzy. Z załamanemi rękami stała tak przez długą chwilę, aż wreszcie łkając przemówiła:

— Rozumiem boleść waszą i gdybyście mnie zabili, konając przebaczyłabym wam, bo znam miarę miłości rodzicielskiej. Ale klnę się wam, panie rotmistrzu, na wszystkie świętości, na duszę własną, że nie wiem gdzie jest syn wasz... nie wiem!



A gdy rotmistrz z objęć moich znów się rwał gwałtownie, mówiła dalej:

— Usiłowałam wydobyć od męża tajemnicę, przysięgał że nie wie; mówił, że Wretelski wszystkiemu winien, że on tylko wiedzieć może, a gdy wróci, powie. Tymczasem Wretelski nie wrócił i pono nie wróci, bo stąd jak się pokazało, znaczną sumę pieniędzy uwiózł; małżonek zaś mój, dręczony niepokojem a może i wyrzutami sumienia, zachorzał mocno, gdy zaś mu powiedziano o całej katastrofie i o śmierci żony wazszej, krzyknął i padł bezprzytomny na ziemię. Odtąd w malignie jest i nikogo nie poznaje, jeno z jakimiś marami straszliwemi walczy. Jeśli od wagę macie, chodźcie rotmistrzu, a przekonacie się sami...

Mówiąc to ruszyła się z miejsca i prowadziła nas za sobą.

Rotmistrz, jakby nie wiedząc co czyni, szedł za nią krokiem sztywnym, szepcząc jeno z cicha:

— Ostatnia nadzieja!... ostatnia!

Tak przeszliśmy cały szereg komnat ciemnych, aż wreszcie przystanęliśmy u drzwi ciężką zasłoną okrytych. Pani Stadnicka podniosła ją i ukazała się nam ponura izba sklepiona, prawie pusta, drżącym światłem kilku świec woskowych rozświetlona zaledwie. W tym półcieniu, w głębi komnaty, u wielkiego stołu, na którym mnóstwo

xiąg porozrzucanych w nieładzie leżało, siedział w krześle poręczowym, wsparty na poduszkach, Stadnicki.

Wyglądał jak starzec zgrzybiały. Długa, już prawie całkowicie siwa broda, spadała mu na pierś, policzki miał zapadłe, wychudłe, wewnętrzną zaczerwienione gorączką. Głowę trzymał pochyloną, lecz nie spał, bo z pod nastrzępionych długich brwi, otwarte oczy ciskały ogniste spojrzenia. Patrzył sztywnie przed siebie i gdyśmy weszli, głowy nie podniósł, ani wzroku nie odwrócił, jakby nas nie widział. Dłonie wysunięte na kolanach, poruszały się czasem gwałtownie i zaciskały kurczowo, a usta szeptały niewyraźnie jakieś urywane słowa. Co chwila, czuwający przy nim lekarz podawał mu napój, który on chciwie pił, a potem szklenicę gwałtownie ręką odtrącał. Dech zapierając w piersi, stanęliśmy w progu. Spojrzałem na Szornela: blady był okrutnie i uporczywie patrzył na Stadnickiego, który w tymże momencie rzucił się niespokojnie i krzyknął:

— Czego chcesz odemnie? Idź precz, *quinque*...

Nie skończył zwykłego przekleństwa, rękami bił powietrze, jakby marę odganiał i znów szeptał:

— Dziaduski!... Dziaduski!...

Pani Stadnicka zbliżyła się ku niemu i ukląkł-

szy, chciała dłonie jego ująć, ale on rzucił się znów i mówił:

— Dobrze... weź, masz pieniądze, oddaj dziecko... do Blandraty!

Posłyszawszy to rotmistrz, porwał się naprzód i zanim zapobiedz zdołałem, uchwycił silnie Stadnickiego za ramię i zawołał:

— Więc u Blandraty jest syn mój?

Stadnicki podniósł głowę i wzrok obłąkany wlepił w twarz, rotmistrza. Długo trwało przeżające milczenie. Chory zaczął drżeć na całym ciele i usiłował wyrwać dłoń swoją z ręki rotmistrza, który ją ścisnął jak w kleszczach, powtarzając przez zaciśnięte zęby:

— Gdzie jest syn mój? powiedz!

Stadnicki patrzył wciąż na Szornela. Zrenice mu się rozszerzały, jakby w przerażeniu wielkim, pot kroplisty wystąpił na czoło, wolną prawą ręką chwycił się poręczy krzesła i usiłował wstać... chciał mówić, ale się krztusił i jeno jakiś jęk chrapliwy wydobywał się z piersi.

W śmiertelnej obawie, pani Stadnicka złożyła dłonie jak do modlitwy:

— Ulituj się panie rotmistrzu! — przemówiła błagalnie.

Ja także podbiegłem ku niemu, prosząc, by odstąpił, ale on, jakby nieprzytomny był i słów naszych nie słyszał, stał nieruchomo, utkwivszy

wzrok swój w przerażenia pełne źrenice konającego, który drgał całym ciałem i zsiniałemi usty bełkotał.

Naraz ostatniem wysileniem krzyknął:

— To on... Szornel!

Potoczył błędnym wzrokiem dokoła, usta roztworzył, zakrzuszył się i padł na poduszki.

Rzuciliśmy się wszyscy ku niemu, ale on jak martwy leżał, oddychając chrypliwie. Rotmistrz, widząc że ostatnia iskra życia gaśnie, pochylił się nad nim i głosem tak przejmującym, iż choćbym jeszcze sto lat żyć miał, nigdy go nie zapomnę, rzekł uroczyście:

— Na tego Boga, przed którym stajesz, zaklinam cię, powiedz, gdzie syn mój!

Zadrgały usta konającego, rzucił się raz jeszcze gwałtownie i wyjąkał:

— Blandrata... Wretelski... — i skonał.

Szornel pochyłony nad nim, stał ciągle, patrząc jak z oblicza rozognionego przed chwilą gorączką, dłoń śmierci ścierała ostatnie ślady życia. Wzrok zagasł, pierś oddychać przestała, rysy przeciągały się i bladły trupio.

Natenczas pani Stadnicka, z klęczek powstawszy, przystąpiła ku zwłokom małżonka, zamknęła mu powieki, a biorąc za rękę rotmistrza, odciągnęła go, mówiąc:

— Przed sądem bożym już jest... Panie rotmistrzu, przebacz, jakieś chrześcianin...

Ale Szornel nie rozumiał i nie słyszał już nic. Błademi usty powtarzał jeno ostatnie wyrazy zmarłego:

— Blandrata... Wretelski... — i jak dziecko dał mi się wyprowadzić z komnaty.

Ale gdyśmy byli na progu, przystanął nagle, usta wykrzywiły mu się boleśnie i zaśmiał się głośno. Chciał dalej iść, ale się zachwiał i byłby upadł, gdybym go nie był podtrzymał i z pomocą owego lekarza, nie wyniósł prawie na rękach z komnaty.

Trzy miesiące blisko chorował rotmistrz w Dubiecku bez nadziei życia, zdawało się iż zmysły stracił.

Wyzdrowiał wszakże, ale odtąd żywot jego stał się istną katuszą. Za śladem ostatnich słów Stadnickiego idąc, szukał on dziecka swego u Blandraty, ale zrazu napróżno.

Blandrata był naówczas w Siedmiogrodzie nadwornym lekarzem xiążęcia Jana Zygmunta Zapolyi, a w wielkich też był łaskach u Stefana Batorego i w całej siedmiogrodzkiej ziemi kacerstwo swe z niemałym powodzeniem szerzył. U niego to wychowywał się młody Stadnicki Stanisław i do niego miał też zawieść Wretelski synaczka Szornela. Tak się to nawet dowo-

dnie pokazywało z kopii listu znalezionej w papierach zmarłego Stadnickiego, w którym tenże bardzo usilnie polecał syna rotmistrza Szornela opiece Blandraty, obligując, aby był wychowywany z takim samem staraniem jak jego syn własny i przeznaczając na to znaczną sumę pieniędzy.

Ta to właśnie suma stała się zrazu powodem, iż Blandrata nie kwapił się z oddaniem dziecka Szornelowi. Blandrata na starość stał się wielce chciwym, a jakkolwiek będąc nadwornym lekarzem siedmiogrodzkiego xiążęcia i pierwszych panów tamtejszych zaufanym powiernikiem, zebrał już był ogromne bogactwa, to wszakże coraz bardziej w nich się rozmiłowując, na pieniądze łakomym był niepomiernie. Toż gdy Wretelski pojawił się w Siedmiogrodzie, przywożąc Blandracie dziecko porwane wraz z listem pana Stadnickiego i pieniędzmi, chciwiec ów, złakomiony sowitą zapłatą, chętnie ręki do występnego czynu przyłożył, niemowlę do siebie wziął a ową sumą z Wretelskim się podzielił, nakazując mu wieczyste w tej sprawie *silentium*. Wretelski ze swej strony, nie chciał już nawet do kraju wracać, bo wiedział, jako pan Szornel sprawy nie zaspł, a śmierć Stadnickiego pozbawiała go możnego orędownika. Wybierając się zresztą na tę wyprawę, zabezpieczył



się on pono dostatecznie ze szkatuły swego pana, tak, że osiadłszy w Siedmiogrodzie, mógł tam bezpiecznie i bez wszelkiej pracy przebywać, nie dbając o to, że w kraju wyroki nań zaoczne wydawano i kondemnaty zapadały.

Tymczasem p. Szornel, wyzdrowiawszy, wnet do Siedmiogrodu pospieszył, do xiążenia Zapolyi się udawał, a nawet miał za sobą listy królewskie: nic tu wszakże wskórać nie mógł. Blandrata był w łaskach wielkich, nikt go pociągnąć do odpowiedzialności nie śmiał, może też zresztą i nie wierzone zbytnio tej historii, Wretelski bowiem przezornie trzymał się w ukryciu, tak, że o nim zgoła nie wiedziano, równie jak i o dziecku, które w domu Blandraty w wielkiej tajemnicy chowane było.

Szornel tedy nadaremnie rok cały niemal strawił na bezowocnych poszukiwaniach i wrócił wreszcie do Krakowa zgnębiony i zrozpaczony okrutnie, już tylko w Bogu pokładając nadzieję, że mu do odzyskania dziecięcia pomoże. Czasem przypuszczał, iż synaczek jego nie żyje, że Wretelski nie wiedząc co z dzieckiem uczynić, uśmiercił je, pieniądze przez Stadnickiego dane, sobie przywłaszczywszy. I byłoby się to może rzeczywiście stało, gdyby Wretelski przed oddaniem dziecięcia Blandracie, wiedział był o śmierci

Stadnickiego, o czem dopiero znacznie później mu doniesiono.

Widać sam Pan Bóg czuwał nad życiem niemowlęcia tego, bo nietylko, że przebyło szczęśliwie ową podróż w zimie do Siedmiogrodu, ale i tam pod opieką Blandraty nad podziw się pięknie chowało. Groziło mu i to niebezpieczeństwo, że Blandrata dowiedziawszy się o śmierci Stadnickiego i nie spodziewając się już na przyszłość z wychowania onego dziecięcia żadnej korzyści, porzuci je, zda na łaskę sług, lub zgoła zaniedba. Stało się jednak przeciwnie, dziwne bowiem i nieprzeniknione są tajemnice ludzkiego sumienia i serca.

Blandrata niemłodym już był podówczas, a tak w swem kacerstwie zakamieniałym, iż zdawało się, jako żadnym innym sentymentom nie daje do siebie przystępu i jeno w swoich skarbach się kocha. Miał on dawniej przy sobie synowca swego, którego, że był sierotą, z maleństwa wychował. Ten wszakże dorosłszy, całę nieprzystojne inklinacye zdradzać począł, a wiedząc, że skarby stryjowskie jemu przypaść mają, tak bardzo rozrzutnym i marnotrawnym się stał, iż Blandrata wygnał go wreszcie z domu i wydziedziczył. Stało się to właśnie w owym momencie, gdy Wretelski przybył z synaczkim pana Szornela i z początku dla owej sumy pie-

niężej, którą przywiózł, dobrze został przyjęty. Gdy jednak chłopię owo chowało się pięknie i nad wiek swój roztropnem się stawało, osamotniony starzec przywiązywać się doń począł jakby do własnego, zabawiał się jego dziecinny szczebiotem, a tak był dlań czułym, że wszyscy, którzy znali Blandratę, wydziwić się temu nie mogli. Zrazu, jako się rzekło, chowało się ono w wielkiej tajemnicy, że prócz zaufanych domowników nikt więcej o niem nie wiedział; dopiero później, gdy mały Szornel podrósł nieco, a rodzic jego po bezskutecznych poszukiwaniach nie zgłaszał się ponownie i sprawa ucichła, Blandrata kryć się już przestał i opowiadał jako to jest sierota, syn jednego z możnych aryanów polskich, a od herbu rodzica nazywał go Dołęgą. Tak tedy Dołęga ów rósł pięknie, ćwiczony starannie we wszelkich naukach przez Blandratę, a potem w dworskich i rycerskich obyczajach na dworze xiążęcia siedmiogrodzkiego od lat młodzieńczych się zaprawiał. Do Blandraty przywiązał się on jakby do ojca, a w błędach aryańskich przez niego utwierdzony, trwał w tych sentymentach i później stale, gdy wreszcie dowiedział się o swem pochodzeniu i oko w oko spotkał się z rodzicem własnym. A stało się to dopiero w r. 1579.

Podówczas zasiadał już od lat trzech na tro-

nie Jagiellonów silnej ręki a wielkiej mądrości król, Stefan Batory, który, że będąc xiążęciem siedmiogrodzkim, kacerstwo wyznawał, miał Blandratę w wielkiem poważaniu i potem nawet na wiarę katolicką przeszedłszy, łask mu swoich nie odebrał, lecz owszem do Krakowa jako lekarza swego powołał. Blandrata ochotnie tam pospieszył, w Siedmiogrodzie bowiem dla swej srogości i chwiwości powszechnie był znienawidzony, zwłaszcza od czasu, gdy za jego sprawą inny kacerz, ale z nim w opiniach się różniący, Franciszek Davidis, z rozkazu ówczesnego xiążęcia siedmiogrodzkiego Krzysztofa Batorego, do więzienia wtrącony i życia pozbawiony został. Miał też Blandrata i inne jeszcze powody chętnego do Polski powrotu, spodziewał się bowiem dla sprawy herezyi wielkiego tu postępu, ile że król sprzyjał mu bardzo, a nadto w Krakowie przebywał naówczas przyjaciel jego i sławny herezyarcha Faust Socyn, który ożeniwszy się z siostrą Krzysztofa Morsztyna, miał wielkie wzięcie u szlachty i przemożny wpływ na nią wywierał.

Tak tedy na wiosnę r. p. 1579 przybył Blandrata do Krakowa i tu się osiedlił, a z nim razem przyjechał i Jerzy Szornel „Dołęga“ zwany, podówczas młodzieniec już bardzo nad wiek swój

wyrośli, a takiej urody, że się jej wszyscy dość nadziwować nie mogli.

Pan rotmistrz, po daremnie poszukiwaniu syna, stracił już był całkowicie nadzieję, i gdy po kilku latach wieści nie było, nabrał przekonania, iż synaczek jego przez Wretelskiego zabity być musiał. W tej boleści srogiej z tym większym zapałem oddawał się rycerskiemu rzemiosłu, jedynie tylko w wyprawach wojennych i trudach obozowych znajdując zapomnienie i pociechę. I właśnie powrócił był z onej sławnej pod Wendą nad wojskiem moskiewskim wiktoryi, kędy jako pułkownik dowodził i chlubilnie się odznaczył, kiedy mu powiedziano, jako Blandrata lekarzem królewskim mianowany jest i do Krakowa przybył.

Pobiegł natychmiast do niego jakimś przeczcuciem tknięty, i właśnie gdy do mieszkania Blandraty się zbliżał, ujrzał na ulicy przed domem owo jasnowłose, cudne chłopię, które wzrostem już na męża wyglądało, a w rysach młodzieńczych twarzy dziwne do matki swej miało podobieństwo.

Opowiedzieć, co się wonczas stało z rotmistrzem, jest niepodobieństwem, jak niepodobna zmierzyć, ile serce człowieka boleści i radości pomieścić jest zdolne. Wszystkie przebyte cierpienia, wszystkie łzy niewyplakane i tajone w du-

szy, które się tam w niewymowną rozpacz, jakby lodem ścięły, to wszystko wówczas w jednym wydało się jęku.

Ale gdy rodzic wyciągał z miłością dłonie swe ku jasnowłosemu chłopięciu, ono blade, przerażone, stało nie wiedząc, czego żąda odeń ten wpół oszalały, obcy mu człowiek, który go synem swym mieni.

„Nie znam cię! — zdawało się mówić zaleknione spojrzenie młodzieńca, — boję się twego zdiczałego wzroku, które w ciemne obrazy przeszłości się wpatrując, ponurym stał się i straszny, boję się twego uścisku, którego nie znał w dniach pierwszego dzieciństwa mego, nie chcę twych pieszczot, bo mi ich nie szczędził ten, który od pierwszej chwili życia, jaką zapamiętać mogę, był mi dobrym opiekunem i ojcem najczulszym. Nie znam cię!...“

I wyrwało się jasnowłose chłopię z objęć rotmistrza, uciekając i tuląc się do Blandraty...

Była to może ze wszystkich najstraszniejsza chwila w życiu Szornela. Odnaleźć syna i być przez niego odepchniętym, odnaleźć dziecko rzone, oplakane już oddawna i w jego spojrzeniu widzieć obojętność zimną, w tem spojrzeniu, które mu tak żywo przypominało czułe spojrzenie ukochanej małżonki — wszakże to boleść nad wszystkie boleści!



Ale dusza rotmistrza przeniosła mężnie i tę straszliwą próbę. Obawiając się, aby mu znów syna gwałtownie nie wydarto, postanowił postępować spokojnie i rozważnie. Przekonawszy się zaś, jako Blandrata rzeczywiście był dobrym opiekunem dla jego dziecięcia, nie wystąpiłcale przeciw niemu, owszem, zgodnie się z nim porozumieć starał, prosząc jeno, aby mu syn przyznany został i przyrzekając, jako ze swej strony wszelkich sporów zaniecha i odbierać go od Blandraty nie będzie. Zdawało mu się, iż takim postępowaniem a miłością zdoła syna od błędów kacerskich i Blandraty odciągnąć a ku sobie przywiązać. Wszystkie te jednak nadzieje zawiodły. Młody Jerzy kształcąc się dalej pod okiem Blandraty w Krakowie, był wprawdzie dla rodzica swego uprzejmym, ale wielkiego afektu dlań nie zdradzał i zawždy ku opiekunowi swemu całym sercem lgnął, jego nauk słuchając.

— Otóż -- kończył Żegota — wiecie już waszmościowie wszystko, co wam dla zrozumienia mowy przedśmiertnej rotmistrza było potrzeba. Byłoby wprawdzie jeszcze do rozpowiadania siła, ale oto dzień już biały, jam znużony bardzo, a i waszmościom także spoczynku potrzeba, ile że pan Brzechwa, jako widzę, zaledwie już oczy roztwiera. Zresztą czegom nie

domówił, tego się już łącznie ze słów własnych rotmistrza domyśleć możecie, jako on syna potem po raz drugi utracił, gdy Jerzy ze Stadnickim Stanisławem, najpierw na chlubne wyprawy rycerskie, a potem na ekspedycje rozbójnicze szedł, krewkości młodzieńczej i swej ku Stadnickiemu skłonności jeno słuchając. Snuł się za nimi długo rotmistrz jak cień. Już starcem prawie, był z nimi przy onem sławnym oblężeniu Pskowa, gdzie syn jego, jako ośmnastoletni młodzieniec pięknie sobie poczynał, okazawszy się mężnym i sprawnym rycerzem. Szedł później za nimi na Węgry, ale już tam snadź nie pięknych się rzeczy domacał, bo wrócił stamtąd zgnębiony bardzo, mówiąc, że Jerzy napróżno przez niego wzywany, nie chciał Stadnickiego opuścić. Wreszcie, a było to już przy mnie w Krakowie, syn ten fałszywemi naukami i złym wpływem Stadnickiego z prawej sprowadzony drogi, ojca stanowczo się wyrzekł i wołał z przyjaciелеm swoim na zatracenie iść.

Co czynił i czyni on Stadnicki, Dyabłem zwan, tego już waszmościom opowiadać nie będę, boć to sprawy każdemu z was znane. W tych wszystkich niecotach udział miał niemały rycerz Dołęga, który męstwo swoje i siłę swego ramienia nie na usługę Rzeczypospolitej, ale Stadnickiemu oddał, nie bacząc na słowa upo-

mnienia rodzica, którego już potem zgoła widzieć nie chciał i aż dopiero tu, na łożu śmiertelnem, w chwili skonu obaczył. Może też to okropne widzenie się nawróci umysł i serce Jerzego na drogę prawą, a czasby już był po temu. — Jak żył w ostatnich latach rotmistrz, toście waszmościowie sami widzieli. Stał się odludnym i nieprzystępnym; jedyną jego pociechą była córka moja Reginka, którą od niemowlęstwa na rękach niemal własnych wychował i tak się do niej przywiązał, że gdym ja Kraków po śmierci małżonki mej opuścił, on zrazu tam chciał pozostać, lecz w tem osamotnieniu wytrzymać nie mógł i niebawem za nami tu przyciągnął. Widzieliście jak żył: z nikim już zgoła nie mówił, jeno przedemną czasem spowiadał się z tych męczarni jakie cierpi. Były chwile straszliwe, że przeklinał Stadnickich, a niemogąc z serca srogiego żalu wyrzucić, nie mógł też i w religijnych pociechach ukojenia szukać; z kościoła uciekał, jeno wówczas po cmentarzu w nocy jak szalony biegał. Im bardziej posuwał się w lata, tem ów żal sroższym, bardziej nieprzemożonym się stawał. Błagałem go nieraz, aby do kościoła poszedł, przed wolą się bożą ukorzył i bogobojnemu jakiemu kapłanowi zwierzył, ale on ofuknął mnie zawždy, mówiąc:

— Byłbym jako Faryzeusz biblijny, który

w pierś się bije, a inne myśli w sercu ma. Przebaczyć nie mogę... w duszy mam żal i przekleństwo, toż nie mogę Panu Bogu kłamać, któregobym nie oszukał, boć i przeciw Niemu i Jego woli bunt się w mej duszy podnosi.

I tak w tem utrapieniu dożył pan Szornel dni swoich ostatka.

A gdy słów tych pan Żegota domawiał, zrobił się dzień biały. Promień wschodzącego słońca, przedarłszy się przez mgły, złocił już dachy domostw i wieże kościołów, gdy Stawski i Brzechwa pożegnawszy Żegotę i podziękowawszy mu za jego długą relację, a pomodliwszy się jeszcze nieco u ciała rotmistrza, wychodzili z dworku.

Byli na progu, gdy wtem dał się słyszeć szcęk broni i ukazał się przed nimi piękny rycerz w złocistej zbroi, który wiódł za sobą czterech pacholików, także w piękne zbroje przyodzianych. A gdy spoglądali coby to było, rycerz ów zbliżył się ku nim i rzekł:

— JW. starosta leżajski, imćpan Łukasz Opałiński, przybywszy tu wczora, dowiedział się jako zmarł wojownik sławny, rotmistrz JKM. imćpan Jan Szornel, a pragnąc zasłużoną oddać mu cześć, przysłała oto mnie swego dworzana i czterech pacholików zbrojnych, byśmy rycerzowi zmarłemu powinny honor uczynili, a straż przy

zwłokach rotmistrza królewskiego sprawowali. Tedy raczcie mi waszmościowie wskazać, kędy udać się mam?

Zanim Stawski i Brzechwa odpowiedzieć zdołali, wybiegł, widząc owego rycerza, Żegota i bardzo pięknie go przyjął, nadmieniając wszakże, iż jest w Lublinie syn pana Szornela, który zapowiedział, że jakoweś dyspozycye co do pogrzebu rodzica ma wydać.

— Zda mi się wszakże — dodał — jako syn ów nie będzie się sprzeciwiał oddaniu czci rycerskiej rodzicowi i atencyę JW. starosty leżajskiego wdzięcznem sercem przyjmie.

A w tymże momencie ozwał się z wieży kościelnej dzwonek poranny. Wszyscy tedy głowy odkrywszy, w kornej postawie Anioł Pański odmawiać poczęli; zaczęł ów rycerz szedł do wnętrza dworku i do komnaty, kędy na wysuniętym tapczanie spoczywał rotmistrz Szornel w świąteczne szaty przyodziany, a z takim jasnym, spokojnym obliczem, jak nigdy za żywota. Już wszelkie troski i burze wewnętrzne stłumiła śmierć; twarz wypogodzona miała na sobie pięknie zupełnego ukojenia i doznanej przed skonaniem pociechy. Na czoło, okolone białymi jak śnieg włosami, padał z góry, od okna, promień słoneczny, jaśniejszy od światła zażegnanych gromnic.

Tedy ów rycerz pokląkł i modlił się jeszcze chwilę, a potem pacholików swych ustawił w czterech rogach tapczanu, na którym spoczywały zwłoki, sam zaś miecz z pochwy wy dobył i stanął u wejścia, zapaliwszy małe świeczki woskowe na hełmie swym i tarczy. — A tu już i wóz wielki zajechał przed dworek, przywożąc z polecenia pana Opalińskiego opony axamitne czarne i żałobne sukna dla przybrania komnaty, w której spoczywały zwłoki rotmistrza, już całe objętne na te ziemskie honory. Równocześnie w kościołach uderzono w dzwony, a lud coraz tłumniej począł się gromadzić u wrót dworku.

---

## VII.

Stanisław Stadnicki przyjechawszy w dzień śmierci rotmistrza Szornela do Lublina, ani się spodziewał, iż jego kompania tejże nocy wpaśnie do miasta; dał bowiem wyraźny rozkaz, aby cała ta hałastra na przedmieściu Wieniawa pozostała, do Lublina, gdzie podówczas trybunał roki swe odbywał, nie ważąc się wkraczać. Był zaś właśnie w tym momencie bardzo ponury i w jakowejś posępnej medytacyi pograżony.



Zajawszy w gospodzie „pod Barankiem“ małą komnatę, obok izby pana Niezabitowskiego, pomimo spóźnionej pory o spoczynku nie myślał, lecz dając folgę wewnętrznemu wzburzeniu, które się na jego obliczu wyraźnie odbijało; to usiadał na ławie przed domem, głowę na rękę wspierając, to zrywał się i w alteracyi wielkiej po izbie biegał, a urywanemi słowy niewesołe wypowiadał myśli. Cisnęły mu się one tłumem do głowy i nie dawały spoczynku. Cała przeszłość, tak zda się niedawna a tak od chwili dzisiejszej odmienna, stawała mu przed oczy. Wszak to przed laty i tu w Lublinie wielokrotnie on bywał. Jeszcze prawie młodzieńcem, a już rozgłosem rycerskiego animuszu i męstwa w podolskich i inflantskich wyprawach wsławiony, witany był zawždy przez szlachtę z zapalem: sława jego czynów walecznych biegła wszędy przed nim, torując mu drogę nawet wśród nieznanых okolic i ludzi. Opowiadano sobie wszędy, jako on jeszcze pod Gdańskiem, w pojedynkowych utarczkach zawždy szczęśliwie a mężnie z rebelizantami się potykał, jako pod Toporcem Mikołajowi Jazłowieckiemu życie ocalił, jako pod Pskowem zsiadłszy z towarzyszami swymi z konia, pieszo do szturm szedł, zagrzewając innych przykładem bohaterstwa swego.

A wszakże on i teraz — teraz silniej niż

kiedykolwiek, czuje w sobie ów ogień zapału, który go niegdyś ku zwycięstwom wiódł? wszak on i dzisiaj gotów jest w walce orężnej nieść życie w ofierze? wszak po moskiewskiej wyprawie, szukając okazji do czynów rycerskich, szedł aż na Węgry i tam pod zamkiem Berynem na pięćdziesięciu Turków w dziesięć jeno koni skoczył i do odwrotu ich zmusił? Żali on dzisiaj nie ten, którego zwano „junak serdeczny?”

Zerwał się Stadnicki od stołu, a twarz błada gorączkowym zapałała rumieńcem. Począł biegać po izbie.

Junakiem ci on jest — i niczego się nie zleknie, choćby w ogień iść, aleć już nie serdecznym junakiem... Goryczą zapłynęło mu serce, szyderstwem wykrzywiły się usta, jakaś klątwa spadła na żywot cały. Zawrócić się już niepodobna, jak nie można wymazać wspomnień, a z duszy srogiego żalu wyrzucić!

— Cóżem miał za krwawe usługi me? — szeptał i pięści zaciskał.

A niewidzialna jakaś ręka kreśliła przed jego okiem coraz posępniejsze obrazy przeszłości. Przygasła źrenica zapałała się raz ogniem młodości, to ciskała iskry tłumionego gniewu, to się zasuwiała szarą pomroką zwątpienia.

Jakaś fatalność sroga spychała go zawsze na dno przepaści, ilekroć podnieść się usiłował, ile-

króć chciał zerwać z awanturnicznym żywotem, a działać na pożytek Rzeczypospolitej. Dziś, ogłoszony banitą, wielokrotnymi kondemnatami ścigany, zmuszony dla bezpieczeństwa otaczać się zbrojną drużyną, stał się on postrachem niemal całego kraju, „dyablem łańcuckim“, przed którym rozbiegano się w popłochu, żegnając się krzyżem świętym.

A przecież zdawało mu się, iż nie czynił on nic gorszego od wielu innych. Że wiódł zażartą walkę z sąsiadem swoim panem Łukaszem Opalińskim, starostą leżajskim, że w walce tej nie jeden człek życie stracił, nie jedna włość zgorzała, nie jeden dwór złupiony został, toć przecie Opaliński odwzajemniał mu się sowicie, a inni co lepszego czynili? Stryjeczni jego Adam i Stanisław Stadniccy, stoczyli krwawą batalię w Przemysłu z Janem Tomaszem Drohojowskim, referendarzem koronnym, sprofanowali katedralny kościół tamtejszy i tegoż Drohojowskiego, siedm-dziesięcioletniego starca, zamordowali okrutnie, a przecież nic im się za to nie stało: byli zawżdy w łaskach królewskich i nawet dostojęństwa senatorskie mieli. Za cóż więc on, od wszelkich zaszczytów odsunięty, cierpieć miał taką pogardę? Myślał dawniej o zbliżeniu się do króla i dworu, ale cóż tem uzyskał? Za krwawe usługi jego, dano mu zygwulskie starostwo w Inflan-

ciech, żadnego nie mające znaczenia, gdy inni bez zasług opływali w zaszczyty lub tłuste tenuty dzierżyli!.. Więc już teraz o zbliżeniu się nie myśli; z Węgier, skąd niedawno wrócił, przywiózł on inne plany, które w razie sukcesu powetują mu wszystkie dawniejsze klęski i poniżenie dzisiejsze.

A był to właśnie moment dla planów ambitnych najspodobniejszy.

Zdawna już przechodził jakiś wicher przez całą Rzeczpospolitą, podniecając skłonne do wzburzenia umysły. Niepokoje z dysydentami a najbardziej niesnaski kanclerza Zamoyskiego z królem Zygmuntem III, przygotowywały powszechną zawieruchę. Po śmierci kanclerza, gdy niechęć przeciw Zygmunutowi coraz bardziej wzrastała, przypominano sobie snadnie, że sam Zamoyski zwoływał zjazdy przeciw królowi i oskarżenia przeciw niemu podnosił. Za tym przykładem iść było łatwo, a chociaż powody były całę różne, fakt buntu jednakim był z pozorę. Zwoływał kanclerz niegdy zjazd do Jędrzejowa przeciw Zygmunutowi i okazywał na nim listy królewskie, a obwinał go o znowy z dworem rakuskim, to i teraz biegano po Rzeczypospolitej, a podnosząc grawamina przeciw królowi, zwoływano wiece i zjazdy. Wreszcie wojewoda krakowski Zebrzydowski Mikołaj i Ja-

nusz Radziwiłł stanęli na czele malkontentów, a zgromadziwszy wokół siebie liczne zastępy szlachty, gotowali się do zbrojnego wystąpienia przeciw królowi.

— Polak — powtarzała szlachta podówczas — zawsze wesołym w królestwie swem jest i nie ma na sobie niewolnego obowiązku żadnego, nie będąc nic królowi, panu swemu zwierzchniemu winien, jedno to: tytuł na pozwie, dwa grosze z łanu, a pospolitą wojnę; czwartego nie ma Polak nic, coby jemu w królestwie myśl dobrą kaziło...

A oto tej wolności nieograniczonej zdawało się grozić niebezpieczeństwo. Chodziły wieści, że król zamierza zamienić Rzeczpospolitą w dziedziczne i samowładne królestwo, przyczem pamięć oskarżeń o znowy z domem rakuskim, która przechowała się po śmierci kanclerza, wciąż jeszcze straszyla szlachtę. Oprócz tego były liczne inne grawamina, pomiędzy któremi zarzut, iż rozdawano dostojenstwa i urzędy ludziom niezasłużonym, najbardziej podobał się ogółowi, zarzuty zaś, iż dysydentów prześladowano, zabierano im świątynie i dobra, aby takowe katolikom oddać, burzyły wszystkich różnowierców i ścierały ich także pod chorągiew Zebrzydowskiego, jakkolwiek on żarliwym w wierze katolickiej był zelantem.

Tak oto przygotowywała się rokoszowa robota, z której dla własnych planów postanowił skorzystać Stadnicki. Lekce on sobie ważył zamysły Zebrzydowskiego, o którym wiedział, że zbyt daleko nie pójdzie i gotów z królem paktować. Stadnicki zaś paktów nie chciał żadnych, ale z rzeczywistymi zamiarami swymi postanowił tać się do czasu, gdy zebrawszy dostateczną liczbę stronników, będzie mógł o własnych siłach wystąpić. Do tego momentu owe Zebrzydowskiego roboty, mogły mu tylko za dogodny pozór służyć do uwijania się po kraju i burzenia umysłów. Tak też i czynił, a od kilku miesięcy to w okolicach Sandomierza, to w lubelskiem, kręcił się ustawicznie, usiłując jednać umysły szlachty. Szło mu to wszakże z początku nie-  
sporo. Szlachta dość nieufnem okiem spozierała na tego, którego powszechnie zwano „dyablem łańcuckim“, a o którym wiadano, że ciężą na nim kondemnaty srogie za rozliczne bezprawia i gwałty. Drużyna też jego wyglądająca na dziką hałastę, a korzystająca z każdej sposobności do gwałtów i rabunków, dawała nie mały powód do nieukontentowania i wywoływała ciągle przeciw panu Stadnickiemu skargi.

Niedaleko Lublina, w dziedzicznej posiadłości Górka zwanej, mieszkali panowie Niezabitowscy. Było ich trzech braci rodzonych; dwaj młodszy



Mikołaj i Stanisław, ziemianie spokojni i całe się do spraw publicznych nie mieszający, dziwowali się nieraz w duchu owym niepokojom, jakie się w kraju szerzyły. Wszak w Górcie było wszystkiego poddostatkiem, wolnej myśli nie kaziło nic zgoła, *absolutum dominum*, o którym tak głośno mówiono, nie dawało się w niczem uczuwać: było błogosławieństwo boże i dostatek, było powszechne poważanie u ludzi, było czem przyjąć, nakarmić i napoić braci szlachtę, gdy się tłumnie do Górci zjechała — a czegoż miły Boże, żądać więcej? Toż gdyby na ich zdanie przyszło, to obaj byliby najgoręcej przemawiali za tem, aby cicho siedzieć i Pana Boga za rozliczne dobrodziejstwa chwalić. Ale ani pana Mikołaja, ani pana Stanisława nikt w tych sprawach o opinię nie pytał. W całym lubelskiem województwie kochano ich i szanowano powszechnie, ale co się tyczyło rzeczy publicznych, to wyrocznią tu był najstarszy z braci Niezabitowskich, pan chorąży Sebastyan, człek bywały a doświadczony wielce, który wzrostem, siłą i męstwem podobny był zupełnie do stryja swego, onego słynnego rotmistrza Jakóba Niezabitowskiego, który pod Pskowem i w innych za króla Stefana okazyach, cudów waleczności dokazywał.

Pan chorąży niedawno dopiero przybył do

Górki; bawił się bowiem stale rzemiosłem rycerskiem, bywał w rozmaitych okazyach, a i na kresach ukraińnych służbę sprawował. Był to człek zacności wielkiej, a prawdziwie rycerskiego animuszu, jeno jak wielu podówczas, nie znoszący żadnej nad sobą przewagi i gorliwy obrońca swobód szlacheckich, które zawždy zagrożonemi i ścieśnianemi być mienił. Zaufany i długoletni dworzanin i towarzysz Zebrzydowskiego, wierzył on ślepo wojewodzie, którego waleczność podziwiał, a pobożność i cnoty obywatelskie wielce sobie ważył. Toż gdy wojewoda przeciw królowi występować zaczął, a różne grawamina podnosić, zwłaszcza z powodu małżeństwa Zygmunta z Konstancją, siostrą zmarłej królowej, pan Sebastian wiernie mu wtórował, a wreszcie, gdy nadchodziła pora czynnego działania, przybył do rodzinnych okolic, aby tam umysł do przyszłego rokосу sposobić. Przychodziło mu to łatwo, bo jakkolwiek osobiście nie zbyt tu znany, to wszakże jako brat Mikołaja i Stanisława, stale w Górcie osiadłych, nikomu obcym nie był, miał liczne konnexe i koligacye między szlachtą a powszechnie poważanie.

Od czasu też swego do Górki przybycia, pan Sebastian nie zaniedbał niczego, aby sobie wszystkich zjednać. Przyjmował hucznie a suto, w olbrzymich objęciach ścisnął serdecznie a sil-

nie, mówił bardzo ozdobnie, więc przekonywał tem łatwiej, że sam był przekonany o prawdzie tego co mówił, na wszelką zaś opozycję, jeśli się czasem nieśmiało odezwała, umiał krzyknąć tak głośno i stanowczo: Furda panie! — iż skofundowany oponent wnet milknął i była zgoda.

W Górcie odbywały się coraz częściej takie tłumne zjazdy szlachty, a pan Stanisław Standnicki żadnego także nie opuszczał. Siedział on często po dni kilka i dłużej u pana Sebastyana, którego względy koniecznie chciał sobie pozyskać, a czynił to bardzo zręcznie, w rozmowach swych z nim miarkując zapalczywość swoją i długo nie zdradzając się z niczem, owszem na wszystkie opinie pana chorążego zgadzając się bez oporu.

Aż dnia pewnego na sejmik taki zjechała się szlachta tłumniej niż zwykle do Górki. Dwór panów Niezabitowskich, jakkolwiek obszerny, nie mógł pomieścić przybyłych, więc że to był dzień ciepły, choć jesienny, na dziedzińcu obszernym zastawiono stoły i przy nich gwarzyć poczęto. Oczywiście o niczem innem nie mówiono jeno o *absolutum dominium*, ścieśnianiu swobód szlacheckich, złamaniu przez króla zaprzysiężonych przyrzeczeń i znowach na szkodę Rzeczypospolitej. O takich sprawach długo spokojnie mówić nie sposób; toż niebawem okrutna powstała

wrzawa, że nikt już siebie samego usłyszeć nie mógł. A gdy się tak umysły coraz bardziej rozpałały, pan starosta zygwulski, czy to ową wrzawą, czy też może i trunkiem, którego ciągle dolewano, podniecony, nie mogąc doprosić się głosu, wskoczył na stół i z tej wysokości perorować zaczął.

Z początku nie słuchał go nikt, bo wszyscy naraz krzyczeli, ale powoli coraz robiło się ciszej, aż w końcu już tylko głos Stadnickiego rozlegał się dokoła. Szlachta słuchała i nasłuchiwać się nie mogła, tak mu słowa miękko i jedwabnie z ust płynęły, tyle było siły i zapału w jego mowie. Cała twarz Stadnickiego pałała niezwyčajnym ogniem, wzrok iskry ciskał, ramiona wyteżały się w uniesieniu, a głos to grzmiał groźnie i przerażał, to zniżając się i mięknąc, wnikał wprost do duszy...

Pan Sebastyan rozpromieniony, słuchał wraz z innymi i cieszył się już, że tak potężnego oratora zyskał, który najłatwiej przekonać i zapalić umysły wszystkich potrafi. Ale ukontentowanie to trwało tylko dopóty, dopóki pan Stadnicki nad własnem uniesieniem panować zdołał. Wkrótce wszakże pan starosta upojeniem słuchaczy swoich sam upajać się zaczął i tracić pierwotną miarę. Wyprowadzając grawamina przeciw królowi, już zgola majestat monarszy

począł lżyć i mówić jako Zygmunta wprost de-tronizować należy a innego sobie pana poszukać. I w tym ferworze, może wbrew woli własnej, przed czasem ukryte plany zdradzając, napomknął, jako na Węgrzech jest pan możny a potężny bardzo, Gabryel Batory, który niebawem zdobędzie sobie siedmiogrodzkie księstwo; poczem chwalić zaczął wspaniałość onego książęcia, jego mądrość i cnoty, zgłosił tak, jakby go na kandydata do tronu polecał.

Nie wszystkim może owe aluzye były jasne, a dla wielu może niezbyt wstrętne, bo gdy Stadnicki mówić skończył, otoczono go wokół i na rękach ze stołu zniesiono, ściskając serdecznie a chwając tak piękną i ozdobną oracyę. Wszakże pan Sebastyan, większy expert w rzeczach publicznych, zamyślił się bardzo na tem, dostrzegając z niemałym zafrasowaniem, jako p. Stadnicki przekracza intencye krakowskiego wojewody i widocznie własne jakoweś zamiary w zanadrzu nosi, korzystając jeno z okazji, by umysły podniecić.

Nazajutrz tedy, gdy zebrana szlachta precz się rozjechała i sam jeno Stadnicki w Górcie pozostał, pan Sebastyan zaczął go zrazu bardzo, jak sądził, politycznie wymacywać. Ale przekonał się wkrótce, że starosta lepszym snadź politykiem będąc, a nie chcąc zdradzać do reszty tego, co mu się w ferworze wbrew woli wyrwało,

nie dał się już wyprowadzić w pole, na jedno odpowiadał półgębkiem, a na drugie zgoła milczał, lub się tylko uśmiechał, dworując sobie jeszcze z tych pana Sebastyana zabiegów. Toż w końcu chorąży widząc, jako się ta polityka nie przyda na nic, wszystkie sztuczne przemowy porzuciwszy, rzekł patrząc bystro w oczy staroście:

— Już więc, furda panie! bez ogródek powiem, co mi się zda... Waść chowasz całkiem inne plany w myśli, niż te, z którymi się wydajesz. Wczorajsza oracya wacpana była wielce ozdobna, ale konkluzya zgoła mi nie przypadła do smaku...

— Trudno się wszystkim przypodobać — odparł z nieukontentowaniem Stadnicki — a jakkolwiek mi to przykro, że tak słusznego obywatela adhezyi nie pozyskałem, cóż pocznę? Jeno tem się pocieszać mogę, że inni, jak się to wczoraj okazało, są za mną, a moje słowa wielu zdołały skonwinkować, jako na protestach i deklaracyach, na spisywaniu uraz i exorbitancyj nie się nie wskóra, jeno trzeba wystąpić mężnie, jako przystało na naród rycerski.

— Otóż mylisz się waszmość! — zawołał z mocą pan chorąży — mylisz się, jeśli mnie masz, że ci wszyscy, którzy cię wczoraj na rękę nosili, za tobą są. Ferwor ten, elokwencyą wac-



pana na chwilę obudzony, zniknie jeszcze rychlej niż powstał. Ani pan wojewoda krakowski, ani żaden z nas, nie myśli o zawichrzeniu tej Rzeczypospolitej. Chcemy poprawy, nie możemy dopuścić uszczuplenia praw naszych, pragniemy zabezpieczyć wolność, żądamy wymiaru sprawiedliwości, ale skoro to uzyskamy, nikt przeciw panu swemu miecza nie podniesie...

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się szyderczo Stadnicki — także wam chodzi o tego królewicza szwedzkiego, który się tu zatłukł! Mnie się widzi, iż najlepiej co prędzej zbyć go tak, aby stąd kontent odjechał, a naówczas wszystkim dobrze będzie...

A na to już pan Niezabitowski chmurny powstał i zbliżając się ku Stadnickiemu, rzekł poważnie:

— Otóż, mości starosto, ja waści dawno już to deklarować chciałem, że do takowych zamiarów ani ja, ani nikt tu ręki nie przyłoży. Furda mości panie! daremne usiłowania wasze! Już tu w całym lubelskiem głośno sarkają na ową hałastrę zbrojną, która za wami ślad w ślad ciągnie, a rabunków się nieraz dopuszcza i srogi niepokój szerzy. Widzę też i ja, że waść własne jakoweś ambicje do spraw publicznych mięszać chcesz, a to się prawemu obywatelowi czynić nie godzi...

— *Ex privatis publica constant!* — przerwał z ferworem Stadnicki. — A wieszże wacpan, mości chorąży, iż to co się ze mną dzieje, dzieje się także z całą tą Rzeczpospolitą. Nie trzymam ja ani zagona Rzeczypospolitej za krwawe usługi, nie mają też i inni nagrody! Obcy lub tacy, którzy jeno w pierze porastać zaczęli, już się dziś ku największym dostojenstwom pną, łatwą sposobność do wyniesienia się swego pochlebstwem i zausznictwem znajdując. Patrzajże waść, jeśli jeno widzieć chcesz, jako się dzieje: Pan Zygmunt Myszkowski, którego rodzic nieledwo chudopachołkiem był, wyjechał do Włoch Myszkowskim, wrócił zaś Gonzagą, margrabią a jeszcze i ordynacyę funduje i ośm starostw dzierży i marszałkiem koronnym jest i na nas z góry patrzy! Pan Łukasz Opaliński, chłystek, ma już kilkanaście starostw, a ciągle płacze, jako nędzarzem jest, bo moja czeladka majątności mu niszczy...

— W tem co waść mówisz — ozwał się pan Niezabitowski — jest trochę prawdy; toż przeciw rozdawnictwu urzędów i dostojenstw ludziom niezasłużonym lub obcym i przeciw wielu innym nadużyciom wystąpić należy. Ale to waści, jako dobrze rzeczy świadom, deklarować muszę, iż wyraźną intencją pana wojewody krakowskiego jest, aby ta sprawa bez rozlewu krwi bratniej,

wytrwaniem cierpliwem i ścisłym przestrzeganiem sprawiedliwości była wygraną...

— A to jej nie wygracie! — krzyknął unosząc się Stadnicki.

— Co się tyczy pana Opalińskiego — mówił dalej p. Niezabitowski, nie zważając na przerwę — to także wam rzec muszę, iż chodzą tu brzydkie o tem wieści, jako waś na Leżajsk i starościńskie dobra napadasz, z wielkiem skwierkiem a uciskiem ludzi niewinnych, jako poddanych starościńskich więzisz w lochach łańcuckich i tym podobne gwałty czynisz, które hańbę imieniowi twemu przynoszą...

Zapłonęło gniewem oblicze starosty, wzrok iskry ciskać począł.

— Hańba — zawołał — przystaje do tych, którzy takowe gwałty wywołują! Podnoszę miecz w obronie sprawiedliwości pokrzywdzonej we mnie i spuszczam go na karki bezprawnych!

Już go coraz większa gwałtowność opanowywać zaczęła i byłby może opuścił Górkę, poróżniwszy się z panem Niezabitowskim, ale snadź w tymże samym momencie rozważywszy, iż takowe poróżnienie dalsze wszystkie zamiary fatalnie pokrzyżować może, w czas się zmitygował i chwilę zmilczawszy, przystąpił do pana Niezabitowskiego a głosem spokojniejszym i jakby wzruszonym, rzekł:

— Sprawy między mną a panem Opalińskim nie ruszajmy. Jakie tam krzywdy zachodzą i kto winowajcą, to chyba rozsądzi Bóg... Długoby to rozpowiadać trzeba, a gdybyś waśc wiedział o wszystkim, to mniemam, iżbyś i rzecz całą inaczej rozsądził... Dajmyż wszakże temu pokój... Ważniejsze dziś sprawy każą zapominać o prywatnych niesnaskach, niechże tam sobie p. Opaliński w Leżajsku siedzi, a my tu radźmy, coby czynić, aby się gorzej z nami nie stało, iżbyśmy wraz z tą Rzeczpospolitą na łup nie poszli...

I umiarkowawszy się już całkiem, pan Stodnicki bardzo pięknie mówić zaczął i długo jeszcze z panem chorążym i braćmi jego radzono, jakby to szlachtę lubelską ku zamiarom pana Zebrzydowskiego nakłonić. Starosta już ani słówkiem o planach swoich nie wspomniał i odtąd starannie wszystkiego unikał, coby podejrzenia Niezabitowskich obudzić mogło. Rozumiał on dobrze, że przez nich, którzy tu między szlachtą rej wodzili, może jeno stronników zyskać, a przynajmniej o całej robocie rokoszowej, o zamiarach i planach wszystkich mieć pożądane wiadomości. Rozumiał on i to, że ów zapal, który mową swą obudził, był jeno chwilowy, że nań rachować nie można było i że należało czekać cierpliwie znów innego stosownego momentu,

aby go na nowo zapalić. Postanowił więc milczeć do czasu i ze swoich myśli całkiem się nie wydawać, a tak wielkie umiarkowanie, przytem zaś tak niezwykłą mądrość w osądzeniu spraw publicznych okazywał, że po pewnym przeciągu czasu, pan Sebastian, swych poprzednich podejrzeń zapomniawszy, już tylko jego wymowie i rozumowi się dziwował, przyznając w duchu, iż on elokwencyą swą a trafnym doborem argumentów na umysły szlachty najłacniej mógł podziałać. Przypisywał też sobie zasługę niemałą, że go tak pięknie przekonać i umitygować zdołał, a przed innymi nawet chwalił go mocno, mówiąc:

— Nie taki, furda panie, dyabeł czarny, jak go namalować chciano. I dziw doprawdy, że człek takiego rodu, fortuny, takiej experyencyi a i zasług niepoślednich, w takiej postpozycyi jest, gdy inni, pożał się Boże, rosną w zaszczyty.

A gdy mu na to przytaczano rozmaite gwałty, jakich pan starosta zygwulski się dopuszczał, chorąży jeszcze go brał w obronę, powiadając:

— Burzliwy on jest, toć prawda, ale rozumnym, furda panie, perswazyom, przekonać się daje. Zaczął on i tu już swoje różne buntownicze plany przedstawiać, a no, skorom mu rzekł słowo rozumne, to furda panie, zamilkł

i zgoda. Taki zaś sprzymierzeniec co i głowę nie od parady na karku nosi i sztucznie przemówić umie, a w potrzebie niczego się nie ulęknie, to w tych czasach, rzecz piękna!

Z takich dyspozycy j dobrych pana chorążego korzystając, Stadnicki coraz częstszym gościem był w Górcie i o wszystkim pilnie się wywiadywał, na wszystkie zjazdy i konferencye zjeżdżał, o tem tylko mając staranie, aby robota rokoszowa nie ustawała, to jest, aby umysły szlachty w ciągłym rozdrażnieniu utrzymywać.

Postanowiono wreszcie zwołać zjazd walny pod Lublin, ale wprzód należało jeszcze zbadać usposobienie tej szlachty, zwłaszcza drobniejszej, która w samem mieście licznie mieszkała. Pan Sebastian deklarował się jechać sam, bo jakkolwiek niedawno w te strony przybył, wszakże znany był z rozgłosu i najbardziej zaufania mógł wzbudzić. Chciał się też porozumieć osobiście z panem cześnikiem Stawskim, z którym z dawien dawna miał stosunki.

Pan Stadnicki zasłyszawszy o tem, zaraz deklarował się, że razem z panem Niezabitowskim do Lublina pojedzie, czemu też pan Sebastian nie przeciwił się zgoła, jeden wszakże warunek położył:

— *Conditio sine qua non* — rzekł. — Do Lublina z ową hałastrą zbrojną, którą waść za sobą



ciągniesz, jechać nie można. Byłby to crimen najezdzać zbrojnie miasto w czasie trybunału, a nużby jeszcze owe Sabaty dokazywać zaczęły...

— Czeladki mojej — odparł Stadnicki — porzucić nie mogę, ale to waści ręczę, że za mną do Lublina nie wkroczy. Ostawię ją na jakim przedmieściu, pod wodzą dzielnego i słusznego rycerza Dołęgi, który tu właśnie nadciągnąć ma z Łańcuta. Asekurować mogę, iż żadnego excessu nie będzie.

— Zaręczenie to — odrzekł pan Niezabitoski — przyjmuję jako słowo rycerskie i owszem radować się będę, iż tak wymowny orator jak wacpan, będzie mógł poprzeć sprawę i w potrzebie przemówić. Ale to jeszcze waści oświadczyć muszę, iż słyszałem, jako pan Łukasz Opaliński do Lublina przybywa, bo ma tam jakoś sprawę w trybunale.

Żachnął się na to słowo Stadnicki, ale w momencie znów się zmitygował i rzekł swobodnie:

— A niech tam sobie nietylko Opaliński, ale i cała zgraja jego przybędzie, to mi wszystko jedno!

— Może też i to dobrze będzie — dorzucił pan Sebastyan, chcąc skorzystać z dobrych dyspozycji Starosty — że się tak na neutralnym gruncie zjedziecie. Znam pana Opalińskiego zda-

wna i gdybyś waść chciał, tobym się gotów i medycacyi podjąć.

Na bladej twarzy pana Stadnickiego pojawił się uśmiech szyderczy. Chciał coś rzec, ale jeno wargi przygryzł i po chwili odrzekł sztucznie, choć z widocznym przymusem:

— Za intencye wasze, mości chorąży, uprzejmie dziękuję... Ale nie przyda się to na nic, szkoda jeno zachodu. Były już różne kompromisy i medycacye w Przemyśle, ano, nadaremnie...

I głosem bardzo ponurym, dodał z cicha:

— Są takie gniewy, których lepiej nie poruszać, by nie wybuchnęły płomieniem...

Pan Niezabitowski zmilczał i na tem się to tymczasem skończyło.

W parę dni później, przybył Dołęga do Górki. Pan chorąży dowiedziawszy się jako to jest syn rotmistrza Szornela, bardzo ochotnie go przyjął, jeno go to nieprzyjemnie zdziwiło, że wraz z Dołęgą przybył nowy oddział zbrojny, który wraz z kompanami, co przy panu Stadnickim byli, przeszło sto koni liczył. A jeszcze go bardziej zdziwiło i nawet dawne obudziło podejrzenia, że razem z tym pocztem pojawił się Węgier jakiś, człek widocznie dostatni i niepośledni, który panu Stadnickiemu jakieś pisma przywiózł i z nim tajemne konferencye miewał. Przypomniała się chorążemu owa oracya starosty, w której Ga-

bryela Batorego słaWił i bardzo mu się to wszystko podejrzanem być zdawało. Chciał się też zaraz od tej wspólnej podróży do Lublina uwolnić, ale pan Stadnicki, jakby się tego domyślał, coraz natarczywiej na to nastawać począł, na wszystkie zapytania co do owego Węgra półgębkiem lub żartami odpowiadając. Tymczasem Węgier ów dzień jeden tylko w Górcie zabaWiwszy i poradziwszy się z panem Stadnickim, precz odjechał, a pan chorąży chcąc nie chcąc, jakkolwiek mocno już zafrasowany, wyruszył do Lublina wraz ze starostą i jego zbrojną hałastrą, raz jeszcze otrzymawszy solenne przyrzeczenie, iż ona nie wkraczając do Lublina, na przedmieściu, Wieniawa zwanem, pozostanie.

— A ileż to wacpan owego zaciągu trzymasz w Łańcucie? — zapytał Niezabitowski starostę, gdy już społem jechali:

Machnął ręką pan Stadnicki.

— Et, skromna czeladka... 400 ussarzów, 400 piechoty i coś około 300 albo i więcej kozaków.

— A to furda panie — zawołał chorąży — nie lada armia! Że też ta hałastra jeszcze Łańcuta nie zjadła...

— Nie zjadła, ale nadgryza — odrzekł, śmiejąc się Stadnicki — wszystko to płacę z ubożego mieszka ziemiańskiego, krwią rodziców nabytego; a wolę by mi ta czeladka Łańcut zja-

dła, niżby mnie samego miał zjeść Opaliński, albo jaki inny regalista...

I tak gwarząc jechali, a pan Niezabitowski pytał jeszcze dlaczego tę czeladkę Sabatami zwano...

— Jestto taka nazwa węgierska — odrzekł starosta — Szombatos czyli ussarz.

— A mnie to cale inaczej wykładano, jako to znaczy opryszek czyli zbój węgierski i że ta hałastra to sami wywołańce a rabusie...

— Jak się komu wykladać podoba — odparł znów na to Stadnicki — a ile to między królewskimi żołnierzami jest wywołańców a banitów?... To jeno pewna, że się moja czeladka ognia nie nastraszy, a właśnie w tych czasach zagrożonej wolności szlacheckiej, przydać się może.

Nie przekonało to snadź pana chorążego, bo coraz pochmurniejszym się stawał i tak już milcząc do Lublina dojechali.

Dołęga z Sabatami został na Wieniawie, a chorąży ze Stadnickim w kilka tylko koni wjechali w noc późną do miasteczka i zajęli gospodę „pod Barankiem“.

Nie uszła bacznej uwagi starosty zmiana nagła w usposobieniu dlań pana Sebastyana i to go bardzo zmartwiło. Przybywając do Lublina, rachował on wielce na powagę i znaczenie pana

chorążego, że mu to wstęp między szlachtę ułatwi, zanim on sam będzie miał sposobność do niej przemówić. Teraz właśnie, przed owym walnym zjazdem, zamierzał on wystąpić z ponowną oracyą i już wyraźniej plany swoje zaznaczyć na podstawie wiadomości, jakie mu ów Węgier od Gabryela Batorego przywiózł. Wiedział on wszakże dobrze, że mu szlachta lubelska nie łatwo zaufa, że aby zyskać jej względy a przynajmniej posłuchanie u niej znaleźć, trzeba mieć za sobą powagę takiego jak pan Niezabitowski ziemianina, którego nieposzlakowane imię było w powszechnem poważaniu.

Widząc przeto, jako pan chorąży, już dlań zdawało się zjednany, znowu się odwracać poczyna, zafrasował się wielce i podczas gdy pan Sebastyan dawno w przyległej izbie snem spokojnym spoczywał, on w ponurych pograżony medytacyach, łamał sobie głowę nad wynalezieniem sposobu, aby zbyt wczesnie obudzone podejrzenie ukoić i plan swój, z którym najdroższe i jedyne już w życiu nadzieje powiązane były, do skutku doprowadzić.

— Ostatnia próba! — szeptał przez zaciśnięte zęby — teraz jeszcze, albo nigdy!...

Wtem ozwał się tętent koni, zrazu daleki, a potem coraz bliższy i głośniejszy, połączony z nieludzkimi niemal wrzaskami.

Wrzaski te musiały być dobrze panu Stadnickiemu znane, bo uważnie nadśluchiwać zaczął, a potem porwał się i wybiegł z komnaty do sieni.

W tymże momencie brama wjazdowa już zamknięta, pod silnym z zewnątrz naporem na ścieżaj się rozwarła i z hukiem a wrzawą wjechało do wnętrza kilku zbrojnych Sabatów na koniach spienionych.

— Zawiski! — krzyknął starosta do tego, który jechał na czele. Wezwany zeskoczył z konia i zbliżył się ku staroście, a tak był cały błotem zbryzgany, że twarzy jego prawie niepodobna było rozeznać.

— Co to jest? co to znaczy? — spytał groźnie Stadnicki. — Jak śmieliście tu przybyć wbrew moim rozkazom? gdzie jest imép. Dołęga?

Pytania te coraz głośniej i groźniej wypowiedane, sypały się gradem z ust starosty, że stojący przed nim ów dworzanin, nie mógł ani słowa przemówić.

— Odpowiadaj! Co to znaczy? — wrzasnął Stadnicki.

— Nieszczęście! jaśnie wielmożny panie... nieszczęście! — wyjąkał z załęknieniem Zawiski. — Leżajscy pachółkowie, którzy z panem Opalińskim przybyli i także rozłokowali się na Wieniawie, poczęli się wnet wadzić z naszymi,



ranili dwóch Sabatów, a dworzanina Bogackiego śmiertelnie usiekli, że może już i ducha wyzionął.

Stadnicki słuchał i nie mówił nic. Wargi mu się jeno trzęsły i widocznie wielka gwałtowność zbierać w nim poczęła, że ów dworzanin, nie wiedząc jeszcze przeciw komu ta gwałtowność obrócić się miała, już w duchu i życia był niepewnym, zwłaszcza iż pan Stadnicki czekanik swój coraz mocniej w rękę ścisnął i coraz zapalczywiej nim o ziemię bił.

Długo trwała cisza. Zawiski ze zwieszoną głową stał milcząc, kompanowie jego z koni zsiadłszy, także czekali w milczeniu, a Szafranski, obudzony tą wrzawą wybiegł i trzymając w rękę zapaloną latarkę, która migocącym światłem rozjaśniała nieco ciemności, przypatrywał się zdala z przerażeniem wielkiem owym zbrojnym, ich strojom dziwacznym, ich ogorzałym a dzikim obliczom.

— Ano, koniec na mnie przyszedł! jeno duszę Panu Bogu miłosiernemu polecić — myślał w duchu i byłby się modlił, gdyby w tym strachu mógł słowa pacierza spamiętać.

Tymczasem Stadnicki, oprzytomniawszy nieco, głosem stłumionym zapytał:

— Bogacki usieczon na śmierć?

— Ostawiliśmy go na Wieniawie dyszącego ledwie, łeb mu szpetnie rozwalono.

— A cóż oni... ci Leżajscy... wszak żywcem nie uszli?

— Uszli wszyscy!... — nieśmiało, z cicha wyjąkał Zawiski.

Porwał się Stadnicki ku niemu jak wściekły.

— A hańba że na was, psie syny! — wrzasnął — a to z was tacy żołnierze, że swego kompana bezkarnie mordować dajecie!

I pieniać się ze złości już się był na Zawiskiego czekaniem zamierzył, gdy tym gwarem ze snu zbudzony pan Niezabitowski, wybiegł w tymże momencie z swej izby i w czas rękę starosty zatrzymał.

— Panie starosto, a cóż to za gwałty? — wołał, olbrzymią swą postacią zasłaniając Zawiskiego.

— Co za gwałty? — krzyczał Stadnicki, wyrwijając się chorążemu — gwałt jest ten, że mi Opaliński opryszek ludzi napada i morduje! a ja go za to bez sądu, jak psa wściekłego na rynku lubelskim powieszę!

I miotał się a wyzywał tak straszliwie, że pan Niezabitowski dopiero po długiej chwili mógł się dowiedzieć o co chodzi, i zaledwie zdołał uprowadzić Stadnickiego do izby a umitygować nieco. Zaczem wezwany ponownie Zawiski mógł już porządnie zdać relację, jako się to stało.

Zawiski był jednym z zaufanych dworzan starosty Zygwulskiego, który go nawet do poufnych misyj niektórych używał, ceniąc jego przezorność i obrotność, że w najtrudniejszych okazyach poradzić sobie umiał. Niegdyś lepszej kondycyi, Zawiski swawolnikiem wszakże był wielkim, a w tej swawoli fortunę i cześć ztraciwszy, do pana Stadnickiego od lat kilku przystał i jednym z hersztów owych Sabatów był mianowany. Według relacyi jego, którą on bardzo szczegółowo czynił, a której pan Stadnicki słuchał już w milczeniu, chodząc po izbie, czeładka łańcucka, przybywszy z Dołęgą na Wieniawę, nie zastała miejsca w gospodzie, bo ta zajęta była przez dworzan i służbę pana Leżajskiego starosty, który tegoż samego dnia do Lublina przybył i także zbrojną swą drużynę na Wieniawie zostawił. Zaraz tedy zaczęła się zwada; Sabatowie chcieli zaraz wyrzucać Leżajskich z gospody, a ci widząc przemożną siłę, nie próbowali nawet stawiać oporu, ale wyszedłszy z gospody i oddaliwszy się nieco, poczęli wyzywać Łańcuckich, których „dyabelską drużyną“ zwali, śpiewając przytem sprośne pieśni, wymyślane na samego Zygwulskiego starostę. Kilku Sabatów a na ich czele Bogacki, który był gwałtownik wielki, rzuciło się za Leżajskimi i dognawszy rozpoczęło bójkę, pomimo nawo-

ływań Dołęgi, który zakazywał pogoni i wszelkiej zwady.

— Bójka ta trwała niedługo, opowiadał Zawiski, Leżajscy uzbrojeni byli lepiej, a chociaż i im nieco się dostało, wszakże wielkiej szkody nie ponieśli, gdy zaś Bogacki padł ranny śmiertelnie, wówczas bojąc się, abyśmy wszyscy na nich nie natarli, poszli w ucieczkę. Stało się to w jednym momencie, tak krótkim, jako mgnienie oka, że gdy puszczono się w pogoń, już było za późno. Uszli wszyscy.

— Nie nasza w tem wina! — kończył Zawiski ośmielony milczeniem starosty, — bo myśmy chcieli zaraz natrzeć na Leżajskich i bylibyśmy ich wszystkich rozbili, ale imćp. Dołęga nie pozwalał z miejsca się ruszać i dopiero gdy Bogacki padł, rzucił się sam w pogoń. Już jednak ich dognać nie było można; w ciemnych zaułkach Lublina zniknęli, chociaż jeszcze na ulicy, koło Starej Baszty słyszeliśmy, jako śpiewali ową pieśń szpetną, na urągowisko.

— Jaką pieśń? — zagadnął pan Niezabitowski.

— Ano, — odparł Zawiski z cicha, zbliżając się ku chorążemu, — ową pieśń, co to wymyślona jest na pana starostę:

„Stadnicki dyabeł wcielony..“

— Milczeć! — krzyknął starosta i żywo zapytał:

— Gdzież jest imćpan Dołęga?

— Widziałem, — odrzekł Zawiski — jak w tej pogoni zapędził się do jednego z dworków, niedaleko Starej Baszty, gdzie snadź niektórzy z Leżajskich się skryli, bo właśnie tam ową pieśń śpiewali. Być może, że ich ujął. On tu niechybnie wnet nadciągnie, bo oto już i reszta naszej kompanii przybywa.

Rzeczywiście też w czasie Zawiskiego relacyi, przybywało coraz więcej zbrojnej drużyny. Cała już się gospodnia a i dziedziniec i wszystkie izby były przepełnione. Krzyki podnosiły się coraz większe.

Stadnicki zachnął się gniewnie.

— Idź wacpan — rzekł do Zawiskiego — i powiedz tym zbójcom, a pilnuj ich, aby wrzasków nie czynili, bo jak mi Bóg miły, własną głową odpowiesz!

Zawiski miał się czempredzej ku drzwiom, kontent, że się to jakoś na tem skończyło, a w izbie został sam Stadnicki z panem Niezabitoskim.

Długo obaj milczeli. Olbrzymi pan Sebastian usiadł przy stole i chmurno się zamyslił. Cała ta awantura nie w smak mu poszła; wyrzucał sobie, że z panem Stadnickim i jego hałasem zgodził się tu przybyć. Starosta w wielkiem wzburzeniu wciąż biegał po izbie.

Wreszcie stanął przed Niezabitowskim i roziskrzonym wzrokiem patrząc nań, rzekł:

— Chciałeś mnie waść godzić z panem Opalińskim, a oto widzisz, może li to być?... Cały mój żywot taki. Nie minie dzień, aby mi krwawej nie wyrządzono krzywdy... a ja co począć mam? milczeć i znosić?...

Czekał chwilę responsu, a gdy Niezabitowski zmilczał, tak mówił dalej:

— Sypią się na mnie kondemnaty... jak Heribert mógłbym już sobie niemi cały płaszcz podszyc — ano, kto mi za moje krzywdy zapłaci?... Gdybym sam nie wziął odwetu, a ludzi nie straszyl, to jużby chyba ze mnie i śladu nie było.

— A mnie się widzi — ozwał się pan Niezabitowski — że tu niewiadomo, kto odwet bierze, a kto pierwszy napada.

— Niewiadomo! — zawołał w uniesieniu starosta — niewiadomo wam, mości chorąży, boć wzrok ludzki nie przenika do wnętrza duszy i nie zliczy tych ran serdecznych, które mi zadano... Ano, dużoby o tem prawić a i nie wszystko wypowiedzieć można. Dziś wszakże, byliście sami świadkami, jako pana Opalińskiego służalce obezli się z moją czeladką.

— A już co do tego — odparł chorąży — to wam rzec muszę, furda panie! jako to jest pierwsza wina tej właśnie waszej czeladki, jak ją zo-



wiecie. Po co wam tę dziką hałastrę ciągać za sobą? To szlachcicowi i rycerzowi prawemu rzecz całe nie jest przystojna, takimi ludźmi się otaczać. I oto co stąd wynikło? Stał się crimen: usieczono wam dworzanina, a ludzie wasi zbrojnie najechali Lublin w czasie trybunału... piękna sprawa! a gdybym był ręki waszej nie wstrzymał, to i tutaj byłby trup jeszcze jeden.

— To mi dziś już myśli nie kłopotuje! — przerwał szyderczo Stadnicki — jedna kondemnata mniej albo więcej, któż je tam liczyć będzie?

— Ale mnie to kłopotuje, furda panie — zawołał, unosząc się już nieco pan Niezabitowski. — Nie myślę mego imienia do spraw takich mieszać. Daliście mi, mości starosto, słowo rycerskie, jako družyna wasza nie wkroczy do miasta, a oto całę inaczej się stało. Zatem żądam, abyście dotrzymali przyrzeczeń i tę hałastrę wygnali stąd precz!

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się pan Stadnicki. — Żądasz waść! a któż to ja jestem, bym żądania spełniać musiał? Czeladka moja, mości chorąży, zostanie tu, a jutro rozprawi się z panem Opalińskim!

— A to wacpan chcesz tu wojnę, pod bokiem trybunału rozpoczynać! — zawołał pan Niezabitowski, — porywając się z miejsca wzbu-

rzony bardzo -- a to szukajże sobie innych kompanów!

— Do krośset piorunów! — wrzasnął starosta i w gniewnem uniesieniu byłby niewątpliwie jakąś straszliwą wyrzekł obelgę, gdy wtem nowy tętent koni dał się słyszeć i w tymże momencie drzwi się z nagłą otwarły, a na progu stanął Dołęga.

Był tak blady i tak zmieniony, że Stadnicki spojrzawszy nań tylko, już zapomniał co wyrzec miał, jeno ku niemu się rzucił, rozumiejąc, że może ranny jest.

Dołęga wszedł i nie patrząc na Stadnickiego, głosem ponurym rzekł krótko:

— Rodzic mi zmarł..

Zaczem, jak gdyby więcej mówić nie mógł lub nie chciał, usiadł ciężko przed stołem, głowę na obu dłoniach wspierając.

Stadnicki zdumiony tą wieścią, milczał. Nie rozumiał on zgoła, jako się to stało, jeno z twarzy Dołęgi wyczytał, iż stać się musiało w niezwykłych okolicznościach, jeno to przeczuwał, że śmierć ta, zresztą mu obojętna, nową jakąś sprowadzi nań klęskę.

Tymczasem pan Niezabitowski, na którego słowa Dołęgi również wywarły wrażenie, zbierać się począł jak gdyby do drogi; szablę przypasał, a biorąc kołpak do ręki, zbliżył się do

Jerzego i głosem wzruszonym, kładąc mu dłoń na ramieniu :

— Znałem dobrze rodzica wacpana... był to wojownik sławny, a człek wspaniałego umysłu i serca. Dziwno mi, że syna jego w takiej kompanii widzę, która prawemu rycerzowi cale nie przystoi.

— Dość tego! — wrzasnął Stadnicki, trzęsąc się z gniewu. — Obelg nie ścierpię!

I z podniesionym czekanem leciał ku Niezabitowskiemu.

Ten dobył szabli i czekał w pogotowiu, a Dołęga widząc to, porwał się także od stołu, i stając pomiędzy nimi, zawołał ku Stadnickiemu :

— Mości starosto, opamiętaj się przez Boga żywego!

Stadnicki oprzytomniał też nieco i podniesiony czekan opuścił, a pan Sebastyan rzekł poważnie, chociaż nieco drżącym od wzruszenia głosem :

— Waś chcesz czekanem walczyć, ja szablę mam rycerską... to broń nierówna. Pozostawiam tedy plac wolny, a czekać was będę, mości Stadnicki, na innem miejscu i z bronią szlachcicowi właściwą.

To rzekłszy, kołpak na głowę wcisnął i wyszedł, drzwi zatraskując za sobą, a za chwilę

słysząc było, jak z pacholikami swymi wyjeżdżał z gospody.

Pan Szafranski, który przez tę noc całą ani na chwilę oka nie zmrużył, przechodząc często na palcach koło drzwi izby, w której pozostał Stadnicki z Dołęgą, słyszał jako między nimi ciągle toczyła się rozmowa. Słowa doń nie dochodziły, ale głos starosty brzmiał ciągle: raz był groźny, podniesiony, zuchwały, to znów jakby proszący i rzewny. Z rzadka odzywał się Dołęga, a mówił dziwnie spokojnie, lecz stanowczo. Rozmowa ta trwała do dnia białego, a gdy słońce już się podniosło na niebie, Dołęga wyszedł a za nim Stadnicki. Przystanąwszy w progu, jeszcze coś mówili z sobą, a tu już pan Szafranski dosłyszał, jako starosta rzekł:

— Jerzy, pomnij na przyrzeczenia... Chwila ostatnia, możemy powetować wszystko... Znasz wszystkie plany, nie opuszczaj mnie!

Dołęga nie odpowiedział, jeno silnie dłoń starosty uściśnął i odszedł spiesźnie, zmierzając wprost ku dworkowi Żegoty.

Snadź owa rozmowa z Dołęgą poruszyła nadewszystko starostę, bo już odtąd jakby w rozpaczy siedział nieruchomy w izbie, a tak był w medytacyi pogrążony, że nie rzekł nawet nic, gdy mu doniesiono, jako ów dworzanin Bogacki, wczoraj na Wieniawie przez pacholków Opaliń-

skiego zraniony, zmarł. Kazał jeno Zawiskiemu gotować się do drogi i tak rozporządził, iż część kompanii powrócić miała do Łańcuta, druga zaś część z najsprawniejszych junaków złożona, miała mu towarzyszyć w dalszej podróży, której celu nie wymienił. Ale Zawiski, który był dobrze zwyczajów pana swego świadom, od razu cel ten spenetrował i rzekł do Szafrąńskiego, zafrasowany wielce:

— Otóż znówu na te przeklęte Węgry przyjdzie nam wędrować. Myśleliśmy, że już przynajmniej teraz czas jakiś w kraju posiedzim, ano te przeklęte Opalińszczuki nas stąd wyganiają.

— A cóż tam na Węgrzech czynić będziecie? — spytał Szafrąński.

— Ho, ho, jakiś wacpan ciekawy! — odparł tajemniczo Zawiski. — Mamy my tam sprzymierzeńców a dobrych przyjaciół siła, wśród których i możni xiążęta się znajdują... A jest tam między innymi xiążę Gabryel Batory, króla Stefana po bracie rodzonym wnuk, mąż tak wspaniałej postaci, iż wasz ten chorąży, co to z taką furją dziś z rana stąd wyleciał, nieledwie karlikiem wydałby się przy nim.

— Wacpan chyba żartujesz? — rzekł niedowierzająco Szafrąński.

— Nie żartuję cale, a z tem xiążęciem także żartów nie ma. U niego posłać człeka na tam-

ten świat, to jedno, jak wacpanu kawał chleba zgryść, a czasem tak piękne igrzyska wyprawia, że gdyby człek nie zalał przytem pałki miodem lub węgrzynem, toby mu krew w żyłach skrzepła, a w głowie się przewróciło.

— Jezus, Marya! a cóż on takiego wyprawia? — zawołał w przerażeniu Szafrański.

— Juźci ja tego wacpanu opowiadać nie będę — odparł Zawiski — bo na to czasu niema i możebyś nie wierzył, bo wy pana starostę, że tam parę dworów spalił a kilku ludzi posiekać kazał, to już dyabłem przezywacie. U xiążęcia Gabryela to jest zawsze kilku takich łotrzyków, albo też cyganów, co ich co soboty dla rozweselenia gości wieszają lub strzelają do nich z łuków i półhaków jak do celu, a jakie tam zabawy z niewiastami na tym dworze czynią, to gdybym to nie jednemu opowiedział, toby się wnet zerwał do xiążęcia Gabryela jechać. Jeno, że on sam z tem najlepiej zabawiać się lubi, a gdy mu kto przeszkadza, to zaraz łeb śmiałkowi ucina, aby spokój był.

Szafrański gębę szeroko otworzył, słuchał, ale widać było, że nie zbyt dowierzał.

— A to chyba u tych Węgrów trybunałów niema! — przemówił wreszcie.

— Trybunały! — zaśmiał się Zawiski — trybunały są, ano tyle pomagają co i nasze. A któ-



ryby to zresztą trybunał poradził takiemu xiążęciu, który włóści różnych a zamków i grodów więcej ma, niż wacpan włosów na głowie.

— I z takim to straszliwym opryszkciem, pan Stadnicki w przyjaźń i konfidencye wchodzi?— z oburzeniem spytał Szafrąński.

— A cóż wacpan myślisz? Lepiej mieć go sprzymierzeńcem niż wrogiem; on pewnie niebawem xiążęciem siedmiogrodzkim będzie. Gdy zaś tu w Polsce przyjmują nas tak, jak to pan Opaliński czyni, a szpetne przezwiska i paszkwily różne wymyślają na pana starostę, to kto wie co z tego może wyniknąć... Taki xiążę Gabryel z panem Stadnickim wiele uczynić mogą...

Snadź spostrzegł Zawiski, że może za dużo powiedział, bo wnet na inną sprawę mowę obrócił, a w tymże momencie i Szafrąńskiego odwołano.

Jużśmy wyżej widzieli, jako tegoż rana owa czeladka pana starosty wadzić się z sobą poczęła i jako pan Stadnicki wyszedłszy, nakazał winnych tej zwady ukarać, a zoczywszy kniazia Koziękę jako w tłumie stał, długo nań patrzył, potem zaś jakby sobie coś nagle przypomniał, wezwał go, aby szedł za nim do izby.

Ze tam kniaziewi nie bardzo było w duszy odważnie, gdy do tej izby wchodził, to pewna, ale na pomarszczonej jego twarzy już pierwszego

lęku widać nie było, owszem jakowaś determi-  
nacya na niej się przebijała.

— A niech tam dzieje się co chce! — szep-  
nął sam do siebie i spojrzął w oczy staroście —  
ale wnet wzrok spuścił, spotkawszy iskrzące się  
spojrzenie Stadnickiego, które jakby go prze-  
niknąć chciało, wciąż ku niemu było skierowane.

— Ja wacpana znam.. — przemówił wreszcie  
pan Łańcucki.

Kozięka milczał, ale mu się nie dobrze zrobiło.

— Ja wacpana znam! — powtórzył głośniej  
Stadnicki — a widziałem cię w takim momencie,  
że choćbym go zapomnieć rad, to go i w piekle  
pamiętać będę... Wacpan także pamiętasz?

— Pamiętam jw. starosto... — wybąknął książ.

— Byłeś przy spaleniu Korniaktowa?

— Byłem... — odrzekł z cicha Kozięka.

— I zniknąłeś stamtąd gracko, jeno z miesz-  
kiem pono pełnym...

— JW. starosto... — chciał się tłumaczyć  
książ.

— Milcz wacpan! — krzyknął Stadnicki —  
Ja cię o to pociągać nie myślę; mieszek nie mój  
był, jeno właścicielki Korniaktowa. Wprawdzie  
brzydtko waść kłamałeś później, boś mówił, jako  
owe pieniądze moja czeladka rozchwyciła, ale  
pal cię dyabli, i o to wacpana pociągać nie będę.

Kozięka nie wiedząc co czynić, kłaniał się.

— Waść — mówił dalej Stadnicki — wydajesz mi się całę obrotnym. Mówiono mi o wacpanu wiele po owem zniknięciu twojem z Korniaktowa, a w twojej twarzy czytam, że nie kłamano całę. Dyabeł-by chyba prawdy doszedł, co się po za temi zmarszczkami w sumieniu kryje... Dawno tu wacpan w Lublinie?

— Od lat kilkunastu...

— Znasz tu całę szlachtę osiadłą?

— Jak moją dłoń własną i jeżeli jw. starosta...

— To dobrze — przerwał znów Stadnicki. — Nie potrzebuję słów, jeno czynów... Wczoraj zamordowano mi tu na Wieniawie dworzanina bardzo sprawnego; mógłbyś wacpan wejść na jego miejsce, jeno on był człek rycerski, a waść zda mi się nie mieczem wojujesz...

— Panie starosto... — chciał oponować Kozieka.

— Milczeć! — krzyknął Stadnicki — nie potrzebuję ja zresztą rycerzy, mam ich aż nadto, ale właśnie potrzebuję takiego, któryby oko miał dobre, ucho jeszcze lepsze, a umiał podleźć tam, gdzie przejść nie można... Rozumiesz?

— Rozumiem jw. starosto i gotów jestem...

— Obaczymy. Teraz to jeno wacpanu powiem: Jest tu pan Łukasz Opaliński, starosta leżajski z swym dworem, masz tedy wywieźć się, jak długo przebywać będzie w Lublinie, czy dwór

z sobą ma wielki, czy jest sam lub z małżonką i gdzie stąd wyjeżdża? Dziś przed wieczorem zdasz mi waść relację...

To rzekłszy starosta odwrócił się od kniazia i jeno ręką wskazał mu, iż go już odprawia.

Kozieka skłonił się i wyszedł mocno zafrasowany.

— Bogu wiadomo, co on ze mną czynić chce — myślał. — Człek już był w rozmaitych okazyach, a nawet tam w tym przeklętym Korniactowie... no, ale to wszystko było jakby przypadkiem, niechcący... Ale teraz tak na zawždy dyabłu duszę zapisać, to iście nie po szlachecku...

Zamyślił się kniaź, a potem znów szeptał:

— Nie wierzyłem, a teraz wierzę, że to jest dyabeł prawdziwy. Po tylu latach poznał mnie, jak gdyby to było wczora. I teraz ma mnie w rękę, a jeśli mu tego nie uczynię co on chce, to gotów jeszcze ową korniactowską sprawę rozgłosić, a wówczas choć uciekaj z Lublina, bo mnie ta głupia szlachta zaraz stąd wyściga a pan Korniakt pozwie niechybnie.

Tak rozmyślając i zafrasowany ciągle, szedł w miasto, aż nagle zdziwił się wielce widząc liczne zbiegowisko obok dworku Żegoty, a jeszcze bardziej się zdumiał, gdy zbliżywszy się tam, dowiedział się, jako pan Szornel nie żyje. Wszedł tedy co prędzej do wnętrza dworku i tam wi-

dział zaraz jako przy zwłokach rotmistrza dworzanie pana Opalińskiego paradę czynili. Niebawem też zabrawszy z jednym z nich znajomość, w krótkiej rozmowie dowiedział się wszystkiego, o czem pann staroście zygwulskiemu miał zdać relację.

A nazajutrz pod wieczór, odbył się w Lublinie pogrzeb rotmistrza. Dołęga w wielkim był lęku, aby pan Stadnicki nie dopuścił się jakowego excesu, bo się już odgrażał, że owych pacholików Opalińskiego, którzy przy zwłokach rotmistrza straż czynili, precz pospędzać każe, a swoich żołnierzy postawi. Usilnemi prośbami zdołał wszakże odwieść go od tego zamiaru i tyle sprawił, że pan starosta przyrzekł, jako przez czas uroczystości pogrzebowych do żadnego zajścia nie da powodu. Dołęga uczynił nawet więcej, bo do samego starosty leżajskiego się udał i o to samo go prosił, a był też przychylnie przyjęty i obietnicę solenną otrzymał.

Pogrzeb odbył się tedy spokojnie a z uroczystością tak sławnemu wojownikowi przystojną. Tłumy ludu odprowadzały zwłoki jego na wieczny spoczynek. Był też i pan Opaliński z bardzo pięknym orszakiem dworzan, a xiądz Krescenty, na cmentarzu, nad otwartym grobem, ozdobny panegiryk wygłosił, który był potem w druku wydany, a w którym sławił cnoty ry-

cerskie zmarłego i jego wielką w wierze świętej katolickiej gorliwość.

— „Był on — rzekł — w jaskini heretyckiej, gdzie nań rozmaici kacerze, Aryanie, Kalwini i Socynianie zasadzki czynili, a czyhali nań, jako lwy srogie na Daniela, ale jako on Daniel z paszczęki lwiej cało wyszedł, tak też i zmarły rotmistrz Szornel wiarę swą nieuszkodzoną stamtąd wyniósł, owszem jeszcze bardziej jaśniejąca“...

A gdy to mówił ku wielkiemu zbudowaniu i rozczuleniu zgromadzonych, rozległ się nagle śmiech głośny a tak szyderski, iż wszyscy zadrzeli. Zwróciwszy zaś oczy w stronę, skąd śmiech ten pochodził, ujrzano stojącego opodal na wzgórku pana Stadnickiego, z kilku kompanami swymi. Blade jego oblicze krzywiło się kurczowo i śmiał się ciągle głośno:

— Cha! cha! cha!...

Nawet xiądz Krescenty na odgłos tego śmiechu przerwał swoją oracyę, jakby się przeraził; wszyscy zaś cofnęli się od miejsca kędy stał Stadnicki, a niejeden zęgnął się krzyżem świętym, jakby złego ducha obaczył. Zaczem, gdy xiądz mowy dokończył, złożono trumnę do grobu, zasypano mogiłę i wszyscy śpiewając pieśni żałobne zwolna wychodzić zaczęli z cmentarza.

Dołęga ostatni prawie szedł wraz z Reginką, a obok nich Żegota przy panu Opalińskim, który



się właśnie zatrzymał, aby z Żegotą, którego zdawna znał, a dla jego uczoności wielce sobie cenił, pomówić mógł. Pan Opaliński, który w cudzoziemskich krajach całą młodość spędził a do xiąg i nauk lgnął bardzo i w dySSERTACYACH uczonych się kochał, zapytywał właśnie pana Żegotę, dla czego z Krakowa, gdzie się często spotykali, wyjechał.

— W Krakowie — odrzekł zapytany — po śmierci małżonki usiedzieć nie mogłem, toż przeniósłem się do Lublina, gdzie Reginka moja przy ciotce swej, zakonnicy u panien Brygidek naukę i zbudowanie mieć może.

— Jeno mi się zdaje — odrzekł pan Opaliński — że dla tak pięknej dziewczoi, jaką jest córka wasza, to zakonne towarzystwo niezbyt przystoi. Z taką urodą, to choćby na dwór królewski...

— A niechże ją Bóg wielki od tego ucho- wa! — przerwał pan Żegota. — Już to Reginka cale światowych intencyj nie zdradza, owszem, pragnęłaby się zakonnemu życiu poświęcić, jeno ja stary jej w tem przeszkadzam, bo mnie opuścić w samotności nie chce. Zdaje mi się wszakże, iż to już nie długo, bo siły słabną, a wiek choć nie późny, ale zdrowie sterane.

— Na cóż takie smutne przypuszczenia czynić? — odparł grzecznie pan starosta leżajski. — Jesteś jeszcze człek młody, mości Żegoto, tyłkoś

się tu bez potrzeby żadnej zakopał w tym Lublinie. A już córka wasza, całe nie do klasztornego żywota stworzona. Gdyby nie była temu przeciwną, to moja małżonka z wielką ochotą wzięłaby Reginę waszą do siebie. Wprawdzie mamy my tam teraz różne kłopoty i niespokoje z owym Dyablem łańcuckim, Stanisławem Stadnickim, ale przecież jakoś my go wreszcie umiarkujemy, że cicho siedzieć będzie musiał. W Leżajsku zaś dwór liczny, panien szlacheckich wiele a i dworzan przystojnych niemało. Panna Regina znalazłaby tam i opiekę dobrą i kompanię stosowną i rozrywkę odpowiednią wiekowi a może i małżonka, o co przy takiej urodzie nie trudno...

— Wdzięchen jestem waszej miłości — odparł Żegota — za jego łaskę dla nas i za ten zaszczyt jaki nam czynić chce.. Ale to teraz jeszcze mówić o tem nie pora.

Tak rozmawiając wyszli już z cmentarza i postępowali zwolna drogą dość pustą a niknącą już w mroku wieczornym, gdy po za nimi dał się słyszeć tętent koni i kilku jeźdźców przemknęło obok nich w galopie. A ten co naprzód pędził, mijając pana Opalińskiego, krzyknął głośno:

— Do widzenia, mości Opaliński!... Zapłacisz

mi w trójnasób za zamordowanego dworzana!... —  
I pomknął dalej.

Strwożyli się wszyscy: Reginka ku ojcu podbiegła, a starosta leżajski rzekł po chwili, głosem jak zwykle miękkim, ale w którym gniew drżał:

— To dyabeł Stadnicki, co się na pogrzebie urągał! Że też takiego człeka święta ziemia jeszcze nosić może!...

I już się rozeszli. Pan starosta leżajski ze swoim orszakiem podążył do swego mieszkania, a Dołęga odprowadzał jeszcze Żegotę z Reginką do wrót ich dworku.

Reginka w smutnem pogrążona milczeniu słuchała, jako Dołęga dziękował jej rodziciowi za opiekę i przyjaźń dla zmarłego rotmistrza.

— Mam — mówił on — przynajmniej to uspokojenie, że rodzic mój w opuszczeniu nie był, bo w tobie, mości Żegoto, znalazł brata i przyjaciela, a w panie Reginie córkę, przy której o niewdzięcznym synu zapomnieć mógł.

— O, nie! — przerwała z mocą Reginka — nie zapomniał on o was nigdy i ostatnia myśl jego była przy was i z wami.

A Żegota słuchając tych słów Dołęgi, nie mógł się nadziwić, skąd mu owe, takie rzewne i cale niespodziewane dyspozycye przyjść mogły. Tłómaczył to sobie silnem wrażeniem, jakie na

nim to nagle spotkanie się z rodzicem już konającym wywarło, bo i wczoraj, gdy mu opowiadał o ostatnich chwilach rotmistrza, widział silne wzruszenie na twarzy rycerza, który w słowach się nie rozpraszał, jeno zamyslał się głęboko i medytował wewnątrz. Z tych dobrych dyspozycji postanowił też Żegota korzystać i gdy stanęli u wrót dworku, zaczął prosić Dołęgę, by wszedł i z nimi jeszcze pozostał. Ale Dołęga uczynić tego nie chciał i rzekł stanowczo:

— Przynależem panu Stadnickiemu, że wrócę nie zwłóczęc, więc wrócić muszę. A tak i żegnać mi się już wypada. Bóg jeden chyba wie, gdzie mnie losy zaniosą, ale wszędzie gdzie będę, poniosę też i pamięć o was, mości Żegoto i... o panie Reginie...

Słowa te wymówił Dołęga tak rzewnie i tak jakby nieśmiało, iż Żegota coraz bardziej ujęty, serdecznie go uściskał, mówiąc:

— A ja mam w Bogu nadzieję, że waść tu wrócisz i rychło. Nie dla nas, bo my obcy, ale na grób rodzica. Za życia nie pamiętaliście dość o nim, to po śmierci tem częściej przypominać sobie należy i jego żywot zacny i rycerski i jego słowa ostatnie, które wam wiernie powtórzyłem. Takie rozpamiętywanie — darujcie, że wam to mówię, jako stary i doświadczony waszego rodzica przyjaciel — przydałoby się wam, panie

Jerzy, bardzo, a i dalszy wasz żywot cały może na inne sprowadziło drogi.

— O to i ja modlić się będę... — ozwała się Reginka głosem tak cichym, że Dołęga zaledwie dosłyszeć mógł, ale snadź słowa te poruszyły go żywo, bo już nie odpowiadając Żegocie, przystąpił ku Regince, ujął ją za rękę, patrzył chwilę na jej piękne, a teraz wzruszeniem zapłonione oblicze i również z cicha przemówił:

— O modlitwę proszę was, panno Regino, bo ja się modlić nie umiem!...

To rzekłszy, zwrócił się nagle i nie patrząc już na nikogo, odszedł spiesźnie, a wkrótce zniknął w ciemnościach.

W tymże czasie w gospodzie „pod Barankiem“ panował ruch wielki; znaczna bowiem część kompanii pana Stadnickiego gotowała się do drogi, mając do Łańcuta wracać. Sam pan starosta postanowił do jutra jeszcze pozostać w Lublinie, oczywiście nie w innym celu, jeno aby się jeszcze z panem Opalińskim rozprawić. Chciał on, aby i Dołęga z nim pozostał, ale ten wróciwszy z pogrzebu bardzo pochmurny, i domyślając się zamiarów starosty, stanowczo oświadczył, iż do żadnej rozprawy z panem Opalińskim należeć nie będzie, owszem prosił, by mu było wolno natychmiast oddalić się z Lublina. Gnębiły go myśli przeróżne, potrzebował ruchu, po-

wietrza, odmiany jakiejś, by nieco ochłonać i oprzytomnieć po doznanych wrażeniach.

Stadnicki przeraził się bardzo, widząc taką zmianę w usposobieniu najwierniejszego towarzysza swego we wszelakich wyprawach. Dołęga od lat dawnych był powiernikiem najtajniejszych jego myśli i zamiarów, toż nie dziw, iż na samo przypuszczenie, że ten powiernik z pod jego wpływu wymknąć się może, zląkł się i przeraził bardzo, tem więcej, ile że widział, jako perswazye ani prośby żadnego nie odnoszą skutku. Przyszło mu wreszcie na myśl, iż może i lepiej się stanie, gdy Dołęga oddali się z Lublina, gdzie go wspomnienie śmierci rodzica ciągle gnębić będzie, tedy już się wyjazdowi jego nie sprzeciwił, a pożegnał go bardzo czule, przyrzekając jako sam niebawem do Łańcuta pospieszy.

Zaczem Dołęga wyruszył tej nocy z Lublina, a pan Stadnicki z doborowym poczem swej zbrojnej milicyi zostawszy, kazał jeszcze przywołać czekającego w gospodzie Koziekę i zamknawszy się z nim, długo rozmawiał, wypytywał się pilnie o wszystko i jakieś informacje dawał.

Nazajutrz, gdy słońce ku południowi już się podnosiło, z gospody „pod Barankiem“ piękny poczet zbrojny na ulice Lublina wyjechał. Przodem na dzielnym koniu tureckim, skarogniadym,



z gwiazdą białą na czole, który rwał się i parską dzielną ręką jeźdźca hamowany, jechał pan Stadnicki. Ubrany był w szaty ciemne, jakby żałobne, jeno delia czerwona szkarłatna, sobolami podszyta, z olbrzymim takimże futrzanym kołnierzem, spływała mu z ramion. Od zapon bogatych brylantowych, od guzików tej delii złotych z dyamentami ostrymi, biła jasność nadzwyczajna; dyamenty bowiem owe mieniły się w promieniach słonecznych tęczowemi barwy, że jeździec i koń jego w rzędzie wspaniałym, bo nietylko alszband, wodze i czaprak, ale nawet strzemiona kapały od złota, srebra i drogich kamieni, zdawali się poruszać w innem jakimś, całe niezemskim a olśniewającym świetle. Na twarzy pana Stadnickiego, wczorajszego przygnębienia widać nie było; biła z niej wielka śmiałość, która w nikim nie uznaje pana i przed niczem się nie ugnie i również wielka pogarda, która się urąga przemoccy przeciwnika, i największe szyderstwo, które jest zemstą duszy za doznane a niepowetowane krzywdy.

Obok niego jechał Zawiski także pięknie przyodziany i na dzielnym bachmacie; najbliższy orszak tworzyli jezdni rycerze w ciężkiej zbroi, a za nimi silny oddział Sabatów, którzy także byli w strojach jakby świątecznych, a uzbrojeni dzielnie.

Cały ten poczet jechał zwolna przez ulice miasta, dążąc wprost do ratusza, kędy trybunał roki swe odbywał.

— Na wzgardę sądów trybunalskich jedzie! — szeptali załęcznieni mieszkańcy lubelscy, wyglądając przez drzwi i okna i przypatrując się zdala ciekawie owemu orszakowi w trwożnem oczekiwaniu co z tego wyniknie.

Na ratuszu wiedziano już, że pan starosta zdąży zbrojnie ku niemu. Zrobił się tam tumult wielki, tem bardziej, że właśnie niemal w tym samym momencie przybył tam imépan Łukasz Opaliński z kilku dworzany swymi, których konie przez pacholików trzymane, stały u bramy. Lękano się tedy krwawego starcia przy takim spotkaniu dwóch nieprzyjaciół, zwłaszcza po onem zajściu świeżem na Wieniawie. Nalegano na pana Opalińskiego, aby ratusz opuścił, i nie wywoływał zniewagi trybunału, to też on wyszedłszy, właśnie na koń wsiadał, gdy pan Stadnicki już zdala go ujrzawszy, pędem nań wleciał.

— Nie umykaj, mości starosto, bo cię dogonię!... — krzyczał.

Pan Opaliński cale też uchodzić nie myślał. Nie brakło mu odwagi, jakkolwiek rycerskiej postawy nie miał a w ruchach, głosie i twarzy znać było wypieszczenie i delikatność jakby nie-

wieścią. Wychowany w krajach cudzoziemskich, ubiór też miał na sobie krojem włoskim sporządzony, a bogaty bardzo. Twarz jego biała, delikatna, młoda i świeża, była piękna i zawsze niemal rozjaśniona uśmiechem, który zdawał się przyrosły do ust różowych, nieco jednak wąskich i ściętych. Uśmiech ten pokrywał misternie wszelakie uczucia i chyba już w najwyższem wzburzeniu ustępował z oblicza. Właśnie teraz znikł on na widok zygwulskiego starosty. Była tam snadź między nimi wielka nienawiść, bo z twarzy pana Opalińskiego, zwykle różowej, zbiegła krew wszystka, oczy zamigotały iskrami gniewu, a dłoń chwyciła kurczowo rękojeść szabli.

— Mości Stadnicki! — przemówił stłumionym głosem — nie umykam przed nikim i przed wacpanem uchodzić nie myślę, jeno chcę uniknąć gwałtów pod bokiem trybunału...

— Gwałtów! — przerwał Stadnicki — a nie jestże gwałtem zamordowanie mego dworzana na Wieniawie przez twoich pacholków, nie jestże gwałtem, iż się udał na łup, na rozbój po drogach, żeś majątności moje Czarną i Stadniki Małe haniebnie splądrował?...

Oblicze pana Opalińskiego bladło coraz bardziej, usta krwawił, gryząc je w srogim gniewie, a nie mogąc przerwać potoku słów Stadnickiego,

który głośno krzyczał, od czasu do czasu tylko, przez zaciśnięte zęby, odpowiadał:

— To odwet za krzywdy mi zadane... Zdajmy się na rozsądek zacnych senatorów... a niech osądzą, iżeś to waćpan pożytek od majątności moich szpetną i sromotną rapiną mi odebrał...

— A ja się z tobą na żaden sąd już zdawać nie myślę! — wrzasnął starosta zygwulski w coraz gwałtowniejszej furii — za to zaś wszystko co przytaczasz przeciwko mnie, tem ci płacę, że łżesz!...

Na tę obelgę, twarz Opalińskiego zadrgała kurczowo; koń jego silnie szarpnięty niespokojną ręką, wspiał się do góry i rwąc się naprzód, tak się ku Stadnickiemu zbliżył, że obaj wrogowie niemal oko w oko zmierzyli się płomiennem nienawiścią spojrzeniem.

Zdawało się, że krwawe starcie jest nieuniknionem. Po ostatnich słowach zygwulskiego starosty zaległa nagle cisza, że słyhać było ciężki a przyspieszony oddech wychodzący z piersi obu zapaśników, którzy stali tak chwilę nieruchomo naprzeciw siebie, gotowi rzucić się do walki śmiertelnej.

— Śmiercią mi za tę zniewagę zapłacisz! — wyszeptały wargi Opalińskiego, który już szablę z pochwy dobywał.

Widząc to jeden z jego dworzan, zaufany

snadź, a wiekiem już starszy, zbliżył się doń i półgłosem zaklinać począł, aby do umiarkowania przyszedł.

— Na miłość Boga! — mówił — opamiętajcie się JW. panie! pod bokiem trybunału, to crimen!

Zreflektował się też nieco pan Opaliński i konia swego cofnął wstecz, a Stadnicki zaśmiał się szyderczo, mówiąc do owego dworzanina:

— A zabierzcież sobie stąd, waszego wypieszczonego, zamorskiego cudaka! niech mi jeno w oczy nie włązi i niech się nie rzuca, bo go zduszę! Znaj moją łaskę, mości Opaliński... puszczam cię dziś, bom znacznie silniejszy, jeno ci na przyszłość zapowiadam: strzeż się mię od-tąd na wszelakiem miejscu, chodząc i śpiąc, czy to w kościele, czy w twych komnatach leżaj-skich, bo na twem gardle, za krzywdy moje, mścić się będę!...

Mówił to z mocą, ale już z większem szyderstwem, niż gwałtownością. Z pierwszej zapalczywości ochłonawszy i sam snadź nie chcąc doprowadzić do krwi rozlewu, a kontent z takiego publicznego upokorzenia nienawistnego przeciwnika, już jeno szydził, a gdy Opaliński nie odpowiadał nic, wciąż miarkowany przez owego dworzana, Stadnicki zwrócił konia w ulicę i jak pierwej, z głową dumnie podniesioną, spo-

kojny na pozór, pojechał dalej na czele swego orszaku, do domu, kędy zbór dyssydencki się mieścił. Tam zaś mało niewiele zabawiwszy, jeszcze tego dnia miasto opuścił i już tylko wzgardliwie ramionami ruszył, gdy mu doniesiono, jako trybunał wydał wyrok, wzbraniający mu pobytu w Lublinie i jego obwodzie, pod surowemi karami.

Nie obeszło się jednak i bez krwawego zajścia. Gdy już wyjeżdżali z Lublina, Sabatowie dojrzeli zabawiających się na przedmieściu kilkunastu pachołków leżajskich, a poznawszy jako to byli ci sami, z którymi owa nieszczęśliwa była bójka na Wieniawie, napadli wnet na nich kupą, dwóch ubili, ranili kilku, trzech zaś poj-mawszy, powrozami u koni swych powiązali i tak w tryumfie, jakby jeńców wojennych, do Łańcuta wiedli.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



INSTITUT  
KADAN



<b>J. Antoni dr.</b> Sylwetki i szkice historyczne i literackie. Ser- rya IX . . . . .	2 60
Treść: Z życia Zygm. Krasińskiego. — Spuścizna po Moszyńskim. — Matrona polska. — Kobiety w obleżo- nym przez Turków Kamieńcu. — Ks. Kondeusz. — Ro- dzina Malczewskiego. — Dzieje osadnictwa tatarskiego. — Na wołoskiem pograniczu.	
<b>Jankowski Czesław.</b> Po Europie. Kartki z podróży. Ilustr. .	2 60
<b>K. A. X.</b> Kazania wielkopostne . . . . .	1 20
<b>Jordan (Juljan Wieniawski).</b> Pisma. 6 tomów (w druku)	
Treść: I. Wędrówki delegata. Szkice humorystyczno- obyczajowe.	
II. Przygody panów Marka i Agapita podczas wy- stawy rolniczej w Warszawie.	
III. Gawędy w listach Jordana do pana Jana.	
IV. Z boru i dworu. Szkice i obrazki. Część I. za- wiera: Charciarz. — Referencya. — Komedya w po- dróży. — Na stanowisku. — Wyprawa po pożyczkę. — Ze wspomnień Marymonckich.	
V. Z boru i dworu. Część II. zawiera: Pojedynek amerykański. — Buchalterya podwójna. — Zemsta pana Fabiana. — Układ o służebności. — Bakalarka.	
VI. Utwory dramatyczne.	
<b>Kleczyński Jan.</b> Słownik wyrazów używanych w muzyce .	— 80
w oprawie . . . . .	1 20
<b>Konopnicka Marya.</b> Na drodze. Nowele i obrazki . . . . .	2 —
<b>Korzon Tadeusz.</b> Historya starożytna . . . . .	2 —
— Historya wieków średnich. Nowe wydanie przejrzone i poprawione . . . . .	3 20
— Historya nowożytna. Cz. I. do 1648 r. . . . .	4 —
<b>Kosiakiewicz W. Gasiorkowski.</b> Powieść . . . . .	1 80
— Bodzina Łatkowskich. Powieść . . . . .	1 —
— W miasteczku. Powieść . . . . .	1 —
— Władek. Powieść . . . . .	1 30
<b>Kowerska Zofia.</b> Dzidzia. Powieść. Lew i mysz. Bezdzielni. Z poezyi szpitala . . . . .	1 60
— Irena. Powieść . . . . .	1 60
<b>Krechowiecki A. Najmłodsi.</b> Powieść w 2 tomach . . . . .	3 20
— Veto. Powieść 4 tomy . . . . .	5 20
<b>Łętowski J.</b> Stary mąż. Powieść . . . . .	1 50
<b>Mikszath Koloman.</b> Gołabki w klatce. Powieść. Przekład z wę- gierskiego A. Callierowej. Warszawa . . . . .	— 65

	złr. ct.
<b>Nusbaum Józef dr. prof.</b> Podręcznik zoologii . . . . .	2 —
<b>Pawiński A. prof.</b> Młode lata Zygmunta Starego. Szkic histor. — Ostatnia księżna mazowiecka. Obrazek z dziejów XVI-go wieku . . . . .	1 60 1 30
<b>Prus Bolesław (Alex. Głowacki).</b> Emancypantka. Powieść (w druku).	
<b>Przybylski Z.</b> Komedye jednoaktowe dla teatrów amatorskich Treść: Pierwszy bal. — Gałazka jaśminu. — Pst. — Na przekór. — Propinacya. — Przegrany zakład. — Schadzka.	1 30
<b>Rewieński St.</b> Pies, jego gatunki rasy, wychów, utrzymanie, użytki, układanie choroby i ich leczenie według naj- lepszych źródeł . . . . .	1 60
<b>Rohlwes.</b> Nauka leczenia zwierząt domowych. Dwudzieste drugie wydanie zupełnie przerobione przez dra Felischa, przełożył na język polski A. Strzelecki. Wydanie ilu- strowane . . . . .	1 30
w oprawie . . . . .	1 60
<b>Sattler.</b> Fyzyka popularnie wyłożona, z licznymi drzewory- tami Z wydania niem. przełożył Wł. Kozłowski . . . . .	— 80
<b>Schreiber M. dr.</b> Gimnastyka lecznicza pokojowa dla chorych i zdrowych, z 40 drzeworytami w tekście i tablica rycin, przełożył dr. M. R. Rafałowicz . . . . .	— 80
<b>Sienkiewicz H.</b> Pisma tom XX. . . . .	2 —
Treść: Wyrok Zeusa. — Z wrażeń włoskich. — Or- ganista z Ponikły. — U Źródła. — Lux in tenebris lu- cet. — Bądź błogostawiona! — Pójdźmy za nim! — Listy o Zoli.	
<b>Staffe Baronowa.</b> Piękność i zdrowie. Praktyczne rady, wska- zówki i przepisy dla kobiet . . . . .	1 60
<b>Sulima Z. L.</b> Historia Franka i Frankistów . . . . .	1 60
<b>Tomasz z Kempis.</b> O naśladowaniu Jezusa Chrystusa, ksiąg czworo z łacińskiego przetłumaczył ks. A. J. Wydanie nowe, wytworne, w małym formacie na papierze we- linowym . . . . .	— 60
<b>Umiński W.</b> Zwycięzcy oceanu, . . . . .	1 50
<b>Wilczyński B.</b> Historia muzyki . . . . .	1 30
<b>Z Królestwa zwierząt.</b> Opisy zajmujące i szkice ze świata zwierzęcego na wzór słynnego dzieła Brehma, w formie przystępnej dla czytelników wszelkiego wieku i stanu podane przez W. Lackowitza, z przeszło 300 ilustrac. Zeszyty 1, 2 po . . . . .	— 60







F

1802